

- W kolejce po dziecko
- Życie to wieczny pociąg
- Krwawy grobowiec
- Skandal w krainie Stocky
- Mlecz, kiedy cię gwałca

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 50 (1341) ROK XXVI

10 GRUDNIA 1983 ROKU

CENA 15 ZŁ

W 30 dni
dookoła Polski

Azyl

To przyszło nagle. Siedzieli w „Ratuszowej” przy kawie i jakimś winie. Nikomu się niegdzie się spieszyło. Do obiadu było jeszcze dużo czasu — za dużo na konkretną rozmowę więc rozprawiali, o tak: kto z kim teraz gra, jaki ma repertuar, co słychać u znanych... Normalnie: o życiu. Jurek chyba wspomnił coś o facecie z Przemysła, który dla upamiętnienia wybrał się do Wiednia. Waldek przytaknął, że też słyszał. Marek przypomniał sobie że czytał niedawno o pewnym sklepikarzu, co orzeszedł pieszo z jednego końca Austrii na drugi. Dzieje się na świecie, pomyślał tylko w tych naszych Sk...ierniewicach — nie. Ludzie protestują przeciwko

zbrojeniom — właśnie w telewizji pokazywali zdjęcia z Hiroshimy... No, i w ogóle. Jest ruch. Ktoś czegoś naprawdę chce...

I wtedy powiedział spokojnie: — Panowie, idę dookoła Polski.

— Jak to idziesz? — zdziwił się Waldek.

— Ty to poważnie?...

— Oczywiście, jak powiedziałem, że idę, to idę.

Zaczeli się śmiać z Marka.

— Nie wierzycie? Dobrze!

Waldek chodził od razu do gazety, do redakcji. Oni musieli ogłosić, no bo nikt nie uwierzy, że przeszedłem, jak nie będzie wokół tego szumu.

W „Wiadomościach Skierniewickich” byli wyraźnie zaskoczeni. Kazali Markowi przyjść jutro. Myśleli że to żart. Ale Marek następnego dnia znów zjawił się w redakcji. Zapytał, czy objęliby patronat nad jego marszem. Miał to być marsz pokoju. W miesiąc dookoła Polski. Ludzi powinno to zainteresować. W końcu nikt chyba przed nim tego jeszcze nie zrobił. Jest sprawa — jest! A on jak już sobie coś postanowił, to żeby nie

Niech każdy robi to, co umie najlepiej



Foto: W. Chorosiński

Madame „B” jest w opałach

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Właściwie temat „chodź” za mną od dawna. A to jako odprysk innej, ciekawszej sprawy, a to ktoś w redakcji wspomni, że „warto by zrobić”. Tylko wleźć czasu brakowało, a w ogóle to jestem zdania, że przemysłem lekkim, tymi fatalizkami różnymi, wyrobami infarskimi, jedwabniczymi, weinlanymi, wszystkim co się dzierga, tka i szyje powinni zajmować się jednak fachowcy po płórze płci odmiennej. Jakoś dziewczynie bardziej przystoi wypytywać dyrektora dlaczego koronki przyszywają ściąganiem lewnością i gdzie się te gumy wleją. Co innego powódź, pożar, czy mroźne krew w żyłach zabójstwo — tu pierwszeństwo powinna mieć jednak meska dłoń. No, ale cóż — Pulawy będą aktualne dopiero na wiosnę, na kataklizmy w ogóle jakos nie pora, w połowie listopada zaskoczyła nas jedynie zima, co zresztą tematem jest żadnym, bo w tym kraju zaskakują nas ona w dowolnie wybranym miesiącu. Jesienią i zimą zwiastują. Gdy dziś wpadła do domu wściekła jak osa małżonka anonując, że sprzed nosa wykupiono jej jakiś ciuch rodem z firmy, której nazwa chodziła mi po głowie — zdecydowałem. Raz nie zawsze, róbmy odepustwo od meskiej reguły.

— Wie pan, jesteśmy zaważeni robotą; a właściwie o czym chciałby pan napisać? — dopytywał się dyrektor handlowy.

— No cóż, o wszystkim, problemy dnia codziennego, nowoczesny, duży zakład a reforma gospodarcza — nie mając bliżej sprecyzowanego planu rzuciłem garść sloganów.

— Dobrze, niech pan będzie o dziesiątej, ale dłużej jak godzinę i tak sobie nie porozmawiamy, bo później mamy gości ze stołicy — zgodził się.

Trafie do firmy nie jest trudno. W tej dzielnicy w ogóle adresatów jest niewiele. Pola, magazyny, nieco asfaltowych dróg i paru „Gigantów”. W dobrych czasach powstawały, gdy inwestycje szły lawiną, a szanujący się biurowiec musiał mieć minimum pięć — sześć pięter i widoczny z paru kilometrów sztyd-neon. W jednym dywany tkają, w drugim — jakieś motki anilany przędą, za zarobkowym polem pół osiedla w elementach spoczywa — wytworna Wielka Płyta A między nimi — jest i „mój” zakład. Przepisowy biurowiec (nieźle, osiem pięter) i dumne, brzuchate „B” na dachu „BISTONA”.

Bezczelnie parkuje na miejscach przeznaczonych „wyłącznie dla pojazdów służbowych” i ruszam na spotkanie nieznanego.

Dyrektor administracyjno-handlowy Krzysztof Jabłoński czterdziestki nie ma faszce na pewno. To pierwsze sympatyczne zaskoczenie. Trudności ma tylko z wyciągnięciem prawicy i odstawaniem się od biurka; słuchawka przy uchu, przytrzymywana ramieniem, druga, odłożona, już czeka na swą kolejkę, kalendarz na biurku pokrywa się nerwowym maczkiem notatek. Brak ręki do papierosa, który dopala się wraz z filtrem na brzegu popielniczki. Dyrektor uśmiecha się przepaszając i wskazuje głową fotele przy niewielkim stolczku. Jeszcze kilkakrotnie zademonstruje mi cenę nie tylko na tym stanowisku ceche, określana jako podzielność uwagi.

— Tak, mówi się, minut: że zamówienia muszą mieć 10 tym tygodniu! — to do słuchawki. — Mam Kolobrzeg, pilna, cholera, cztery godziny czekaniem, za sekunde kończę... — to do zaraz. — Pani Elu, dwie mocne czarne, z mojego zapasu — do sympatycznej blondynki, która czujnie pojawiła się w drzwiach.

— Czy pana nie gryzie sumienie, że Łódzka i nie tylko Łódzka ulica jest szara, bezbarwna, monotonna? —

Rozmowa z mgr inż. WOJCIECHEM JAŁOCHĄ — dyrektorem Zakładów Galwanicznych i Lakierniczych w Wieluniu.

— Panie dyrektorze, jest pan najbardziej zajęty człowiekiem, jakiego udało mi się w życiu spotkać. Wali do pana tłum ludzi. W rezultacie, mimo że byliśmy umówieni na konkretną godzinę, musiałem długo czekać. Czy pan ma czas na rozmowę?

— Muszę mieć czas, ale rzeczywiście teraz mam go za mało. Kiedyś byłem w angielskiej filii firmy „DÜRR”. Kiedy wszedłem do biurowca, w hallu przy wejściu stało biurko, na nim tabliczka z napisem „Welcome mr Jalocho”. Za biurkiem siedziała Angielka, która

siała na maszynie, obsługiwała teleks, nadzorowała pracę automatycznej centrali telefonicznej, mówiła przez radiowęzeł. Tabliczka z przypiętymi literami — taka dziecinna zabawka, dawała jej gwarancję, że ja do niej podejść. Mogła spokojnie pracować. Kiedy rozmawiałem z dyrektorem, ona podała nam kawę. Na zakończenie, gdy trzeba było napisać protokół, mój angielski partner wydał jej dwuzdaniowe polecenie. Protokół nie poprawialiśmy.

— Kto u nas redaguje takie dokumenty?

— Dyrektorzy. A fakcie! Chodź zatem o inną organizację pracy. U nas, żeby redagować

pismo, jest potrzebny kierownik działu i poprawia to jeszcze dyrektor albo jego zastępca. Tam załatwia referentka. Załatwia do końca. Redaguje, pisze na maszynie i wysyła. W Polsce, w naszym zakładzie potrzebna jest do tego sztafeta, a ja zwykle jestem na ostatniej zmianie tego biegu rozstawnego.

— Zapantryli się pan na Zachód...

— Nic podobnego! Ale nie na powódź, żeby nie zastępować u nas lepszych wzołów. Zaczyna się liczyć sprawność i perfekcja. Ja na przykład mam nadzieję, że znajdę sekretarkę, która mnie będzie wyręczać w

80 procentach spraw rutynowych, że ustrzeże mnie przed popełnieniem omyłki lub przecenieniem. Nie może to być specjalistka od podawania nerbaty i informowania gości, że dyrektor jest albo go nie ma. Wąska specjalizacja ogłupia i prowadzi do frustracji, bo nie pozwala ludziom sprawdzić się w pracy. Dotyczy to nie tylko sekretarek.

— ZUGIŁ był znany w kraju z wąskich specjalności. Jeszcze przed dwoma laty zatrudnił 26 dyrektorów a prawie połowa ludzi pracowała na stanowiskach nieprodukcyjnych.

7

5

4

Minał tydzień

TELEFONY W ŁODZI

zmieniły numery. Teraz mamy nie tylko numery sześciocyfrowe, ale i kłopoty z telefonami. Kilka razy na tej stronie „Odgłosów” zwracałem uwagę, że tak wielka operacja, jaką jest włączenie nowoczesnej centrali do starego układu sieci telefonicznej i starych — co tu ukrywać — centrali pozostałych, a także zmiany numerów telefonów, nie może obyć się bez zakłóceń. Wspominałem o bałaganie, jaki nas czeka po przeprowadzeniu tej operacji. Rzeczywistość — jak to często bywa — przerosła oczekiwania. Bałagan bałaganem, ale spora część telefonów w pierwszych dniach po przełączeniu, czyli w przedziale 23 listopada 1983 roku i w dniach następnych była po prostu głucha. Na przykład w Międzyuczelnianym Instytucie Nauk Politycznych UŁ czyny tego dnia był tylko jeden telefon, podobnie w redakcji „Dziennika Łódzkiego”. W następnych dniach sytuacja poprawia się, ale do doskonałości było daleko. Trudną sytuację mieli na przykład abonenci dawnej „czwórki” czy „ósemki”. W Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym im. Mikołaja Kopernika na sygnał oczekiwało po pół godziny. A nie muszę nikomu tłumaczyć czym jest telefon w szpitalu. W tej części miasta jest poza tym sporo różnych instytucji oraz przedsiębiorstw. Niesprawne telefony również im utrudniały życie.

Tego rodzaju operacja, jaką wykonano w Łodzi musi być dobrze przygotowana. Jestem z całym uznaniem dla ludzi, którzy ją wykonywali. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że włożyli w to ogromną pracę. Reporter „Dziennika Łódzkiego” próbował pokazać przebieg tej pracy, jaką wykonano w nocy z 25 na 26 listopada 1983 roku. Nie mogę jednak mieć uznania dla tych, którzy tę operację przygotowywali. Wiedzą oni dobrze, jaki jest stan miejskiej telefonii. Wiedzą, gdzie i jakie występują przeciążenia. Nie jest to również tajemnicą dla abonentów łódzkich telefonów i tych, którzy po wielokroć próbują dowiedzieć się o Łodzi spoza jej granic. W takiej sytuacji zamiast opowiadać o cudach techniki, jakie nas oczekują, trzeba było po prostu przygotować ludzi do kłopotów, jakie okazały się praktyką pierwszych dni po przełączeniu sieci łódzkich telefonów na sześciocyfrowe numery. Tymczasem kierownictwo Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji próbowało tłumaczyć, że winni są igrzyska, bo nagie zaczęły telefonować. A — przepraszam — telefon jest po co? Dekoracji może?

Dyrektor WUT — Jerzy Małolepszy twierdził na konferencji prasowej zorganizowanej 30 listopada 1983 roku — o czym donosił „Express Ilustrowany” — że czas oczekiwania na sygnał dla dawnych „czwórek” wynosi... 3 minuty, co było zwykłym kłamstwem. Wiele „czwórek” tego dnia musiało czekać na sygnał dłużej lub w ogóle zrezygnować z rozmowy w godzinach między 8 a 17. Tylko, że późnym popołudniem telefon służby najcenniejszej dla celów towarzyskich, a nie służbowych. A prawda była taka — jak mnie poinformowano w WUT — że centrala dawnej „czwórki” pracowała tylko w połowie swej mocy i stąd dodatkowe przeciążenie. Zapewniono mnie również, że moc sprzed „operacji przełączenia” uzyskała ona dopiero po 5 grudnia 1983 roku, a pełną sprawność telefony w tej części miasta będą miały po ukończeniu montażu centrali „Wschód”, co stanie się faktem — takie są przynajmniej prognozy — na przełomie 1984 i 1985 roku.

Również mało obiecujące prognozy są dla dawnej „ósemki”. Jest to najstarsza centrala, poważnie zniszczona i przeciążona. Włączenie nowoczesnej centrali „E-10” dla „Centrum” tylko minimalnie poprawi działanie dawnej „ósemki”. Radykalna zmiana może nastąpić dopiero w połowie 1984 roku.

Taka jest mniej więcej prawda. Dlaczego więc, zamiast powiedzieć łodzianom, jaki stan posiadamy i co zmieni się po przełączeniu „Centrum” na „E-10”, opowiadano techniczne ciekawostki, które mogą być udziałem łódzkich abonentów dopiero w dalszej przyszłości. Dlaczego nie powiedziano, że nie we wszystkich centralach w jednakowym czasie będzie się oczekiwano na sygnał, że przejście na sześciocyfrowe numery nie poprawi automatycznie stanu telefonów w Łodzi? Czy, ciągle jeszcze trzeba tłumaczyć, iż omiwanie prawdy do niczego nie prowadzi, a przeciwnie rodzi tylko społeczne niezadowolenie?

Mam również pretensje do kolegów z łódzkich redakcji, z wyjątkiem „Dziennika Łódzkiego”, że nie byli dociekliwi, nie próbowali dochodzić prawdy, a jedynie przekazywali to, co im mówiono w WUT. Chyba rola prasy nie tylko na tym polega. Natomiast „Dziennik Łódzki” został ukarany przez kierownictwo WUT za krytyczny stosunek do „operacji przełączenia”, gdyż nie zaproszono dziennikarza „DL” na konferencję prasową. Ludzie, gdzie my żyjemy!??

Czy myślny się niczego nie nauczyli? A może mamy tylko krótką pamięć? Albo w pogoni za rzeczywistością i urojonymi sukcesami przestajemy po prostu myśleć? Nie ujmując więc niczego z wysiłku i pracy tych, którzy się solidnie natrudzili nad przełączeniami, zastanówmy się nad popełnionymi błędami! Te myśli dedykuję kierownictwu WUT i okręgu poczty w Łodzi.

ŚNIEG PADA ZIMA

— jest to prawda niepodważalna, ale nie wiedza o tym drogocny. Oto 30 listopada 1983 roku po godzinie 8 zaczął padać śnieg i wziął mróz. Służby komunalne Łodzi nie były jednak na to przygotowane. Wozy patrolowe MO stwierdziły, że piaskarki wyjechały na łódzkie ulice dopiero około godziny 10 i 11, choć polecenie wyjazdu otrzymały już — jak twierdzi inżynier województwa — o godzinie 9. Nie więc dziwnego, że na łódzkich drogach i ulicach zdarzyło się sporo wypadków.

A ileż to napisano o dobrym przygotowaniu służb komunalnych do zimy. Żądza sukcesu na papierze — jak się okazuje — jest u nas tak ogromna, że wielu ludziom przesłania rzeczywistość. W pogoni za papierowymi sukcesami służby komunalne nie potrafiły dostrzec, że 30 listopada 1983 roku padał śnieg i nagły mróz „poszkił” jezdnię i ulice.

A. B. SEKATOR

W NASTĘPNYCH NUMERACH:

- * JESZCZE RAZ „KATOLICYZM A SPRAWA POLSKA” — POLEMICZNE LISTY CZYTELNIKÓW I ODPOWIEDZ AUTORA
- * TRZY PANASEWICZ KONTRA „GRUNWALD”
- * TRZY ZMIANY — SZKOLNY DRAMAT NA RETKINI
- * PÓŁKOLONIE W MIEŚCIE — CIĄG DALSZY

Przegląd prasy

wód — gwałtownym wzrostem zagrożeń ekologicznych. Za utrzymywanie przez dziesiątki lat bezwzględnie priorytetu przemysłu — nieodwracalną często dezorganizacją gospodarki przestrzennej.

Mówiono na konferencji również o sprawach kadr kierowniczych. Często powtarza się u nas hasło, że „kadry decydują o wszystkim”. Jest to prawda, ale pozostaje ona częstokroć tylko w teorii. Ciągłe mamy bowiem niesprawny system doboru kadr kierowniczych. Dopiero na XIII Plenum KC PZPR przyjęto racjonalne kierunki działania w tej dziedzinie. „...potencjał kadrowy mamy ogromny — mówił A. Rajkiewicz — ale zastępy ludzi utalentowanych, wykształconych, z dużym zasobem doświadczenia”, jest więc w czym wybierać. „Nikt nie może twierdzić, że Polska jest pustynią kadrową, i że jesteśmy skazani na zamknięty krąg dezygnowanych na określone stanowiska”. A właściwie dobrali ludzie na określone stanowiska nie tylko wpływają pozytywnie na podejmowane decyzje, ale też stanowią dobry wzorzec do naśladowania dla swoich podwładnych. Jest to jeden z ważnych czynników systemu wartości, jaki powinien funkcjonować w społeczeństwie i wpływać na wychowanie ludzi.

„Uczestnicy konferencji zwrócili uwagę na to — mówi dalej A. Rajkiewicz — że nie ma powszechny stał się system nadmiernych zależności. Nie tylko w układzie hierarchii czynym od góry do dołu, ale i w horyzontalnym między układami równorzędnymi. Jeśli czegoś potrzebujemy, to w zamian musimy nieraz świadczyć na rzecz drugiej strony”.

Jeden z dyskutantów nazwał taki układ „układem (między patronami a klientami). Przy czym bardzo często patron jest jednocześnie klientem patrona stojącego wyżej. A zatem też, chody i siła przebicia, a nie przesłanki natury meritorycznej decydują o funkcjonowaniu niektórych dziedzin naszego życia”.

Postawiono diagnozę. Terapia wynika z tej diagnozy. A kto jest zatem pacjentem?

— „Pacjentem — odpowiada Antoni Rajkiewicz — jest społeczeństwo, które jednak żyje w określonych układach i uwarunkowaniach. Trzeba oamieć, że aparat państwa socjalistycznego ponosi wobec swych obywateli niejaką zwiększoną odpowiedzialność; jako organ ogólnonarodowy, jako zarządca państwowych środków produkcji i jako główny pracodawca”.

Postawione diagnozy nie mogą pozostać tylko na papierze. Powinny stać się przedmiotem rozważań ludzi mających decydować o przyszłości kraju, o naszym rozwoju. Muszą stać się też elementem wiedzy społecznej, naszej świadomości. Organizm społeczny składa się jakby z dwu części: tych, którzy podejmują decyzje, czyli rządu, oraz tych, którzy te decyzje wykonują, albo których te decyzje dotyczą, czyli rządzonych. Ten organizm znajduje się obecnie w stanie schorzenia, czyli kryzysu, nastąpił też rozdział między obu wspomnianymi częściami, a organizm jest zagrożony zjawiskami patologicznymi szeroko rozumianymi. Aby móc się przed tymi zagrożeniami obronić musi wytworzyć system ochronny. Nie wytworzy jednak systemu ochronnego społeczeństwo podzielone, wewnętrznie skłócone, targane sprzecznościami. Po prostu jest do tego niezdolne, gdyż nie jest zdolne do skutecznego działania.

A zagrożenia?

Te są nie tylko w referatach uczonych. Te istnieją realnie. Dwutygodnik „WIADOMOŚCI PRODUKCYJNE” (nr 22 z 16 listopada 1983 r.) zwrócił się do prezydenta Józefa Niewiadomskiego z pytaniem o realizację programu przeciwdziałania zagrożeniom środowiska naturalnego w łódzkim województwie miejskim.

W odpowiedzi

JÓZEF NIEWIADOMSKI PRZEDSTAWIŁ PROGRAM

przeciwdziałania tym zagrożeniom w najbliższych latach. Dokonuje się obecnie ekspertyz zagrożeń i możliwości przeciwdziałania im w najbliższych 5 latach.

Trwa budowa Grupy Oczyszczalni Ścieków. Jest to realizacja zadań I etapu. Po cał-

kowitym wybudowaniu Grupy Oczyszczalni Ścieków w 90 proc. chronione będą wody nie tylko w województwie łódzkim miejskim, ale i ościennych oraz dalszych, tam, gdzie do rzek spływały łódzkie zanieczyszczenia. Kiedy to nastąpi? Na to jeszcze nie ma pełnej i konkretnej odpowiedzi. Łódź sama nie podola bowiem zadaniom całkowitego wybudowania GOS, potrzebne jest współdziałanie innych województw oraz fundusze centralne.

Pogłębia się deficyt wody. „W latach 1983—1985 — mówi J. Niewiadomski — zakłada się dalszy wzrost zdolności produkcyjnych wodociągów miejskich o ponad 70 tys. metrów sześciennych na dobę. Oddane zostaną ujęcia wody na Teofilowie, w Pabianicach, w Zgierz, Aleksandrowie i Głownie”, ale jednocześnie „dla Łodzi istnieje konieczność budowy II etapu wodociągu Sulejów — Łódź”.

Przewiduje się przeniesienie Zakładu Wyróbów Azbestowych „Polonit” z ulicy Plekarskiej do dzielnicy przemysłowej w Smulsku. Zaprzeszono już — po 20 latach starań i walki — produkowania włókna włoszkowego w „Anilanie”. Oba te przedsięwzięcia wpłyną niewątpliwie na zmniejszenie zanieczyszczenia powietrza w mieście.

„Wiele zakładów — powiada dalej J. Niewiadomski — zostało zobowiązanych do instalowania urządzeń służących ochronie środowiska, np. ZPW „Fresco” w Zgierzu, EC IV, Zakłady „Boruta”, ciepłownia Pabianice, Fabryka Pięści Tłokowych „Fapit”, Zakłady Papiernicze, Pabianicka Fabryka Narzędzi”. Jeśli wykonają to, do czego zostały zobowiązane, to również wpłynę na czystość powietrza, którym oddychamy. „...w okresie realizacji planu 1983—1985 — dodał J. Niewiadomski — obowiązujące nasze województwo zakaz lokalizowania zakładów przemysłowych zatrudniających powyżej 200 osób, a więc dużych, wśród których najczęściej znajdują się zakłady wciągłiwe”.

Realizacja tych zadań zależeć wszakże będzie nie tylko od prezydenta i urzędu, którym kieruje, czyli — jak to się teraz mówi — od władzy, ale również od samorządów, związków zawodowych, administracji gospodarczej, organizacji partyjnych — od nas wszystkich. Jeśli potrąfimy przypilnować, aby przy najbliższej trudności nie skreślano i „nie zapomiano” o ochronie środowiska naturalnego, bo ono — jak sądzą niektórzy — i tak się samo obroni. Nie jestem tego taki pewien!

Dla podejmowania właściwych decyzji potrzeba nie tylko naukowej ekspertyzy, ale również dobrej znajomości narzędzi i oczekiwań społeczeństwa. Funkcje konsultacyjne dla administracji państwowej powinny spełniać związki zawodowe, samorządy, organizacje społeczne, stowarzyszenia. Po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 roku, gdy te wszystkie organizacje przestały funkcjonować, powołano zespoły konsultacyjne — społeczne rady konsultacyjne. Powoływał je wojewódwo. „Najbardziej jednak śmiały decyzje podjął prezydent Łodzi, Józef Niewiadomski” — piszą w „ŻYCIU LITERACKIM” Wacław Opacki i Józef Wojciechowski (nr 49 z 4 grudnia 1983 r.) w artykule zatytułowanym:

„CO WOLNO WOJEWÓDZIE...”

Otóż prezydent Miasta Łodzi „postanowił skorzystać z rad ludzi, wprawdzie nie obdarzonych naukowymi tytułami, ale będących najbliższym codziennym życiem i stworzył — a ściślej powołał — zespół robotniczych doradców prezydenta. Co taki zespół ma robić? Obaj autorzy cytują fragment dokumentu powołującego zespół doradców: „Zespół jest organem opiniotwórczo-doradczym Prezydenta Miasta Łodzi w sprawach dot. żywotnych interesów społeczeństwa województwa.

Do zadań Zespołu należy:
1. kształtowanie kierunków i zasad współdziałania pomiędzy organami administracji państwowej a środowiskami ludzi pracy miast i wsi,
2. zapewnienie warunków współdziałania środowiska robotniczego i chłopskiego w rozwiązywaniu problemów społeczno-gospodarczych województwa (...).”

Zespół składa się z 38 osób,

w tym 31 pracuje bezpośrednio w produkcji, 5 w rolnictwie, dwie — to rzemieślnik i tak-sówkarz, a jedna pracuje w handlu uśrednionym. 25 członków zespołu jest członkami PZPR, 2 — ZSL, 2 — SD, 2 — ZSMP, 8 — bezpartyjnych. Członkowie zespołu swój udział w jego pracach traktują poważnie. Starają się nie tylko reprezentować siebie, ale przede wszystkim swoje załogi, środowiska. Przed spotkaniem w Urzędzie Miasta Łodzi — znając temat i pytania, na które muszą odpowiedzieć — zasięgają opinii wśród swoich kolegów z pracy, współpracowników.

— „Mówią poważnie — powiedziała Wacławowi Opackiemu i Józefowi Wojciechowskiemu tkaczka z Pabianickich Zakładów Tkanin Technicznych, Marianna Ślusarz — wstyżki sprawy omawiałam i konsultowałam z dyrekcją, egzekutywą, organizacją młodzieżową, a przede wszystkim z ludźmi z produkcji”.

Zespół robotniczych doradców powstał w zastępstwie organizacji zawodowych i społecznych oraz na wzór takich zespołów powoływanych w fabrykach. Tamte już nie istnieją, a ten przy prezydencie, funkcjonuje nadal. I tak będzie.

— „Jest to jedna z form — a więc nie jedyna — powiedział Józef Niewiadomski — moich kontaktów z mieszkańcami miasta... Radzę się ich, kiedy mi faktycznie są potrzebni, co zresztą zaznaczam przy każdym spotkaniu”.

Warto podkreślić, że praca zespołu nie ma znamion instytucji — co niekiedy nie jest właściwie rozumiane — a tylko formę doradczych konsultacji, zgodnie z występującymi potrzebami. Tak więc zespół nie musi obradować regularnie, ale tylko wówczas, gdy zajdzie tego potrzeba.

Skoro już jestem przy wyjaśnianiu, nieporozumień, to muszę

WRÓCIĆ PO RAZ OSTATNI DO SPRAWY KONKURSU NA DZIENNIKARZA

a to dlatego, że w 48 numerze „NAD WARTĄ” w lewym rogu drugiej strony i samutkiego dołu, drobny druczkiem ukazał się „Komunikat” następującej treści:
„Niniejszym informujemy zainteresowanych, że w skutek niedopełnienia pewnych formalności kierownictwo redakcji tygodnika „Nad Wartą” z dniem 25.XI. br. odstąpiło od konkursu na obsadę etatu dziennikarskiego.

Zainteresowani sprawą są proszeni o osobisty kontakt z redaktorem naczelnym „NW”.

Pozwól sobie tego nie komentować!

I na zakończenie

FRAGMENT ROZMOWY

z „POLITYKI” Marka Henzlera z prezesem RSW Zdzisławem Andruszkiewiczem pt. „Koncerno to złe słowo” (nr 49 z 3 grudnia 1983 r.):
— „A śledzi pan zawartość tych tygodników? — pytanie dotyczy tygodników wojewódzkich.

— Jest ona systematycznie analizowana przez nasze służby prasoznawcze. Zgadzam się, że są one bardzo zróżnicowane, nie zawieszają się do tytułów pieruszej jakości. Niektóre stały się kronikami lokalnych władz, ale większość dobrze spełnia swą rolę — integrując wojewódzką społeczność i grupując miejscowe środowiska twórcze”.

Prezes RSW zapowiedział, że niektóre po rozbudowie poligrafii będą mogły przekształcić się w dzienniki. „Najbliższe tego są: „Kronika” z Białej, „Trybuna Wałbrzyska” i „Nowiny Jeleniogórskie”.

LUCJAN BOGUSZ

Każda decyzja, aby była trafna, musi być poprzedzona szeregiem ekspertyz bądź konsultacji, a najlepiej jednym i drugim. Nie jest to wprawdzie idealne zabezpieczenie przed błędami, ale zawsze znacznie pomniejsza ryzyko. Pod warunkiem, że nie tylko zleca się dokonanie ekspertyzy, zasięga się konsultacji ale również korzysta się z tego, to znaczy — wyciąga się takie wnioski które warunkują podejmowanie. Dzięki temu decyzje powinny być maksymalnie trafne. W podejmowaniu takich decyzji powinna być pomocna przede wszystkim nauka.

Od 2 do 5 listopada 1983 r. w Jabłonnie odbyła się konferencja naukowa na temat: „Zagrożenia społeczne oraz warunki i środki ich przezwyciężenia”. Konferencję tę zorganizował Komitet Badań i Prognoz „Polska 2000” działający przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk. ŻYCIU WAR-SZAWY” 2 grudnia 1983 r. opublikowało rozmowę Joanny Horodeckiej z prof. Antonim Rajkiewiczem. W rozmowie tej

ANTONI RAJKIEWICZ MÓWI O ZAGROZENIACH SPOŁECZNYCH

oraz omawia wyniki konferencji.

— „Dotychczasowe diagnozy — mówi A. Rajkiewicz — tradycyjnie zajmowały się jedynie wąsko pojętą patologią, tzn. alkoholizmem, narkomanią, przestępczością, prostytutką, samobójstwami”.

Są to również istotne i niebezpieczne zagrożenia. Są to społeczne schorzenia, ich źródła należy szukać nie tylko w psychicznych uwarunkowaniach ludzi ulegających tym patologiom zjawiskom, ale również w uwarunkowaniach społecznych. Wiadomo przecież, że takie patologiczne zjawiska jak prostytutka, narkomania, przestępczość nie zanikają, a przeciwnie narastają. Rodzą się one na gruncie kryzysu moralnego, który jest wynikiem ogólnego kryzysu, jakiemu podlega społeczeństwo. Trzeba im stanowczo i skutecznie przeciwdziałać, dążąc jednocześnie do przeciwdziałania kryzysu społecznego, do moralnego odrodzenia społeczeństwa. Społeczeństwo może się prawidłowo rozwijać tylko wówczas, gdy dysponuje systemem pozytywnych wartości i je stosuje. Ten system został obecnie zachwiany, przestał w pełni funkcjonować. Trzeba więc go odbudować, sprawić, aby ponownie działał na korzyść społecznego rozwoju.

Na wspomnianej konferencji w Jabłonnie mówiono nie tylko o takich zagrożeniach, ale „bardzo wiele uwagi poświęcono zagrożeniom wynikającym z patologii różnych instytucji życia zbiorowego”. Omawiano też problemy „zagrożenia środowiska naturalnego, zagrożenia zdrowia i patologii pracy”.

— „Autorzy referatów i uczestnicy dyskusji — powiedział Antoni Rajkiewicz — bardzo mocno włączyli te zjawiska z faktami nieprzeprzecenia praw ekonomicznych, socjologicznych i praw przyrody. Zadnego z tych praw nie da się obalić ani oszukać, a za ich ignorowanie trzeba przedzić czy później płacić wygórowaną cenę. Za odwrócenie płacy od pracy, czy szerzej: nieuwzględnianie roli motywacji moralnej i materialnej — złamaniem etosu pracy. Za nadmierne zanieczyszczenie powietrza, zatrucie gleby i

Wejście do tej posesji odstrasza: wąskie podwórko zwałone przymami żużli i popiołu, sterty walających się śmieci, jakies pojemniki... Nad wejściem tablica informacyjna: „Progal” Przedsiębiorstwo Produkcji Galanterijno-Obciennej Zakład nr 3 oraz Ośrodek Adopcyjno-Wychowawczy przy ZW TPD. Od siebie dodaje adres: Łódź, ulica Nawrot 30.

Trafic do tej drugiej instytucji nie jest łatwo. Ktoś beztrudno usytuował ją właśnie w tym nieprzystupnym i zaniedbanym miejscu wzdłuż ulicy na trzecie piętro. A przecież jest to placówka ważna, jak mało która, w naszym systemie wychowawczym, bowiem to ona swoim działaniem sprawia, iż wiele dzieci odnajduje własny dom i ciepło rodzicielskie.

Zacznę jednak od historii. Zaraz po wojnie palącym problemem była sprawa sierotstwa naturalnego i ludowa natychmiast rozciągała opiekę nad dziećmi, których rodzice albo zginęli w obozach zagłady, nie powrócili z przymusowych robót, polegli na froncie. Tamta tragedia dzieci była jednak zrozumiała, powszechnie uznana, mobilizująca do niesienia tym dzieciom pomocy i opieki. I trzeba przyznać, że mimo ogromnych trudności, jakoś uporano się z owym, występującym przecież nie tylko w Polsce, problemem.

Mijały lata. Wydawałoby się, że takie pojęcie jak sieroctwo winno się kojarzyć z wyjątkowo nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Okazało się jednak, że sierot wcale nie ubywa, że w warunkach pokoju staje się sieroctwo problemem wcale niebagatelnym. Wkrótce otrzymano ono urzędową definicję jako sieroctwo społeczne. O co tu chodzi?

Pierwsze placówki opiekuńczo-wychowawcze powstały zaraz po wojnie i były przeznaczone dla dzieci—sierot z lat wojny i okupacji. Umieszczanie w nich dzieci—sierot z lat późniejszych, których sieroctwo miało zupełnie inne podłoże, okazało się niewystarczające i wymagało już zupełnie innych metod i sposobów. Powojenne sieroty to dzieci przejawiające zaburzenia emocjonalne wynikające z braku więzi rodzinnej, dzieci cierpiące na tzw. chorobę sierocą. Jest to sprawa znana lekarzom i psychologom. Wiadomo, że prawidłowy rozwój psychiczny wszystkich dzieci, i tych osieroconych w niemowlęctwie, i tych opuszczonych w wieku późniejszym, jest z reguły zagrożony. Opuszczenie czyni w psychice ogromne spustoszenia, rozłąka z matką kaleczy w stopniu przerażającym rozwój tak psychiczny jak i umysłowy dziecka. Specjaliści twierdzą, że dzieci opuszczone przez matkę mogą mieć opóźniony rozwój psychofizyczny, może z tego powodu wystąpić upośledzenie umysłowe, a w wieku późniejszym zaburzony rozwój osobowości — brak zainteresowania w poznawaniu świata, słabe postępy w nauce, zaburzenia emocjonalne, trudności w nawiązywaniu kontaktu z rówieśnikami itp.

Do lat sześćdziesiątych praktycznie dzieci opuszczone w większości były wychowywane w domach dziecka do czasu osiągnięcia pełnoletności. Lecz pedagogicy, służba zdrowia i sądownictwo postulowały nowe rozwiązania. Wychodzono bowiem ze słusznego założenia, że najlepszą formą wychowawczą jest oddanie dziecka—sieroty rodzinie, która mu stworzy dom w całym tego słowa znaczeniu. Specjalne słowa uznania należą się tu TOWARZYSTWU PRZYJACIOŁ DZIECI, które nie ustawało w różnego rodzaju inicjatywach i doprowadziło wreszcie do powołania w 1975 r. Ośrodków Adopcyjno-Opiekuńczych. Ośrodkom zlecono m.in.: organizowanie umieszczenia dzieci osieroconych w rodzinach adopcyjnych, w rodzinach zastępczych, w rodzinnych domach dziecka. A ponadto do zadań ośrodka należy także zapobieganie odruceniu dziecka przez rodziców własnych, dobór kandydatów na rodziców adopcyjnych, a także zastępczych dla rodzin zastępczych, dobór dzieci kwalifikujących się do rodzin adopcyjnych, zastępczych itp.

W Łodzi taki Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy został powołany w 1975 r. i od razu rozpoczął działalność, jako że w mieście była spora liczba dzieci opuszczonych przez rodziców i przebywających w różnego typu placówkach opiekuńczych, a nie mających szans powrotu do własnych domów. Jednocześnie okazało się, że jest spora ilość matek, które z różnych powodów nie mogą mieć własnych dzieci i są gotowe stworzyć nową rodzinę dla dziecka osieroconego. Wkrótce propozycje się odwróciły: jest więcej rodzin poszukujących dzieci, niż dzieci osieroconych. Dziś są przysłowiowe „kolejki” po dzieci.

— Czy rzeczywiście sytuacja jest aż tak dobra? — pytam kierownika Ośrodka Adopcyjno-Opiekuńczego TPD JANINĘ CYNKER, która przed laty ten ośrodek organizowała.

— Sytuacja byłaby dobra wówczas, gdyby nie było w ogóle potrzeby wyszukiwania odrzuconym dzieciom nowych rodzin. Ale tak nie jest. I choć ilość chętnych na przyjęcie dzieci ciągle rośnie, nie wszystkie dzieci mają szczęście odzyskać własny dom.

— Nie rozumiem.

— Dzieci odrzucone, to nie tylko dzieci zdrowe, ale jest wśród nich, co prawda niewielki procent, dzieci utomionych lub upośledzonych umysłowo. Prawda, nie ma kłopotu z adopcją lub rodziną zastępczą dla dzieci zdrowych, lecz co zrobić z tymi pozostałymi?

— Zanim przejdziemy do szczegółów, proszę wyjaśnić na czym polega adopcja, co to jest rodzina zastępcza, a co to jest rodzina zastępcza terapeutyczna?

— Jeśli rodzina naturalna, która odrzuciła dziecko, wyrazi przed sądem zgodę na anonimowe przysposobienie, wówczas po konsultacjach lekarskich dziecko takie może być przekazane rodzinie, która od tej chwili staje się jego faktyczną rodziną. I to jest adopcja.

— Czyżby zdarzało się, że rodzice nie chcą się zrzec władzy rodzicielskiej mimo odrucenia dziecka?

— Oczywiście. Powiedzmy, że w wyniku wyroku sądowego dziecko zostało umieszczone w zakładzie opiekuńczym i rodzice nie chcą go widzieć, ale na samo wspomnienie, aby się rzekli władzy rodzicielskiej, popadają w euforie. Niech siedzi w zakładzie, ale niech będzie nasze. Nie musimy dodawać, jaką krzywdę czyni przez swój upór dziecku.

— Ile dzieci w ciągu roku znajduje nowych rodziców?

— Około setki.

— Z jakich rodzin pochodzą te dzieci?

— Od rodziców alkoholików, od rodziców chorujących psychicznie, degeneratów, z rodzin rozbitych, kiedy to każde z małżonków założyło nową rodzinę zapominając o dzieciach z pierwszego swojego małżeństwa, od samotnych dziewczyn, które twierdzą, że nie mogą wychować dziecka, gdyż rodzina nie chce zaakceptować „panny z dzieckiem” itp.

— A nowi rodzice? Z jakich grup społecznych się wywodzą?

— Właściwie są reprezentowane wszystkie zawody. Zawsze są to już małżeństwa życiowo ustabilizowane, ich związek jest w miarę trwałe, są zasobni materialnie. Wszystko właściwie mają prócz dzieci. I wiedzą, że własnych mieć nie mogą. Zdarza się jednak, że zgłasza się do nas rodzina mająca swoje dzieci i pragnie wychować jeszcze jedno. Przyznam się, że jest to najczęściej uklad, gdyż dziecko będzie wychowywane wśród innych dzieci. Nasz kodeks opiekuńczy nie stawia warunków, że adoptować dziecko może tylko rodzina bezdzietna.

— Jak pani wyszukuje rodziców zastępczych?

— Zgłaszają się sami.

— I pani od razu kieruje ich do zakładu opiekuńczego, gdzie mogą sobie wybrać dziećcynek lub chłopczyka?

— Adopcja to wielka odpowiedzialność. Zaraz dziecko zostanie formalnie im przekazane, prowadzimy z przyszłymi rodzicami długie i wyczerpujące rozmowy, które pozwalają nam

EUGENIUSZ IWANICKI

W kolejce po dziecko

ustalić, czy ci ludzie spełniają warunki dobrych rodziców. Musimy wiedzieć nie tylko o ich stanie majątkowym, czy miejscu pracy, ale musimy znać całą ich przeszłość — czy nie byli przypadkiem już raz rozwiedzeni i nie pozostawili gdzieś dzieci, czy ktoś z nich nie jest alkoholikiem, czy nie są awanturnikami itp. Ponadto dokonujemy także wywiadu społecznego. To trwa. Przecież chodzi o człowieka, o jego przyszłość. I kiedy zebrane przez nas informacje przeważają na korzyść przyszłych rodziców, dopiero wówczas sprawa trafia do sądu, gdzie przeprowadza się sprawę albo o ustanowienie władzy zastępczej, albo o adopcję.

— Na czym polega adopcja, a co to jest rodzina zastępcza?

— Dziecko adoptowane przyjmuje nazwisko nowych rodziców, staje się na zawsze członkiem rodziny. Natomiast rodzina zastępcza wychowuje dziecko do chwili jego usamodzielnienia się i dziecko pozostaje przy własnym nazwisku.

— Powiedziała pani, że „popyt” na dzieci jest duży, większy niż „podaż”, że użyje języka handlowego.

— W kolejce czekają ci, którzy chcą adoptować.

— Długo czekają?

— Czasem ponad rok.

— A pozostali?

— Rodziny zastępcze nie czekają wcale. Dzieci są w tej chwili czurowo może być przekazane takim rodzinom. Są to już dzieci starsze: trójka rodzeństwa (dziewczynka i dwóch chłopców) żyjących bardzo ze sobą, których nie chcemy rozdzielać oraz 10-letni chłopczyk.

— Czy z faktu, że ktoś adoptuje dziecko lub przyjmuje go do rodziny zastępczej, wypływają jakieś specjalne przywileje?

— Przy adopcji żadne, bowiem dziecko staje się członkiem rodziny i korzysta z ogólnie przyjętych uprawnień. Natomiast rodzina zastępcza otrzymuje na dziecko 4.400 zł miesięcznie.

— Mówiliśmy dziś także o rodzinach zastępczych terapeutycznych. O co to chodzi?

— Mówiłam, że wśród dzieci odrzuconych są dzieci kalekie i upośledzone. Dlatego dla nich poszukujemy specjalnych rodzin. Niestety, nie możemy znaleźć chętnych. Obecnie są trzy takie dziewczynki, ale nikt ich nie chce wziąć. Jeśli w najbliższym czasie nie znajdziemy chętnych, te dzieci wymagające specjalnej troski i opieki, trafią do placówki opiekuńczo-wychowawczej.

— Czy taka rodzina także otrzyma jakąś gratyfikację, jeśli zgodzi się przyjąć na wychowanie takie upośledzone dziecko?

— Ależ tak, 7.000 zł miesięcznie.

— Proszę pani, rodzice, którzy adoptują dziecko i rodzice z rodziny zastępczej, nie muszą wykazywać się specjalnymi kwalifikacjami wychowawczymi. Sądzę jednak, że od opiekunów biorących na wychowanie dziecko odbiegające od normy rozwojowej chyba wymaga się czegoś więcej?

— Oczywiście muszą oni posiadać odpowiednie kwalifikacje zapewniające należyłą opie-

kę; m.in. stał pedagogiczny w wychowaniu dzieci własnych lub osieroconych, umiejętność zajmowania się dziećmi trudnymi, niepełnosprawnymi, kalekami. Słowem, muszą to być ludzie odpowiedzialni za swoje postępowanie, mający dobre warunki mieszkaniowe, stałe źródło utrzymania, zdrowi fizycznie i psychicznie....

— Ale czy poradzą sobie z dzieckiem, które przecież jest chore i być może takie pozostanie?

— Rodzice z terapeutycznych rodzin zastępczych mają zapewnioną opiekę ze strony ośrodka adopcyjno-opiekuńczego TPD, współpracę z terapeutą oraz nieustający kontakt z odpowiednią przychodnią lekarską i poradnią wychowawczo-zawodową. A wszystko po to, by nie tylko nieść doraźną pomoc choremu lub niepełnosprawnemu dziecku, ale żeby w przyszłości zagwarantować mu zdobycie zawodu, pracy i mieszkania. To bardzo ważne. W ten sposób przywrócimy społeczeństwu jego obywatela, który bez takiej pomocy pozostanie tylko człowiekiem chorym lub niepełnosprawnym. I jeszcze jedno: wszystkie te sprawy regulują odpowiednie akty prawne.

— Z dalszej rozmowy wnosię, że ośrodek zatrudnia sporą armię ludzi?

— Nie podobnego. Od trzynastu lat skład personalny ośrodka nie uległ zmianie: mamy 5 i pół etatu pedagogicznego, w tym psycholog, oraz pół etatu dla sprzątaczk i pół etatu dla sekretarki.

Tyle w rozmowie z kierownikiem Ośrodka Adopcyjno-Opiekuńczego TPD w Łodzi. Od siebie dodam, że pracownicy merytoryczni legitymują się wyższym wykształceniem i sporymi stażami pracy (od 7 do 15 lat). Są to kobiety młode, przed czterdziestką, bardzo zaangażowane w wykonywaną przez siebie pracę.

Ośrodek swoją działalnością obejmuje w zasadzie województwo łódzkie, choć kandydatów na rodziców zgłaszają się także z województw ościennych, a w czasie mego pobytu w ośrodku był telefon z Francji. Zamieszkała tam rodzina bardzo chce mieć dziecko i to do tego z Polski. Wspomniłam, że chętnych adoptować dziecko jest bardzo dużo, lecz ciężkawo jest to, iż rośnie popyt na dziewczynki. W większości zgłaszający się dopytują się o dziewczynki, prawdopodobnie wychodząc z założenia, że dziewczyna nawet po wyjściu za mąż pozostaje przy rodzicach, natomiast chłopiec z reguły odchodzi z domu.

Ośrodek współpracuje z placówkami opiekuńczo-wychowawczymi z terenu województwa, takimi jak — dwa Państwowe Domy Dziecka, trzynaście Domów Dziecka, jeden Państwowy Dom Małego Dziecka, siedem szpitali położniczych, a także z Sądami Rejonowymi, z ZOZ-ami. Na miejscu działa Komisja Kwalifikacyjna zajmująca się oceną przydatności kandydatów na przyszłych rodziców.

Wydawać by się mogło, że z chwila, kiedy nowi rodzice zabierają dziecko do domu, kontakt pomiędzy nimi a ośrodkiem definitywnie się urywa. Ale tak nie jest. Teraz szczęśliwi rodzice zaczynają przyjeżdżać na ulicę Nawrot 30, by pochwalić się rosnącym szybko dzieckiem, zasięgnąć przy okazji rady na temat wychowania i dalszej opieki. Nie należy się temu dziwić, skoro weźmie się pod uwagę, że takie rodziny przez długie lata nie miały kontaktu na co dzień z małym dzieckiem.

Na zakończenie chciałbym kilka zdań poświęcić Towarzystwu Przyjaciół Dzieci, którego jednym z ogniw są właśnie Ośrodki Adopcyjno-Opiekuńcze. TPD kontynuuje społeczne tradycje wychowania środowiskowego zapoczątkowane w latach międzywojennych przez ówczesne Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. Oto co pisało na ten temat:

„RTPD postanowiło dążyć we własnym zakresie, w oparciu o pomoc i poparcie społeczne, do wychowywania dzieci robotniczych, na świadomych i twórczych członków społeczeństwa, wyrobić w nich poczucie solidarności robotniczej, poszanowanie pracy, umiarkowanie wolności i gotowość do poświęcenia swoich sił dla dobra kraju i klasy robotniczej”. I dalej: „Wychowanie RTPD miało całkowicie charakter socjalistyczny”.

Odrodzone po wojnie TPD przejęło postępowe tradycje nurtu opiekuńczo-wychowawczego i zaczęło tworzyć rozgałęziony i rozległy system opieki nad dzieckiem. Oczywiście nie należy przeceniać tej działalności, jednakże nie można także negować jej udziału w ogólnospołecznym działaniu na rzecz szeroko pojętej edukacji. W 1947 r. TPD liczyło około 83 tys. członków, dziś jest ich ponad milion, działających w blisko 20 tys. kolach. Jest TPD członkiem Międzynarodowej Federacji Wspólnot Dziecięcych (FICE) a także w Światowej Organizacji Wychowania Przemysłowego (OMEPE) wchodzącej w skład UNESCO.

Piękna to rzecz być potrzebnym innym, nieś pomoc i pocieszenie, lecz najpiękniejsza to zapewnić drugiemu człowiekowi przyszłość, uratować go dla społeczeństwa, stworzyć mu nie tylko jego własne miejsce, ale i trwały punkt oparcia, jakim jest rodzina. I dlatego postanowiłem napisać niniejszy artykuł wyrażając w nim swój głęboki szacunek dla ludzkiej pracy nad przywracaniem dzieciom ich dzieciństwa.

Sejm zapracowany

Kolega mój, dziennikarz „Prawa i Życia” Andrzej Jankowski, pisząc o dotychczasowym przebiegu ósmej kadencji naszego Sejmu („PIZ” — nr 48 — 25. 11. 1983) dokonał trudu obliczenia aktywności parlamentu przy pomocy prostych wskaźników ilościowych. Obraz wyłaniający się z tych liczb jest nieco przerażający: w ciągu czterdziestu posiedzeń plenarnych (do tej pory odbyły się już 42, co niekiedy wskaźniki powiększa) podjęto 319 uchwał, w tym kilkudziesiąt o doprawdy fundamentalnym znaczeniu dla państwa, uchwalono 113 ustaw, w tym także kilkadziesiąt niezwykle ważnych — m. in. zmiany w Konstytucji i kilka ustaw o zasadniczym znaczeniu ustrojowym; komisje odbyły 1400 posiedzeń, a różne, często ad hoc powoływane, podkomisje 1168 posiedzeń — oznacza to, że właściwie nie było dnia od początku kadencji wolnego od prac sejmowych w znaczeniu najpóźniej dosłownym, a warto przy tym pamiętać, że z reguły posiedzenie pracują nie tylko w jednej komisji...

Intensywność prac Sejmu, narzucona z jednej strony przez kryzysowe okoliczności i stan organizacji państwa, zaś z drugiej strony przeciętę dobroliwie przjętą przez posłów — ma dobre i złe aspekty. Nie o wszystkich chęć wspominać — tylko o jednym: wydaje mi się, że obywatele postawie znajdują się stale — używając języka szachowego — w niedoczasie. Co więcej — sądzę, że czasu im nie dostaje na najważniejsze — na autentyczne, ciałej i „gesty” kontakt z wyborcami, z powodu nadmiernego obciążenia obowiązkami na Wilejskiej.

Proszę, aby wojewódzkie zespoły poselskie w tym miejscu nie bombardowały mnie szlachetnymi wyliczeniami czarno na białym, ile to ich członkowie odbyli spotkań z wyborcami (a o ile procent więcej, niż w tym samym okresie minionej kadencji np., co jest ulubionym chwytem statystyków), ile przyjęli obywateli na ilu dyzurach, ile o to chodzi.

Mamy inny miernik polskiej aktywności w terenie, wynikający z nawyku uważnego czytania dzienników. Otóż od pewnego czasu z lamów części informacyjnych gazet zniknęły nazwiska posłów, większość z nich — poza kilkoma zaledwie zawodowymi dziennikarzami — przestała się wypowiadać publicznie w prasie niejako na własny rachunek (nie licząc tu wcale blicie pojawiających się wywiadów z parlamentarzystami). Nie jest to ani efekt antypodstawy zmowy redaktorów prasy, ani też nadwrażliwość i przesadnej skromności samych posłów. Ci ostatni po prostu przestali „bywać”, jeśli można tu użyć słowa mającego znaczenie raczej zabawowo-towarzyskie. Ale o to właśnie chodzi.

Przyznaję, że latwo w tym miejscu postawić zarzut, iż w przeszłości owo „bywanie” nazbyt często miało charakter formalny, że postawie służyły do dekorowania i „poszerzenia placzyszczy” stołów przydialnych. Zgodzę. Ale byli... Na ogół nie zakneblowani — można było z nimi publicznie rozmawiać, zadawać pytania, dyskutować, nawet spierać się i wykiwać (choć to na ogół nie mieści się w naszej nazbyt ulizanej kulturze politycznej).

Teraz posłowie zniknęli w okopach ustawodawczych na Wilejskiej. Może warto trochę zwolnić tempo tam i częściej być z ludźmi, z wyborcami?

Po dwóch ogólniejszych uwagach parę słów o listopadowym posiedzeniu Sejmu. Ale chciałem się tu skoncentrować nie na szczególnie ważnych momentach tego posiedzenia, znanych powszechnie i wielokrotnie komentowanych... W trakcie obrad, przy uchwalaniu prawa dewizowego, pojawiła się kwestia jakby nie zauważona przez opinię publiczną w nałoku sejmowych wydarzeń — mam tu na myśli próbę podjętą przez posła Edmunda Osmańczyka, zakwestionowania zgodności tej ustawy z Konstytucją. Poważny to zarzut i należałoby się przyrzec mu z bliska.

Posł Osmańczyk zarzucił ustawie, że wprowadza kategorię specyficznego rodzaju tzw. dewizowca, mianowicie obywatela polskiego legitymującego się paszportem konsularnym — każąc mu płacić za wjazd do Polski, wymieniać dolary (dokładnie siedem) za każdy dzień pobytu i wprowadzając jeszcze kilka innych ograniczeń. Jest to jakoby niezgodne z Konstytucją, gwarantującą wszystkim obywatelom równe prawa. Protest posła Osmańczyka jest częścią prowadzonej przez niego kampanii na rzecz tzw. polonii zagranicznej, której wypadałoby poświęcić nieco więcej uwagi, czego nie omieszkać uczynić niebawem, albowiem ten właśnie fragment publicznej działalności posła ziemi opolskiej budzi we mnie odruch sprzeciwu, jeżeli nie zażenowania i obrzydzenia — mimo ogromnego szacunku dla doświadczonego Osmańczyka, jego wieku, działalności politycznej i publicystycznej, a przede wszystkim nieklamanej, wysokiej próby patriotyzmu.

Otóż w tej konkretnej sprawie uważam, że prawo do bezpłatnego wjazdu do Polski i darmowego w niej przebywania dla obywateli tego kraju, którzy stale w nim nie mieszkają — nie jest prawem konstytucyjnym. To demagogiczna bzdura... Co więcej, byłoby niezasadnym przywilejem dla tych, którzy zarabiają za granicą, tamże płacąc podatki, natomiast w ogóle nie uczestniczą — jak my wszyscy, którzy tu żyjemy — w ponoszeniu kosztów naszej wspólnej, społecznej egzystencji. Ci ludzie na ogół sami wybierali swój los, na ogół odwrócili się od swego państwa, by poprawić swój byt osobisty. Nie widzę powodu, aby z ich przyjazdów — do kraju ojczystego korzyść odnosił tylko cinkciarz i inna swolucja — w imię proponowanego przez posła Osmańczyka budowania mostów do rodaków w diaspore.

Nowe prawo dewizowe Sejm uchwalił przy pieciu głosach sprzeciwu i dwudziestu wstrzymujących się.

T. SAS

Dokończenie ze strony 1

— Dyrektorów jest mniej. Jest pięciu.

— No, a Wieruszów i Łódź?

— W sumie trzynastu. Zlikwidowaliśmy Zakład Doświadczalny i Biuro Generalnych Dostaw.

— A co zmieniło się, jeśli chodzi o pracowników umysłowych?

— Porównanie struktury zatrudnienia u nas z podobnymi zakładami na Zachodzie nie wychodzi na naszą niekorzyść. Z jednym zastrzeżeniem. Tam ogromna ilość ludzi pracuje nad zmniejszeniem kosztów. Żeby taniej kupić pompę, uzyskać większy rabat, znaleźć coś przecenionego. U nas taka działalność jest niemożliwa. Poteżna grupa pracowników naszego zakładu jeździ po Polsce nie po to, żeby kupić taniej. Jeździ po to, żeby kupić.

A porównajmy transport. U nas trzeba mieć własne środki przewozu, bo usługi w tej dziedzinie są zawodne. Tam korzysta się z firm przewozowych.

U nas są samochody służbowe i kierowcy. Tam pracownicy kierownictwa jeżdżą własnymi samochodami. Firma pokrywa część kosztów nabycia i daje ryczałt na eksploatację.

— Nie może pan tego wprowadzić u siebie?

— Pobudza mnie pan do śmiechu.

Oszczędzamy jak możemy. Od czasu do czasu jeździmy samymi samochodami służbowymi. Ale jest i inna sprawa. Samochody mają limity benzyny. W związku z tym część kierowców zwolnił się i jeden ma przydzielone dwa lub trzy pojazdy. Po to, żeby przez cały miesiąc miał zajęcie. Po kilku bowiem wyjazdach wyczerpuje się limit paliwa na dany pojazd. Wtedy przesiada się na następny, potem na następny, aż dojeżdży do końca miesiąca. Po pierwszym historii się powtarza. Inaczej się działaby bezczynnie.

— I to ma być oszczędność?

— Jeśli jest tak jak jest? Przecież nie wszystko zależy ode mnie. Ja tylko dostosowuję się, a przy tym chcę to zrobić jak najmniejszym kosztem. Nie jest dobrze, że samochody mają akurat tyle tylko benzyny, żeby nie zardzewiały od stania.

— Moglibyście mieć tych samochodów mniej...

— No tak, gdybyśmy na tę mniejszą ilość dostawali tyle samo benzyny co przedtem. Oczywiście.

— Jest to rozrzutność środków pod pozorem oszczędzania. Limity GIGE zmuszała nas do działań z gruntu niekonstruktivnych.

— Nie tylko mnie.

— Przecież te samochody powinno się sprzedać i to ze sporym zyskiem!

— Oczywiście.

— Ale wróćmy do sprawy iu pracowników umysłowych. Odeń odeszło?

— Kiedy podliczono u nas zatrudnienie do grupy pracowników biurowych zaliczono też projektantów, konstruktorów, technologów. Stąd zwiększyliśmy stałe. Ale to jest nieporozumienie. My sprzedajemy myśl techniczną, czyli ich pracę. Natomiast pracowników biurowych odeszła setka. Przymusowo. Praktycznie nikt z tej setki nie przyjął pracy na produkcji. Stworzono odpowiednie warunki. Odeszli do innych przedsiębiorstw, gdzie też siedzą za biurkami.

— Może proponował im pan pracę niskopłatną?

— A skąd?! Pracownicy administracyjno-biurowi rozpiesz-

czani nie są. Robotnicy zarabiają znacznie więcej. A jednak struktura zatrudnienia pogarsza się. Mimo konkurencyjnych płac w tej chwili możemy zatrudnić od ręki 300 pracowników fizycznych.

— Widocznie ludzie nie wierzą w stabilizację zakładu. W ubiegłym roku zarabiali po dwa — trzy tysiące i byli pośmiewiskiem wszystkich, że pracują u bankruta.

— Aż tak źle nie było...

Ale teraz nie ma takich obaw. Dobry fachowiec zarabia nawet 20 tysięcy miesięcznie. Praca jest ustabilizowana. Zarobki zależą od wkładu pracy. Od pewnego czasu wprowadziliśmy progresywną premię.

W systemie dniówkowym, jeśli jeden robotnik wykonuje 80 procent normy, a drugi 120, to ten lepszy niewiele więcej zarabia. W akordzie prostym dostaje więcej o 50 procent. U nas ten lepszy zarabia dwa razy więcej. Zrobiliśmy to tak. Średniakom zostawiliśmy warunki płacy nie zmienione. Daliśmy najlepszym, odbierając tym najgorszym. Żeby zachęcić do wzrostu wydajności pracy, daliśmy gwarancję norm. Oczywiście opowiadam o tym upraszczając sprawę.

— No i skutki są widoczne. Odeszli ci, którzy pracowali niespiesznie, ale swoje 80 procent normy wykonywali. Teraz nie ma kto robić i tego. Ma pan nadzieję, że przyjdą lepsi?

— Nie wszyscy odeszli. Większość zaczęła lepiej pracować. Obecność ludzi, którzy zamiast pracować objali się, była demoralizująca.

— Poczyna pan sobie, jakby za bramą stały tłumy ludzi, którzy tylko o tym marzą, żeby u was pracować. Czy pan jest pod wpływem „Pamiętki z Celulozy”? Nie boi się pan? W ubiegłym roku nieomal byliście bankrutami.

— Oczywiście, że to trzeba robić ostrożnie. Jesteśmy przedsiębiorstwem socjalistycznym, którego celem jest nie tylko produkcja. Także zadania społeczne. Ale właśnie dlatego tolerowanie obiboków nie może mieć miejsca.

— A co na te preferencyjne zarobki związki zawodowe, które w gruncie rzeczy są gorącymi zwolennikami egalitaryzmu?

— Ja byłem bardzo zaskoczony wynikami sondażu. W początkach funkcjonowania tego systemu a były to jednocześnie najtrudniejsze czasy dla zakładu grupa komisarzy wojskowych przeprowadziła rozmowy. Robotnicy poparli ten system.

Ale dobra płaca to nie jedyny warunek wyprowadzenia zakładu na czyste wody. Podjęliśmy produkcję maszyn rolniczych. Przewidyaliśmy dostawy eksportowe. Najważniejszym jednak zadaniem było zmontowanie kolektywu zakładowego, czyli zorganizowanie załogi. Niech to brzmi jak slogan, ale to prawda. Od ludzi zależy najlepiej.

— Dokąd teraz eksportujecie?

— W najbliższym czasie zamierzamy podpisać kontrakt na dostawy dla naszego nowego partnera. Bułgarski kombinat „Rekord”. Już mamy podpisaną umowę na 200 mln złotych. Najbliższa perspektywa: 500 mln. To są różnego rodzaju maszyny. Praca na dwa-trzy lata. Zaawansowane są też rozmowy z partnerem radzieckim na maszynarnie do kombinatów. Oby z nimi dostawa 2-2,5 miliardów. Ale wszystko zależy od tego, czy dostaniemy całość.

— To wy macie znaczących konkurentów w krajach socjalistycznych?

— Tak. Konkurencji w naszym kraju. W Europie Wschodniej i Zachodniej też.

— Przecież z opinii, jaka o zakładzie wyciszała wasi ludzie, zawsze wynikało, że jesteście najlepsi.

— Ja nie mam takiego mniemania o naszej firmie. Konkurencja jest groźna, chociaż szereg rzeczy czyni nas bardziej atrakcyjnym partnerem.

— To znaczy te wszystkie elementy, które zostały wam po współpracy z Zachodem? Nowoczesna technologia.

— Nie. Naszym największym atutem jest organizacja nasze-

Niech każdy robi to, co umie najlepiej

ZUGIL — jedyny w Polsce producent urządzeń do nanoszenia ochronnych powłok malarskich i galwanicznych. Urządzenia tego zakładu pracują m. in. na Żeraniu. Od 1981 roku zakład wytwarza także maszyny rolnicze (przetrasacze i przetrząsaczozgrabiarki). W 1979 roku wyeksportowano 42 procent produkcji, w tym do strefy dolarowej 8,5 procent. W 1983 roku wartość eksportu wyniosła odpowiednio 25 procent i 0,6 procent. Przed czterema laty zakłady zatrudniały 3251 pracowników, w tym kadra inżyniersko-techniczna liczyła 935 osób, a administracyjno-biurowa 317. Obecnie liczby te są następujące: 2732, 820, 210.

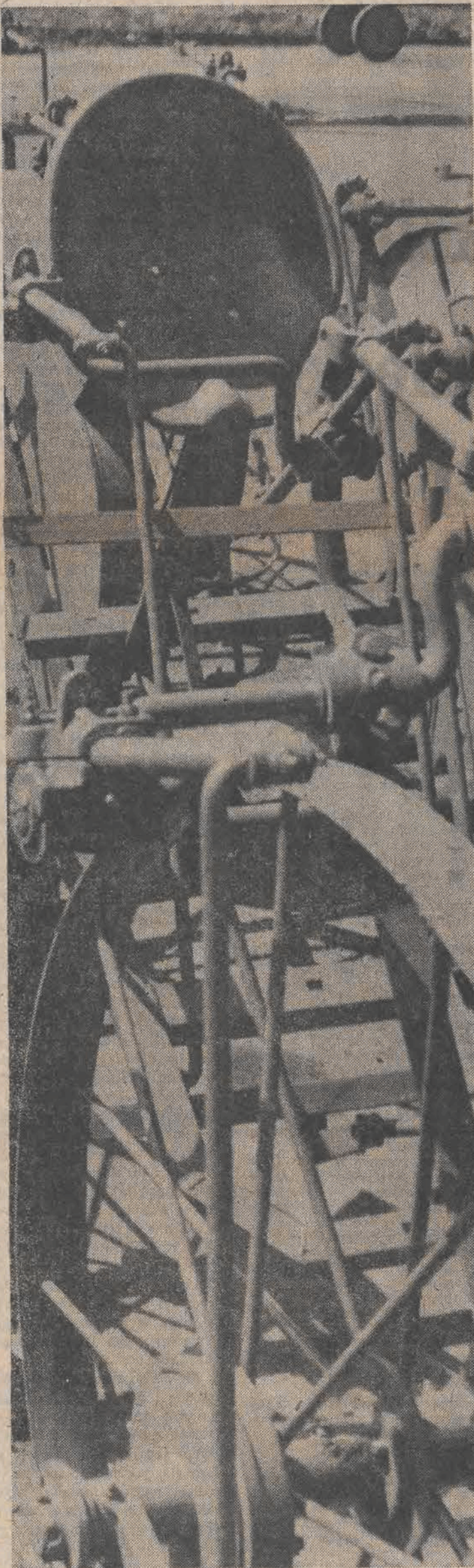


Foto: Wojciech Chorosiński

go przedsiębiorstwa. Konkurenci z krajów socjalistycznych są gorzej zorganizowani. Mamy własne biuro projektowe, duży potencjał badawczy. Dostarczamy kompletne urządzenia, łącznie z przenośnikami z radomskiego Techmatrosu i własnymi oczyszczalniami ścieków i stacjami uzdatniania wody. Oni tego nie robią. Komplectowanie to kłopot inwestora.

— Zesłaliście z rynków zachodnich, albo inaczej mówiąc, wypchnięto was. Kiedyś współpracowaliście ze znanymi firmami, np. „OXY” „DÜRR”, dzięki czemu utrzymywaliście przyzwyczajony światowy poziom. Dziś dostarczacie angielskiej „Mand T Chemicals” jakies filtry i wirniki. Dojdzie do tego, że stracie kontakt z najlepszymi i żeby żyć trzeba będzie klepać te przetrasacze dla rolnictwa.

— Nie można bazować tylko na zakupach licencji. Nie jest to opłacalne. Strategia polega na tym, że wszystkie licencje dały nam potrzebne przyspieszenie, a dalej robimy sami. Cały czas rozwijamy nasze konstrukcje.

— Chce pan wmówić, że jesteście konkurencyjni wobec firm, które sprzedawały wam licencje?

— Niedawno miałem spotkanie z dyrektorem „DÜRR-a”...

— On był u pana, czy pan u niego?

— Oczywiście, on u mnie! Namawiał nas, abysmy wspólnie sprzedawali do krajów socjalistycznych.

— A na handel z krajami kapitalistycznymi nie namawiał was?

— Nie. Bo on tam też nie ma zamówień. Twierdzi, że wszystkie firmy już zbankrutowały, tylko on jeszcze się trzyma. Zapytałem go, czy zna przypadek, że udało mu się z nami wygrać przetarg na jakąś dostawę. Nie znał. Znane są natomiast sytuacje odwrotne. Wygraliśmy z „DÜRR-em” nieraz. Niezmiernie rzadko przegramy z Węgrami i Niemcami. Regułą jest, że kiedy przystępujemy do przetargu, to dostajemy kontrakt. Z propozycji „DÜRR-a” nie skorzystaliśmy.

— Jesteście chyba najpotężniejszym przedsiębiorstwem w krajach socjalistycznych?

— Tak nam się wydawało do niedawna. Po niedawnej wizycie w NRD, w firmach „Infrarot” i „Galwanotechnik”, okazało się, że ich potencjał nie jest mniejszy.

— Czego się pan tam nauczył?

— Górują nad nami w zakresie tworzyw sztucznych, ale nie zawsze. W „Galwanotechniku” spotkałem superwyrafinowane narzędzie do obróbki polipropylenu. Laser.

— Czyli XXI wiek!

— O nie! Jest to bardzo kosztowne, zatrąwa atmosferę. Triumf techniki nad zdrowym rozsądkiem. My to samo robimy metodą wtłusku. Bez odpadów.

— Wartość rocznej produkcji. Czy dyrektor ma wyznaczenie w tych sprawach?

— Za 9 miesięcy jesteśmy do przodu. Na koniec roku wartość produkcji powinna wynieść około 2.200 milionów, 100-200 milionów ponad plan.

— A jak to wyglądało w 1979 roku, jeszcze nie krzywym?

— To były inne pieniądze.

— Właśnie.

— To była podobna wartość, ale z dużo większym udziałem kooperacji. Zachodniej i krajowej. Teraz ograniczyliśmy kooperację do absolutnie niezbędnej. Żeby nie wypuszczać zysku z zakładu, ale również żeby poprawić organizację pracy. Na wielu dostawach trudno polegać. Jeśli producent szaf sterowniczych chce zepsuć mi załatwił wszystkie części, to my takie urządzenie możemy zrobić sami. Bez łaski i nerwów, że nam nie zrobią na czas.

— Nie dziwię się, że w tej sytuacji wzięliście się za produkcję maszyn rolniczych. Robota prosta i bez kooperacji. Opłacalna. Wasze przetrasacze są najdroższe. Można pożerować na chłopach, jak się nadarza okazja.

— Oczywiście, że nasze przetrasacze są drogie. To wynika z tego, że to nie my powinniśmy je produkować. Jesteśmy nastawieni na wytwarzanie zupełnie innych wyrobów. Pracujemy na rzecz rolnictwa, to była taka potrzeba społeczna, co akurat zbiegło się z naszym interesem. Mistrzem świata w tej dziedzinie nie będziemy i jest jasne, że w końcu przegramy z tymi, którzy produkują dla rolnictwa taniej.

Jest taki pojazd, który nazywa się traktor. Jeśli nie ma pan akurat samochodu, może pan jeździć ciągnikiem. Tylko wtedy trzeba się liczyć z tym, że zużycie paliwa będzie dużo większe niż w samochodzie osobowym, a przy tym szybkość będzie dużo mniejsza. My na podobnej zasadzie produkujemy przetrasacze.

Maszyny rolnicze będziemy produkować póki będzie zbyt. Potem w tych samych halach wrócimy do produkcji malarni i galwanizerni. Zamówień mamy pod dostatkiem. I będzie to bardziej opłacalne, zwłaszcza w eksporcie.

— No to bierzcie się za swoją robotę. Zarabiacie dolary. Nie jesteście przecież instytucją charytatywną!

— Nie możemy się wycofać z produkcji maszyn rolniczych. Mamy takie polecenie z ministerstwa. Poza tym chcę pana sprostować: zarabialibyśmy nie dolary, ale ruble.

— Przecież to jest bardzo dobra waluta!

— Oczywiście, ale zboże kupuje się za dolary, więc chyba warto teraz — w ostatecznym rozrachunku — właśnie jeżyc przez jakiś czas pomóc rolnictwu podtrzymując produkcję tych maszyn.

— Jak wynika z naszej rozmowy, ZUGIL po krótkim kryzysie jest znowu dzieckiem sukcesu. Wszystko się wam udało. Dlaczego więc likwidujecie gospodarstwo hodowlane, w którym tuczycie świnię dla stółki pracowniczej?

— Nie mogliśmy dokupić ziemi. Musieliśmy kupować pasze. Mamy 10 ha, z kolei chlewnia może pomieścić 600 tuczników.

— Jan Bulzacki, mistrz-hodowca województwa sieradzkiego dostarczył z 13,7 ha 35 ton mięsa w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy tego roku. Wyprodukujecie przynajmniej połowę tego. Niech wasi ludzie jedzą lepiej.

— Nasi ludzie? Przecież wszystko musieliśmy sprzedawać do punktu skupu!

— W całości?

— No, między nami mówiąc... Ale dlaczego ta hodowla nie wychodzi? Bo hodowanie świń to sprawa rolników specjalistów. To praca dla mistrza Bulzackiego. Podobnie jest z produkcją maszyn rolniczych. Niech każdy robi to, co najlepiej umie. Jest to zasada, która świat zna i stosuje. Mam wrażenie, że ona będzie obowiązywać i u nas. Takie nadzieje wiąże z reformą gospodarczą. Teso wymaga zdrowy rozsądek.

Rozmawiał: JERZY WITASZCZYK

Dokończenie ze strony 1

atakują po chwili znad parującej kawy i świeżo przypalonego „Caro”.
— Nie grzyzie, a poza tym, nie zmieniając nomenklatury, uważam że nasze ulice są kolorowe, dziewczyny ubierają się ze smakiem i potrafią z niczego uszyć cuda — spokojnie odparowuje.
— Te kolory i smak to głównie własny spryt, wyroby z butików, Pewexu, a gdzie te pańskie tysiące ton efektownych dzianin?
— A, tu pana boli! Ma być szersze i po męsku?
— Jasne, bez owijania w dzianinę...
— Dobra, w telegraficznym ujęciu. Moda, nowości — to krótkie serie. A „Bistona” jest za dużym zakładem na takie zabawy. Wielkie serie, standardowe wyroby, w dużej mierze półfabrykat...
— Zakład-moloch, z produkcyjną sztafą...
— To pan powiedział. Aż tak źle nie jest. Ale reklamowały na merce jest wyrób gotowy, a my zaopatrujemy cały kraj w przedzie i dzianiny. Czy to powód do kompleksów? Chyba nie, ale faktem jest, że gotowe, firmowane już przez nas rzeczy powstają na oddziale... pracy chronionej. Druga sprawa — to programy rządowe i operacyjne. One narzucają asortyment. O, pro-

Madame „B” jest w opalach

szę — dyrektor sięga na półkę po katalog próbek. Skrawki dzianin zadrukowane wyłącznie niemal misiami, piłkami, krasnoludkami. Aha, program „Ubiemy przed wszystkim dzieci”. Druga zrywka jest już ciekawsza — pełna kolorystycznie gama dzianin w paski, jest i srebrna nitka.
— To też warze?
— Owszem, zaczęliśmy robić krótkie serie...
— A więc jednak, czy dopiero od czasu gdy został pan tu „handlowym”?
— Poproszę o inny zestaw pytań...
— W porządku: srebrna nitka to już na świecie i na Piotrkowskiej również sprawa nieco przebrzmiała, więc...
— Właśnie, ma pan najlepszy przykład. Gdy pół miasta chodziło w paskach i nitkach turekowskich my, jako przemysł, dopiero się o tym dowiedzieliśmy. Niech pan nie pisze (dlaczego, napiszę do to klasyka), ale na żadne giełdy zagraniczne ukt od nas nie jedź. Bo nie ma dewiz, firma sama nie może wystąpić swojego przedstawiciela. Nikt więc na dobrą sprawę nie wie, co będzie modne na przykład w przyszłym roku i nie sposób wcześniej przygotować pod tym kątem produkcji.
— Szefowie „Bistony” też nie jedź? Niemożliwe...
— Możliwe. Naczelny planował wyjazd do Włoch na „ITME”, to taka renomowana wystawa maszyn włókienniczych, a u nas wymiana maszyn zaczyna być gwałtowną sprawą — ale o tym za chwilę. No więc miał jechać i co? Pojechali lepsi, z zresztą, z ministerstwa, a szef telefonując do Warszawy usłyszał dostojnie: — „Niestety, panie dyrektorze, nie załapał się pan...”
Pani Ela robi co może byśmy mieli parę minut spokojnych, ale dobijający się osobiście i telefonicznie są w przeważnie. Dyskretnie oznajmia więc obecność kilku ważniejszych, w tym dwóch „na linii” i jednego w sekretariacie. Znowu jestem mimowolnym świadkiem efektownej rozmowy na dwie słuchawki, notes i kalendarz z akrobatyczną figurą z „Holiday on Ice”, by zerknąć ktoś to oczekuje za obitymi dermą drzwiami. Jeszcze dwie dyspozycje do działu zbytu, krótka rozmowa z Tym Kimś w sekretariacie, parę podpisów na pilnych papierzykach! — Jabłoński opada na chwilę w fotelu.
— No widzi pan, tak jest codziennie...
— Coż to będą za krótkie serie? — kuje żelazo, póki nie dzwoni żaden telefon.
— Obudziliśmy się wreszcie z tego letargu i chcemy być mimo wszystko, w miarę możliwości, na bieżąco. Stąd kolekcja zwana umownie „Kropeczka”, bowiem przewidujemy...
— ...to już plus...
— przewidujemy, że w roku przyszłym będą modne kropki. I chcemy jak najszybciej sfinalizować rozmowę z domem handlowym „Juventus”. Mamy nadzieję, że na początku 1984 urucho-

mimy tam własne stoisko; będą i rzeczy wyprodukowane bezpośrednio u nas, a część — z naszych dzianin, uszyta specjalnie dla „Juventusu”. Marzą będziemy się dzielić z handlowcami, ale nie o to nawet chodzi. Ważniejszy jest prestiż, reklama zakładu, a przede wszystkim ukazanie realnych możliwości. Stąd też przygotowania do ogólnopolskiej giełdy wyrobów dzianiarstwa w grudniu tego roku.
— Nigdy nie byliście, jeśli się nie mylę, wystawcą w Łódzkiej Hall Sportowej...
— Ale teraz będziemy tam obecni i zdradzę panu, że pokazemy pięć różnych kolekcji, wszystkie z naszych materiałów. Oprócz „Kropeczki”, jak ją roboczo nazywamy, znajdzie się więc na naszym sondazowym stoisku kolekcja ubiorów studniówkowych, sportowych, dzianin z dodatkiem reksora (owe srebrne i złote nitki), oraz dzianin drukowanych w różnokolorowe pasy.
— Czyli jednak można...
— Można, choć będą to zapewne w stosunku do naszych możliwości produkcyjnych ilości niewielkie. Mnie i innych wytwórców wyrobów gotowych trzymają te programy operacyjne. No, ale zobaczymy, satysfakcja będzie i trochę reklamy też. A „nitka” jeszcze i w karnawale będzie modna, więc tak jakbyśmy odrabiali nieco opóźnienia...
Do gabinetu wpada mężczyzna w tak zwanej sile wieku. Po chwili okazuje się, że to „techniczny” — Janusz Pufal. Panowie wymieniają w dyrektorskim slangu kilka uwag na temat jakiejś filii „Bistony” i związanych z tym problemów. Ciekawostka, trzeba będzie też o to podpytać. Jabłoński gestem zaprasza kolegę do stolika: — Siadź, proszę, na chwilę i opowiedz redaktorowi o naszym problemie numer jeden — maszynach w teksturowni — i sam rusza do telefonicznego kontredansu.
Dyrektor Pufal na hasło „teksturownia” wyraźnie poważnieje, czuje że problem groźniejszy niż „kropeczka”...
— Widzi pan, to jest sprawa naszego „być albo nie być”. Teksturownia jest podstawowym wydziałem w zakładzie produkcyjnym przedzie. Pracuje w systemie czterobrygadowym, czyli praktycznie non-stop od chwili uruchomienia w 1974 roku...
— Wkrótce mały jubileusz...
— Nie wiadomo czy dożyjemy, czy nie będziemy musieli tego wydziału... zlikwidować. Pracujące nieprzerwanie przez tyle lat „berlinerki”, czyli teksturarki, są coraz mniej wydajne, natomiast coraz bardziej hałaśliwe. Jeszcze dwa lata temu hałas przekraczał 114 decybeli i inspektor pracy sugerował zamknięcie zakładu. Znowu zmniejszyliśmy obroty maszyn, ale i tak obecne 100-105 decybeli to huk na granicy bólu. Ludzie chodzą w słuchawkach, zatykają uszy watą, jednak jest to bardzo męczące. A jak zmniejszamy szybkość maszyn, to spada i wydajność. Krótko mówiąc, trzeba je wymienić, zamiast 100 przestarzałych postawić 18 nowej generacji. Taka operacja kosztowałaby 9 milionów dolarów.
— Pożyczylibyśmy panom, ale nie chce mi się w domu zrywać podłogi...
— ...ani odsuwać szafy. Rozumiem. „Bistona” nie ma problemów z dewizami na części zamienne, ale cóż, to nie wystarcza na wymianę parku maszynowego. Resort myśli jak sprawę ugrzyć, ale na razie na tym się kończy. Z naszej propozycji tzw. lizingu, czyli wymiany towaru za maszyny, nikt za granicą nie chciał skorzystać. Czekamy, sprawa wisi nad nami jak miecz Damoklesa, albo raczej jak wyrok inspekcji pracy.
Przypuszczałem, że będzie to opowieść z cyklu „gospodarce kółko graniaste, czterokanciaste”. Maszyny średniej jakości, ale pewnie kierunek zakupu był korzystny, później wieloletnia eksploatacja na maksymalnych obrotach, przez całą dobę, świętek piątek. I huk nie do wytrzymania. A zwolnienie obrotów, to jak obliczone — około 2 tysięcy ton przędzy mniej. Nowe maszyny są niezbedne, ale jak sztykuje się wyjazd na międzynarodową giełdę czy wystawę — naczelny „nie może się załapać”. Też klasyka. Zaraz przypominają się historie rozmaite z życia naszych kochanych działaczy gospodarczych, te wycieczki piękne w latach minionych, te trafnie wybierane oferty, korzystne kontrakty, te licencje, inwestycje kapitałowe, które w wielu wypadkach twardo żyły do zera dziś wyhamowało. Ech, molojka fantazja...
Zamknąć teksturownię? Proszę bardzo. W sytuacji, gdy madame „B” jest monopolistą w produkcji surowca na przykład na rajstopy? I nie ma w kraju zakładu dzianiarstwa, który nie zapatrzywałby się tu w przedzie lub dzianiny? Panowie decydujący o przydziale owych 9 milionów obęda się bez skarpetek? Chyba że tak. Bo „Peniks”, „Zenit” czy „Synteks” zapewne staną bez przędzy z „Bistony”.

To były naprawdę inne czasy — włącza się do rozmowy dyrektor Jabłoński. — „Bistona” miała być wyłącznie zakładem produkującym przedzie, obok, przez plot miał powstać drugi moloch — Centralna Dzielniarstwa i Farbiarnia. Tak, na początku lat siedemdziesiątych te „centralizmy” uderzyły nam trochę do głowy. Miała być jeszcze Centralna Konfekcja. „Bistona” była w budowie, gdy zapadła decyzja, że Centralnej Dzielniarstwa nie stawiamy, połączone obie inwestycje w jedno zadanie pod naszym szyldem. Konfekcja już się „nie załapała”. Miało się w Łodzi zlikwidować kilka przedpotopowych dzianiarstw, m.in. w „Lido”, „Marco”, „Dresso”, a ludzie mieli trafić do nas. Jednak tamte dzianiarstwa zostały, a u nas wciąż brakuje ludzi, w podstawowych działach produkcyjnych. Zamiast 2500 osób zatrudniamy — 2100. Mielliśmy produkować wyłącznie dzianiny syntetyczne — taki był wówczas trend. Tylko my jak zwykle budzimy się z ręką w nocniku. Popyt na syntetyki już wtedy spadał i musieliśmy podjąć produkcję wyrobów z... bawełny.

Brak rąk do pracy to konieczność uruchomienia tak zwanych systemów motywacyjnych. Podstawowy — wiadomo, zwiększone zarobki. Ile dokładnie otrzymują na „rękę” w „Bistonie” napisać nie mogę, bo to by zakrawało na zarobkową reklamę, ale mogę powiedzieć, że dużo, na pewno dwa razy więcej niż moi rozmówcy i niżeli podpisany (całe szczęście, że nie muszę pracować w słuchawkach...)
— Innym rozwiązaniem jest uruchomienie filii zakładu, tam gdzie nadwyżka rąk do pracy. Uchylamy rąbka tajemnicy: w przyszłym roku, w przyszłym kwartale, powinna ruszyć filia „Bistony” w Wiencu koło Włocławka. Oni dają hale i ludzi, my ustawiamy nasze maszyny, przeszkolimy załogę. Robota będzie szła pod naszym nadzorem i będzie więcej poszukiwanych dzianin. Głównie wyrób trafi na rynek miejscowy, ale ważne że będzie. Nie ukrywam, że „Bistona” zalicza to sobie do tak zwanego przerobu...
Pani Ela jest nieublagana. Dzielnie bronila Jabłońskiego przed interesantami z zewnątrz i papierami do podpisu, ale nadszedł czas Ważnej Wizyty. Dyskretnie przypomina:
— Panie dyrektorze, jest za dziesięć dwunasta...
Oho, zbliża się godzina „zero”, czyli czas na mnie. Dopłam wystygła kawę, notując jeszcze tylko, że wiele sobie obiecują po współpracy z rzutkim kierownictwem łódzkiego „Juventusu”. że marzą będą się dzielić, ale dla nich, dla producentów nie to się liczy. Najważniejsze będą wreszcie jakieś sugestie wzornicze ze strony domu handlowego, zatrudnionych tam plastyczek. może będą bardziej na czasie.

Zegnam się, obiecując obu panom, że jeszcze tu wrócę, bo tematu nie wyczerpalimy bynajmniej. W windzie, która nie wie-dzieć czemu zatrzymuje się na co drugim piętrze, jadą także dwie dziewczyny ze słuchawkami na szyi. Nadstawiam ucha w rozległym hallu na parterze: jakieś dalekie dudnienie. Czyżby nieszczesna teksturownia?
Bardzo jestem ciekaw najbliższego losu madame „B”. Będą te maszyny, znajdują się pieniądze, czy będziemy czekać aż istniejące po prostu któregoś dnia rozleca się? Zycze im jak najlepiej, ale głowy nie dam, jaki wariant zostanie praktycznie wybrany. W tym kraju po prostu wszystko jest możliwe! Napiszmy więc tylko, że na dziś madame, a raczej mademoiselle „B” (raptem dziewięć lat...) znalazła się w poważnych opalach...

Kaftan bezpieczeństwa oddam w ajencję

„W pierwszych słowach swego listu chciałem przeprosić, że nie przyniosłem niniejszego tekstu osobiście, ale nie wiem kiedy mnie wypuszczą. Choć dziś rano słyszałem jak pielęgniarki między sobą dyskretnie szepotali: — Ten pod ścianą już groźny nie jest, a za parę dni to i wyć przestanie”...
Piszę o tych ostatnich wydarzeniach z pewnym zażenowaniem, bo — jak Pan Redaktor zapewne wie — moja dewiza jest „Być przygotowanym na wszystko”. Toteż każdego ranka nie zaskoczy mnie ani gradobicie, ani zalane przez sąsiadów z góry mieszkanie. Przygotowany jestem, że „malucha” sprzed bloku mi ukradli, zwolniono mnie z pracy, syna z przedszkola, a „Żytia” skoczyła na tysiąc pięćset. I jeśli tuż po przebudzeniu stwierdzam, że raptem zginęło mi tylko mleko spod drzwi i jedno koło od samochodu — w humorze jestem niemal szampańskim. Jedyna metoda żeby przetrzymać i nie zwariować! Mleka nie było rzeczywiście. W końcu drobiaz, codzienność. Lekko zaskoczył mnie brak ciepłej wody, ale zaraz przypomniałem sobie sąsiadów lamentujących poprzedniego wieczora przed przyceploną na parterze karką. Jasnie Wielmożna Administracja Osiedlowa donosiła tam odręcznym pismem, że zaczynają remont jakieś stacji(?) i nie będzie ciepłej wody przez miesiąc. Koniec. Kropka. Ani słowa przeprosin. Niech się lokatorzy cieszą, jeśli dostaną trochę wrzasku na Wigilię! Jak będą grzeć...
Otrzewiony przyjemnym, lodowatym strumieniem z kranu popędziłem do sklepu po pierwsze z brzegu „chrupiące bułeczki”. W nocy faktycznie ziałał przymrozek, bo tuż za frontowymi drzwiami wywinąłem pięknego „rageberga” i padłem aż chodnik jękając. — Patrz na te niedzardę spod jedenastego... — rechotało trzech facetów ukrytych w zacisznym wnętrzu pomieszczenia zsykowego. Kurzyli spokojnie, bez pospiechu, obok bojowo wetkniętych w stertę płachu topat. Rzeczywiście, tak się zobaczył przed gospodarzem posesji...
W spożywczym supermarkecie nie brakowało niczego. Ani słodków, ani słonek, ani pasty do pucowania podłóg. Zwiastowała pasty. Pęczkowały też było (no i jak tu nie mieć dobrego numeru!). — Z nocy — znużona panienska w kitlu powtarzała w kółko tekst dotyczący brązowych skamielin zalegających pół. W przylutym rogu pawilonu przycupnęło większe towarzystwo. Mieli jeszcze parę godzin do trzynastej, ale wiedzieli, że wytrzymają. Kryzys zlaną wykruszonym piętym, pozycjoną kropką salkicylu, wspomnieniami po wczorajszym „Autowidolu”.

Ustawilem się grzeć po twarózek „Żychliński”, dawali po dwa góra, więc nie było powodów do obaw. Cena, jak sprawdziłem u kasjerki, też od wczoraj nie uległa zmianie. — Czy interesują pana notowania serów twardych również? — przygadała mi, ale przez moment poczułem się jak na giełdzie londyńskiej.
— A ludzi za głupków mają — perorował w kolejkę magister B. — Wczoraj w „Kramie”: facet się ośmiesza, po trzy razy dodaje bułeczki do serwatki, zasady ekonomii ugniata jak wosk i wciąż cena kostki masła wychodzi mi powyżej 100 złotych. Nie koniec na tym, on mi jeszcze sugeruje warianty różnel — Ja miałam makabryczną przegodę z moim matym — zmienia temat pani Halinka. Bawił się przed domem i kolega przypadkiem uderzył go w oczko jakąś gałązką czy patykami. Plakał, że go boli, popędziłem do przychodni rejonowej, pani doktor przepisała krople. Oko puchło, chłopak jęczał, w nocy nie mógł zasnąć. Więc z meżem w samochodzie i pędzimy do szpitala, który miał gstry dyżur. Po godzinie oczekiwania na korytarzu, wraz z mężczyzną, któremu w oku utkwili stalowy ostatek, pani doktor stwierdziła, że to zapalenie spojówek i przepisała kolejną porcję leków. Rano mały na oko już nie widział, tak spuchło. Przypadek zrzędził, że znajomy meż miał z koleją znajomą okulistkę. I powołując się na niego trafiłam do tego samego szpitala parę godzin później, ale już do innej pani doktor. Ta stwierdziła uszkodzenia mechaniczne oka, a leki przepisane w nocy kazała wyrzucić — były przeterminowane. No i wreszcie pomogło. Jednak nasza medycyna wysoko stoi...
Z serkiem i pieczywkiem w siatce statecznym krokiem (chodnik wciąż przypominał warszawski tor-lyżwiarski na Stegnach) wróciłem do domu. A po śniadaniu zasiadłem do telefonu, by załatwić kilka pilnych spraw. Przed oczami miałam szefa wojewódzkiej telefonii obiecującego kilka dni wcześniej w telewizyjnym występie m.in. pięciosekundowy czas oczekiwania na sygnał. Już po kwadransie coś zabuczało. Będąc szczęśliwym posiadaczem specjalnej książeczki z szyframi, pardon, numerami zmienionymi na sześciocyfrowe, bez wahania przebiegałem palcami po tarczy. Cisza. Jeszcze raz. Włączyłem się w jakieś rozmowy. Za siódmym razem — usłyszałem, że „nie ma takiego numeru”. Za siedemnastym — ktoś podniósł słuchawkę po drugiej stronie i miły głos oświadczył: „Międzyminstowa, proszę czekać”. Więc czekałem, a po sekundzie jakby bliźniaczy ait zaczął złowieszco powtarzać: „Wrzuć monetę, wrzuć mone...”
Opanowałem drżenie rąk. Pociężyłem się myślą o setkach, tysiącach zdeorientowanych ludzi usiłujących dodzwonić się do Łodzi, przerażona świadomość mylnie działających telefonów w pogotowiu ratunkowym, straży pożarnej. Znowu padłem kłębny aparat. I jeszcze raz, i jeszcze. Sygnał „zajętości”. Cisza, teraz trzaski, czyjeś słabe już z wysiłku „halo, halo”. I niespodziewanie męski baryton: — „Czy to lotnisko?!” Palce mi drętwiały, tarcza parzyła, od przenikliwego świergotenia w słuchawce bolało ucho. Nie wytrzymałem!!!
Wypadłem na balkon. Ile sił w płuć zacząłem wrzeszczeć w skreconą z gazety prowtorzyczną tubę: — Proszę numer 36-52-44!!! Redakcja?! Halo, halo!!!

A tu jest bardzo przyjemnie. I chciałem przeprosić za niewyraźne pismo, ale udało mi się wyswobodzić tylko jedną rękę. Z kaftana.

— pozostaje z poważaniem —
„GRAHAM BELL”
(primo voto STEFAN ŻYCIOWY)



Foto: Mirosław Zajdler

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Od powstania ZSP minęło sporo czasu. Na początku mówiono że trzeba trochę poczekać, odzyskać zaufanie wśród studentów, przełamać nieufność. Tymczasem w środowisku łódzkim liczącym ponad 20 tys. studentów, tylko kilkomy procent należy do organizacji.

— Około 1500 studentów.

— To nieco więcej niż 3 procent. Bardzo mało.

— Przyczyny takiego stanu rzeczy są wielorakie. Podstawowa jest fakt, że Łódź była niejako epicentrum studenckich strajków. Chociaż przebieg był nieskonformny nawet anarchizujący — to oceniam zakoficzenie strajków pozytywnie dla środowiska. Poprzednia organizacja miała świadomość tego, co można wywalczyć. Generalnie jednak strajk odbił się ujemnie na środowisku. Większość studentów poczuła się zawiedziona w swoich nadziejach i rozczarowana. Być może był to błąd w rozumowaniu. Dzisiaj większość ludzi myśli w sposób „życzeniowy” i „chcielski” nie zdając sobie sprawy ze złożoności sytuacji.

Po marcowych strajkach był stan wojenny i ponownie zawieszono nadzieje. To jedna z przyczyn małej aktywności. Inna — to brak przekonania do skuteczności jakiegokolwiek działania zinstytucjonalizowanego. Mówią, że więcej już nie warto, bo nic to nie da. Żadne ZSMP, żaden PRON i tak dalej...

Również uwarunkowania życia studenckiego na uczelniach nie sprzyjają aktywności. Studiowanie stało się trudniejsze, jest zaostroszony rygor terminowości. Poza tym trudności natury społecznej. Student nie ma czasu na pracę społeczną, musi dorabiać w „Puchatku”, szukać prac dorywczych. Wiele osób, również środki masowego przekazu lansowały poglądy, że po wprowadzeniu nowego systemu stypendialnego, studenci będą mieli cudowne życie. W gruncie rzeczy to wszystko wygląda inaczej.

— Jak to się dzieje, że w różnych uczelniach stopień zorganizowania jest różny, przecież to ci sami studenci?

— Sprawa jest prosta. Po pierwsze: różne obciążenia nauka — na Uniwersytecie na wielu kierunkach wydłużono studia, tymczasem na Politechnice studia nadal trwają 4,5 roku. Jest to znaczne obciążenie. Podobnie na Akademii Medycznej. Czyli: brak czasu, decyzje o liczebności uczelnianych organizacji.

Na Politechnice po powołaniu ZSP sytuacja była tragiczna. Spodziewaliśmy się nawet, że tam organizacja nie powstanie, ZSP w ostatnich latach nie potrafiło tam utrzymać podstawowej grupy aktywnej, co się doskonale udało na AM. Dzisiaj sytuacja na Politechnice wygląda dużo lepiej. Jakos z

tego wybrnęli. Z kolei koledzy z Uniwersytetu doskonale potrafili pracować ze studentami najmłodszych lat. Mają umiejętności docierania do tych ludzi, umiejętność rozmawiania z nimi, potrafili zachęcać i wciągać do pracy społecznej. Dlatego na UE jest najlepiej.

— W szkołach artystycznych Zrzeszenie nie powstało. To wie?

— Ze szkołami artystycznymi jest inaczej, sytuacja jest bardzo złożona. Tamci ludzie mają precyzyjnie określone cele i realizację życiową. Szczególnie w Szkole Filmowej — tam są studenci z zainteresowaniami twórczymi i artystycznymi. Oni swój wolny czas poświęcają na poszerzanie umiejętności, poza szkołą, na pracę twórczą.

Rada Okręgowa wcale nie dała się do tworzenia struktur ZSP na tych uczelniach. Nawigujemy z nimi kontakty, żeby prezentować szerzej ich dorobek twórczy na forum ogólnospołecznym. Chociażby tworzenie w RO galerii plastycznej „Projekt”. Przeglądy Grup Muzycznych itp.

Krótko mówiąc, współpraca na innej płaszczyźnie.

— Wracając do diagnozy. Czy nie uważasz, że znikoma ilość studentów zrzeszonych ma jeszcze jedną, chyba najważniejszą przyczynę — nieufność wywołaną się jeszcze z SZSP?

— Przede wszystkim musimy ustalić, czy chodzi nam głównie o ilość członków. To był błąd poprzedniej organizacji. Pamiętam tamte lata, kiedy legitymacje SZSP-owska otrzymywały się niemal automatycznie z legitymacją studencką. Rozdawano na uczelniach pliki deklaracji i koniec. Po prostu masowość była sprawą najważniejszą. W najbardziej „radycznym okresie” wychodziło, że około 80 procent studentów jest w organizacji. Nikt się nie zastanawiał, że ludzie wstępowali mechanicznie.

Nam nie chodzi o fałszywe liczby na papierze, odeszlśmy o masowości. Chcemy ludzi aktywnych, którzy dokonali świadomego wyboru.

— Czy jesteś przekonany, że te 1500 członków w łódzkim ZSP — to wszyscy ludzie świadomi swego wyboru i aktywni zarazem?

— Nie mogę tego zagwarantować, to jest duża liczba i trudno utrzymać kontrolę. Być może trafili do nas osoby na zasadzie przypadkowości. Ale odeszła wcześniej czy później, w drodze naturalnej selekcji...

— Zostaliśmy jeszcze przy SZSP. Tak się złożyło, że obecny szef ZSP, był w władzach poprzedniej organizacji. Czy widzisz już różnicę?

— Gdybym takich różnic dzisiaj nie widział, nie zdecydowałbym się być szefem. ZSP przestał spełniać swoje funkcje, nie zaspokajał potrzeb studentów, przestał być potrzebny.

Kryzys tej organizacji pokazał okres od marca do maja 1982 r. Wtedy następowala rozsypka. O ile po sierpniu 80 śro-

downo studenckie potrafiło się skonsolidować, zareagować najszybciej na sytuację. Jaka się wtedy wytworzyła — i przewodzić szeroko analizę — to po wprowadzeniu stanu wojennego i zezwoleniu na działalność, sytuacja stała się tragiczna.

Okres od grudnia 1981 do marca 1982 dał wszystkim dużo do myślenia, również studentom. Nie odbyło się to wszystko bez wpływu na aktywność. Poza tym rygory na uczelniach spowodowały, że wielu działaczy szybko pokończyło studia i nastąpił gwałtowny ubytek kadry. Część ludzi po prostu odeszła z organizacji, zawiedziona sytuacją w kraju. Nie da się ukryć, że stan wojenny zahamował proces demokratyzacji i spowodował kryzys świadomości.

— Co w takim razie ma ZSP do zaproponowania?

— Proponujemy możliwość aktywnego życia, aktywnego przeżycia studiów. Przecież młody człowiek nie przychodzi na uczelnię tylko po to, żeby

Rozmowa ze STANISŁAWEM JANKIEM — przewodniczącym Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich w Łodzi.

Diagnoza

Po odwiezieniu organizacja nie potrafiła się odnaleźć w nowej sytuacji. Okazało się, że nie ma już potrzeby stnienia organizacji ideowo-politycznej jaką był ZSP, była natomiast potrzebą utworzenia organizacji społeczno-zawodowej.

Nie znaczy to jednak, że studenci są apolityczni. Przeciwnie — jest duże zainteresowanie sprawami polityki niemieckiej, jakimi zajmuje się dziś ZSMP. A wracając do starej organizacji, nie oceniałbym ZSP tak surowo. Był czas kiedy ta organizacja działała dobrze, potrafiła zainicjować wiele spraw, szczególnie społeczno-bytowych studentów. Nie potrafiliśmy tylko sprzedać swoich dokonań.

— Pytałem o różnicę...

— Niektórzy twierdzą, że odjęto tylko jedną literkę, poza tym bez zmian. Jest to mit,

przemiany były bardzo głębokie. Ale ci, którzy mają ochotę krytykować, zawsze znajdą sposób.

Jak już powiedziałem, odeszliśmy od masowości, zręcznie, a nie masowo, różnieliśmy się od organizacji ideowo-wychowawczej. Nie ma już w środowisku akademickim żywego zainteresowania tymi sprawami. Ponadto temat się wyeksploatował. W latach siedemdziesiątych nawet spływy kajakowe były podciągane pod pracę ideowo-wychowawczą. Dzisiaj trzeba to ująć inaczej, znaleźć inne sposoby.

— Co w takim razie ma ZSP do zaproponowania?

— Proponujemy możliwość aktywnego życia, aktywnego przeżycia studiów. Przecież młody człowiek nie przychodzi na uczelnię tylko po to, żeby

przykład łapaniem motyli. Zebyśmy rejestrowali takich grup tysiące. Jeżeli będzie potrzeba utworzenia grupy... Filatelistów — to taka grupa powstanie. Byłoby tylko działała. Jeżeli również jakaś grupa się rozwiąże, nie będzie aktywna (bo na przykład poprzednie kończą studia i nie będzie następców) — to SGA rozważamy. Nie można dopuścić do ciał martwych istniejących na papierze. Wszystko zależy od potrzeb i chęci.

Aktywność studencka powinna się rozwijać na uczelniach, tam przecież jest studenckie życie. Nie chodzi nam o to, żeby wszystko skupiło się w budynku przy Piotrkowskiej.

— Co poza tym ZSP może dać studentom?

— Konkretnie, materialnie nie przewidujemy żadnych profitów. Nie oferujemy świadczeń materialnych, nie chodzi o to, żeby ludzi przekupić.

Niemniej jednak chcemy reprezentować interesy przede wszystkim naszych członków, chociaż możemy bronić wszystkich studentów. Jeżeli sobie tego życzą. Nie mamy i nie staramy się mieć monopolu na reprezentację całego środowiska akademickiego. Zawsze występujemy w imieniu swoich członków, jednak nasza działalność musi być pożyteczna dla wszystkich.

— Czy ZSP w Łodzi jest liczącą się organizacją, czy jest w rzeczywistości w stanie coś wywalczyć. Może tylko istnieje jako „sztuksa dla sztuki”?

— Organizacja liczy się w Łodzi, być może tego nie widać. Jeżeli nie możemy dojść do porozumienia z władzami administracyjnymi miasta lub uczelni, staramy się tak rozwiązywać niejasności, żeby osiągnąć w gruncie rzeczy kompromis i pozytywny efekt. Nie robimy od razu demonstracji i pogotowia strajkowego...

— Macie jednak zapis w Statucie o strajku.

— Uważam, że nie jest to najlepsza forma rozwiązywania problemów.

— Kiedy jednak ZSP w Łodzi ogłosiłoby pogotowie strajkowe, studenci widzieliby działalność. Może odzyskano by w ten sposób zaufanie i przełamanie nieufności?

— Wywiszamy transparent z „Pogotowiem strajkowym” i wszyscy są przekonani, że chłopcy „walczą”. Tylko nikt nie interesowałby się rzeczywistym efektem. A nam chodzi o zainicjowanie spraw pozytywnie. Podam przykład. Ostatnio mieliśmy problem z lokalizacją dla naszej Spółdzielni Domków Jednorodzinnych. Sprawa się trochę ciągnęła, ale w rezultacie lokalizację otrzymaliśmy.

Ale masz rację, nie mamy jeszcze opracowanych sposobów „sprzedania” swojej działalności. Bo ja wiem, może jak ruszamy z szerszą działalnością wydawniczą...

A my naprawdę o każdą sprawę walczymy. To nieprawda, jak mówią niektórzy, że jeste-

my organizacją „prozełimową” i dlatego mamy tyle pieniężny, „le tylko zechcemy. To mit. Ci, którzy to mówią, nie wiedzą zapewne, że walczymy o pieniądze na akcję letnią. Student chce po prostu na obóz pojechać i nie więcej go nie obchodzi.

— Może słusznie?

— Tak, od zainicjowania takich spraw są działacze, chodzi tylko o to, żeby środowisko zdawało sobie sprawę z naszej pracy, często mozolnej.

— A propos. Podobno Rada Okręgowa ZSP to od lat siedziała „karierowiczów”, ludzi, którzy działalność w organizacji studenckiej traktują jako przedsiadkę na „inny pociąg” w drodze do kariery. Może ta cała działalność jest tylko dla tych kilku osób?

— Kto z Rady Okręgowej zrobił w ostatnich latach karierę polityczną? Stefan Olszowski, który był szefem kilkadziesiąt lat temu. Poza tym nie pamiętam. Jest rzeczą zrozumiałą, że działając w organizacji zdobywa się jakieś doświadczenie, wiedzę, umiejętności kierownicze. W związku z tym łatwiej o kierownicze stanowisko po skończeniu studiów. Ale to nie jest podstawowy cel, przynajmniej mój.

— Na konferencji ZSP, która odbyła się wiosną, wynikł konflikt międzyuczelniany. Czy nadal środowisko łódzkie jest rozbite?

— Wydaje mi się, że lokalna prasa niepotrzebnie tę sprawę wyolbrzymiała. Owszem, były różnice personalne. Konferencja to ukazała, niemniej jednak dzisiaj nie możemy mówić o rozbitości środowiska. Jak to wszędzie bywa, trochę się posprzecamy, mamy odmienne spojrzenie na niektóre sprawy, ale to wszystko jest w granicach tolerancji. Powiedziałbym nawet, że pożyteczne.

Generalnie konflikt zakończył się po konferencji. Teraz wspólnie potrafimy się dogadać i współpracujemy ze sobą.

— Jak sądzisz, czy uda się przełamać nieufność?

— Sądzę, że tak. Jest to proces powolny, jest jeszcze dużo barier. Przyjdą nowe roczniki, mam nadzieję, że nie uprzedzone do organizacji. Trzeba docierać do ludzi, z każdym osobno rozmawiać. Akcje plakatowe i wiele na nie się nie zdadza. Myślę, że dobiemy głosem do 20 procent studentów zrzeszonych w ZSP.

— Kiedy?

— Może w przyszłym roku, to się systematycznie dokonuje. Ale coż można przewidzieć?

— Poza tym wszystko zależy od Was. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: **JACEK BINKOWSKI**

Zapiski z miasta

Samo życie

To nie ja wymyśliłem, że rubryka „drobne ogłoszenia” zawiera większy pakiet informacji o życiu, niż najlepszy nawet „wstępniak”. Temat jednak frajdujący i godny uwagi, a że ostatnio nie ruszamy — pokuszam się i ja.

Gazeta? Mniejsza z tym, która i z jakiego dnia. Nieruchomości. Przybywa biur pośrednictwa kupna-sprzedazy, a czego wnoszek, że taka potrzeba społeczna istnieje. No i chyba jest to niezły interes. Lecz jeśli chodzi o same ogłoszenia — to więcej „sprzedam” niż „kupię”. Mimo inflacji? Co się dzieje? Czyżby coraz więcej zniechęconych użeraniem się o jakiegokolwiek materiały na remonty, nie radzących sobie z normami przydziałowymi opsu? A może po prostu nie chcą ryzykować kupnem kradzionego? Znam ten ból! Według mojej prywatnej teorii — ludność Polski dzieli się na dwie zasadnicze grupy: tych, którzy pierwszą część życia spędzili w tak zwanym budownictwie wielorodzinnym i uważają domek jednorodzinny za szczyt marzeń, swego rodzaju nobilitację (o lokacie kapitału nie mówię, choć ostatnio to przeważa), oraz tych — którzy pół życia mieszkali w domu jednorodzinnym i mają już serdecznie dość funkcji osobistego omiatacza, palacza, zaopatrzeniowca i klanijającego się Panom Majstrom po prośbie o zrobienie czegośkolwiek... Tak, tak — rozumie domek jednorodzinny z pełnym uzbrojeniem (woda, gaz, c.o. itp.); jest ich jednak mało. Cena segmentu na dziś (proszę nie pytać o źródło informacji) ca 7,5 mln zł, a więc nie dla każdego — jak mniemam! Poza tym — biorąc pod uwagę szczupłość dzialek — mój syn, lat 12, zgodził się z poglądami, że wygląda to tak, jakby wielowiec położony na boku. Winszuję! Widać — każdy musi sam spróbować!

Czytajmy dalej; co sprzedajemy i kupujemy? Sprzedajemy sprzęt techniczny. Radia, telewizory, video itd. Jeśli nowe i firm zagranicznych — to dla mnie dowód na prywatny import gastrabajterów. Nie stawiam sprzeciwu Co innego — gdy nowe i krajowe („sprzedam... na gwarancji”). Tu widzę kredyt MM — na którym też można zarobić!

Pasjami sprzedajemy koczuchy damskie (też prywatny import?), czasem płaszcze skórzane, niekiedy bardziej szlachetne futra. Kupujemy natomiast lodówki, maszyny do pisania, boazerie i glazury. To rzeczy trwałego użytku. Lecz jakiś koneser nie może żyć bez kawioru! (Jak to — Panie Dzieciu — my za Cara batiuszki — liźkami!). I tu z czystej przekory i złościwości, a przez wzięcie na naszą szarą rzeczywistość — Kojarzy mi się stara anegdota: W restauracji: „Kelner — Szampanskoje i frukty! — A kankrietno? (pyta kelner) — Wodka i ogórcy...!”

W branży motoryzacyjnej najczęściej zmieniamy notarialnie przedpłaty na samochody, zabezpieczamy antykorozyjnie nadwozia, instalujemy auto-alarmy, (które przy lada wietrze rozporczyją pod blokami ryk, a wówczas szczęśliwi posiadacze biegają w szlafrokach lub kalesonach uchwycić tę technikę...). Można się dowiedzieć, że jeszcze chodzą jakieś stare wozy jak Wartburg 1000, Moskwicz 408, że ktoś chce sprzedać „Żyguł” z dwoma silnikami (to jak — po jednym na każdą oskę?).

W dziale „lokale” — odzwierciedla się utrapienie związane z rozdwaniami lub innymi przypadkami typu rodzinnego. A to zamienię mniejsze na większe (wiadomo — dzieci), a to jedno większe na dwa małe (już siebie mieli dość?). Zycie!

Nauka i praca. „Chalupniczkę, pantoflarkę potrzebuje”. A o pantoflarzu ani słowa? Czy to dyskryminacja, czy kompleks?

Pan magister inżynier włókiennik stwierdza, że podejmie chętnie pracę w sektorze prywatnym. No cóż — warunki płacowe na pewno lepsze („cena umowna”) — może — biedak — ma trudności z uzyskaniem pracy w ogóle!

Jeśli choć jeden z czytelników zarzuci mi publicznie, że się ezeplam — zobowiązuję się do podania numeru i daty gazety przedwojennej, w której są anonsy typu: „z wyższym wykształceniem przyjmie jakakolwiek pracę”. A to, że jego włókiennicze wykształcenie kosztowało PRL kilkadziesiąt tysięcy złotych — nie ma, oczywiście, znaczenia! Rzeczpospolita zapłaci!

Anons magistra Puszkowskiego („Matematyka — mgr Puszkowski”) traktuję jako coś niemal domowego. Jak długo czytamy gazety — oferta ta istnieje i każde jej ponowne wydrukowanie traktuję z szacunkiem i przyjaźnią. Mgr Puszkowski czuje się dobrze i działa z pozytywnym dla niedouczonych! Powodzenia!

Każda publikacja winna mieć efektywne zakończenie. Nie śniem sprzeciwiać się tej zasadzie, a więc informuję, że pewien rozpaczony cudzoziemiec poszukuje bezskutecznie (bo anons się powtarza) studentki V roku Akademii Medycznej — do nauki medycyny. A zgłoszenia przyjmuję osobiście pod wskazanym adresem codziennie od 17 do 19. No i w roku, że z V roku! Z pierwszego — mogłaby być niedouczona! W ogłoszeniu brak wprowadzień, o jakimś dziale medycyny nauka ma się zacząć, lecz zostawmy to zainteresowanym!

O czym informując Pana Redaktora i Czytelników — pozostaję z poważaniem

W. AFELT

Raport

Szanowny Panie Redaktorze! Melduję posłuszenie, że minęło już 96 godzin od daty ukazania się poprzednich „Ogłoszeń” z moją notatką na temat „Listu św. Antoniego”; nie znam uprawnień nakładu pisma (co Pan skrzętnie ukrywał), lecz prawdą jest, że nie dostaję ani jednego dolara, ba — nawet centa. Tylko parę zeteli za artykuł. Nie wyrzucano mnie natomiast z pracy i jest to chyba jedyny miernik skuteczności „łańcuszka”. No i jeszcze tylko to, że dowiedziałem się, iż fala listów na ten temat nie omija nawet kilkuletnich dzieci, jako adresatów. Za informację na ten temat dziękuję określonym osobom, które o przeczytają. Święty Antoni! To nie z Ciebie się wysmiewam!

Dokończenie
ze strony 1

stał, ni zowad mówi, że chce obejść Polskę dookoła, prosi o pomoc... Ale o co mu naprawdę chodzi? Dlaczego chce to zrobić? Kto za nim stoi? Młodzieńcza fantazja, czy też może... Z takim nigdy nie wiadomo.

Pomysł dojrzewał cały sierpień. Wypełniał się, nabierał rumieńców natychmiast jak w sadach profesora Szczepana Pieniżka. Marek był już stałym bywalcem redakcji. Pytał, czy mogą mu zapewnić wyżywienie w drodze, załatwić jakieś dobre buty. Wspólnie ze Sławomirem Burzyńskim zaczęli układać trasę marszu. Marek chciał wyruszyć pierwszego, więc doszli do wniosku, że może być to „szlakami Września”. Zaczął też trochę przygotowywać się kondycyjnie: urządzał sobie kilkunastokilometrowe spacerki za miasto, prawie codziennie zachodził do „Wiadomości”...

Wszyscy myśleli, że „pęknie”. Wszyscy — w redakcji, koledzy, matka, sąsiedzi... Na co ty się porywasz? — mówili. Po co ci to? Przecież nie masz żadnego przygotowania. Myślisz, że to tak łatwo — powiedzieć i już? Zastąpów się, chłopie. A on im dłużej się zastanawiał, tym bardziej pewny był, że musi. Po prostu: musi! Zebym nie wiem co... Może nie dojdzie, może padnie po drodze, ale musi — przynajmniej spróbować.

Wszyscy myśleli, że „pęknie”. Czekali aż wreszcie przyzna: to nie był dobry pomysł, rezygnuje. W redakcji prawie nic się nie działo. W domu matka zniechęcała go jak mogła. Zamykał się wtedy w swoim pokoju albo wychodził Bóg wie gdzie. Kolegów przestawało to już nawet śmieszyć, kpił tylko, więc nie rozmawiał z nimi na ten temat. Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, który przypadkiem dowiedział się o sprawie i zdecydował też objąć patronat, wysłał wprawdzie teleks do Warszawy, z prośbą, aby powiadomiono wszystkie zarządy na planowanej trasie, ale przecież i tam traktowano pomysł Marka z przymrużeniem oka.

Aż nadszedł moment, gdy nie było już na co dłużej czekać. Marek wyjął z szafy nowiutki dres, kupiony kiedyś dla jego brata — Jacka, sięgnął z pawlaczka w przedpokoju stare zamkowe buty, do kieszeni włożył dowód osobisty, parę tysięcy złotych. Zabrał też dwie firmowe koszulki ZSMP, torebkę z kanapkami, które przygotowała matka, i — jak było umówione — 30 września o szóstej rano zjawił się pod odsłoniętym niedawno pomnikiem ku czci poległych żołnierzy 26 Dywizji Piechoty Armii „Poznań”, gdzie miał złożyć symboliczną wianeczkę biało-czerwonych goździków. I złożył. Kwiaty kupił mu będący akurat na przepustce z wojska Jacek. On też razem z Marcinem, 9-letnim synem Marka, znajomymi i miejscowymi dziennikarzami żegnał brata opuszczającego rodzinne Skierniewice.

Do Warszawy szedł Marek 11 godzin. Po drodze zjadł kanapki, jabłko, na chwilę zatrzymał się, żeby coś wypić. Pustą torebkę wyrzucił do rowu. Wiedział, że jakikolwiek zbędny przedmiot zwielokrotnia wysiłek.

U wrót stolicy czekać miał na niego ktoś z „Gościńca” — periodyku Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, aby zabrał go stamtąd do domu wycieczkowego na Krakowskim Przedmieściu, gdzie miał nocować. Maszerować przez miasto nie było przecież sensu. Nikt jednak nie czekał. Nikt nie znalazł chwil czasu, by powitać samotnego piechura, mimo iż wiadano o nim w Zarządzie Głównym ZSMP, PTTK, redakcjach gazet, radia i telewizji. Marek bliski był załamania — ponad 80 kilometrów „w nogach”, pusty żołądek, szybko zapadający zmrok. Ładny początek!

Zdenerwowany wszedł do pierwszej napotkanej fabryki, prosto do gabinetu mającego akurat popołudniowy dyżur, dyrektora. Przedstawił się, powiedział w skrócie co i jak, poprosił o pomoc. Potem długo siedział w hallu domu wycieczkowego na Krakowskim, nie bardzo wiedząc, co dalej. Zjął buty, wyciągnął nogi. Padł wprost ze zmęczenia. Nagle usłyszał, jak ktoś pyta w recepcji:

- Czy jest już ta ekipa ze Skierniewic?
- Jestem. — wstał.
- Jak to? Pan jest ze Skierniewic? Sam?
- No tak.

— Jak oni mogli tak pana wypuścić? — oburzał się wystannik redakcji sportowej telewizji, który przyjechał, aby zrobić krótką relację filmową z marszu dookoła Polski.

Później Sławomir Burzyński napisze: „Już na samym początku Marek musiał wykazać silną kondycję fizyczną i psychiczną — brak zainteresowania ze strony redakcji gazet centralnych spowodował, że witał go w Warszawie jedynie przedstawiciel telewizji. Nie zobaczyliśmy, niestety, migawek w głównym wydaniu DTv — jak to było w planie — z zakończenia tego etapu, ponieważ obnażenie, nazwijmy to, niedostatków, organizacyjnych nie wytworzyłoby właściwej atmosfery dla dalszego marszu Marka, a także montaż negatywnie wpłynął na jego samopoczucie”.

Na trasie etapu Warszawa — Ostrów Mazowiecka Marek wyruszył w nocy. Pomimo zmęczenia nie mógł spać — obudził się już o drugiej i pomyślał, że szkoda czasu. Lepiej, jeśli wyjdzie dużo wcześniej, bo znów nie wiadomo, co może go spotkać wieczorem. Żeby nie iść ulicami Warszawy, zatrzymał milicyjną nyskę i poprosił o podwiezienie na rogatki. Dla udowodnienia, iż mówi prawdę, pokazał funkcjonariuszom piśmiemko, w jakie wyposażył go na drodze „Wiadomości Skierniewickie”.

„Zaświadczenie. Z okazji 40 rocznicy powstania Ludowego Wojska Polskiego kolega Marek Kiliński podjął zobowiązanie przemaszerowania w samotnym rajdzie dookoła Polski 2 tys. kilometrów na szlaku „Bohaterów LWP”. Akcją tej patronuje nasza redakcja, Zarząd Wojewódzki

ZSMP i Zarząd Wojewódzki PTTK. Trasa prze-marszu: Skierniewice, Warszawa, Białystok, Suwałki, Olsztyn, Gdańsk, Koszalin, Zielona Góra, Wrocław, Katowice, Kraków, Kielce, Skierniewice. Wszystkie władze i instytucje proszone są o udzielenie koledze Markowi Kilińskiemu wszelkiej niezbędnej pomocy”.

Nauczony doświadczeniem, z poczty w Wyszkowie zadzwonił do Ostrowi, aby się upewnić, czy po niego wyjadą. Wyszli — był przedstawiciel ZSMP, zabrał Marka na spóźniony obiad, zapłacił, odstawił do zajazdu.

Następnego dnia wystano po Marka z Łomży samochód milicyjny. Miał go po drodze, pojechał dalej, zawrócił. Spotkali się dopiero przed samym miastem. Przyjęcie było serdeczne: Marek złożył kwiaty pod pomnikiem, dostał też zupełnie nowe adidasy, ale szybko musiał je odesłać do domu. Stare, rozlatujące się już zamzaki były jednak wygodniejsze, choć Marek ciągle miał obawy, że rozleca się lada dzień i dalej szedł będzie chyba bosy.

12 kilometrów przed Białymstokiem spuchła

Azył

mu w kostce prawa noga. Ze złością pomyślał, że nie da już rady. Próbował zatrzymać się, ale samochody — bezskutecznie, więc znów skorzystał z pomocy milicji, wymuszając wręcz podwiezienie do miasta. Z restauracji zatelefono-wał do Zarządu Wojewódzkiego ZSMP i redakcji „Gazety Współczesnej”, która wykazała szczerze zainteresowanie osobą samotnego wędrowca.

Lekarze klubowi „Jagielloni” obejrżeli spuchniętą nogę i orzekli, że dalej Marek iść nie może. Nie chciał nawet tego słuchać, a po masażach wydało mu się, że czuje się już na tyle dobrze, iż wieczorem wybrał się jeszcze na koncert zespołu „Lady Pank”. Z hali „Jagielloni” do położonego za miastem hotelu „Wiking” wrócił piechotą. Ale w Augustowie było już bardzo źle. Prosto z trasy pilotujący Marka chłopcy z ZSMP odwieźli go do szpitala. Lekarze natychmiast włożyli nogę w gips, kazali leżeć i ani myśleć o kontynuowaniu marszu. Rogata natura i upór znów jednak okazały się silniejsze od rozsądku. Wybuchła mała awantura, po której Marek na własną odpowiedzialność opuścił rano szpital i, jakby nic się nie stało, poszedł w stronę Suwałk. Etap był stosunkowo krótki, 30 parę kilometrów, w porównaniu z poprzednimi — spacer, więc w asyście zetesempowskiego fiata udało się go,

mimo coraz dotkliwszego bólu nogi, jakoś pokonać.

Ale przecież lekarze mieli rację. Trzeba było jednak aż trzech dni, aby Marek to zrozumiał i dał sobie założyć gips na dłuższą. W szpitalu powiedzieli: 10 dni. Wytargował 5. Wyszedł z Suwałk po czterech. Nie mógł wysiedzieć na miejscu. Nie mógł wytrzymać hotelowej nudy, chociaż dwie doby spędził z Jackiem, który „urwał się” na ten czas z jednostki w Orzyszu. Bezczyność wydawała mu się o wiele gorsza od bolącej ciągle nogi.

Za namową opiekunów z ZSMP zamiast prosto do Giżycka, jak było w planie, pomaszero-wał jeszcze do Elku, nadłożył kilkadziesiąt kilometrów, aby włączyć udział w „Spotkaniu pokoleń” — imprezie, na której powitano go jako honorowego gościa. Niewiele z niej zapamiętał, prawie nic. Mało go to zresztą interesowało. Dla niego ważne były kilometry. Był dalej, do przodu... do Giżycka, Mrągowa, Olsztyna, Elbląga... Opuchlizna powoli zesza z nogi, pogoda na szczęście była dobra (zmókł tylko trochę pod

Gdańskiem) sił też jeszcze nie brakowało. Samopoczucie... Jak tak się idzie i idzie, to ma się cholernie dużo czasu. Pogadaj nie ma za bardzo z kim, bo komu jeszcze by się chciało tak bezproduktywnie chodzić, a każdy postój, choćby „na siusiu”, bardziej męczy niż godzina marszu. Można co prawda gwizdać, grać na organkach i śpiewać wszystkie znane przeboje, ale jak długo — nawet jeśli trochę muzykuje się zarobkowo?

Wciąż co robić?

Nic — iść i myśleć.

A kiedy tak się myśli i myśli, to ma się okazję przemyśleć całe życie. Raz, drugi, trzeci... Jak nigdy przedtem.

O czym myślał Marek Kiliński, idąc dookoła Polski?

Czy o rozbitym małżeństwie rodziców i ciężkiej pracy matki, która wychowała dwóch synów, a teraz pomaga w wychowaniu wnuka? Czy o młodzieńczej miłości i własnym małżeństwie, które też nie wytrzymało próby czasu? Czy może o tym, że jednak trzeba się było uczyć i zdobyć choćby maturę? Ze może wcale nie jest jeszcze za późno? Ze jeżeli dalej chce grać, chce być muzykiem, choćby takim jak Felix Słowacek, a nie tylko knajplianym muzykantem, to należałoby przynajmniej umieć czytać nuty? A praca?... Dlaczego nigdzie dłużej

nie mógł zagrać miejsca? Zie to, czy dobrze? Całe życie być kelnerem, kierownicą albo grabarzem, a wieczorami grać chałtury na weselach? To prawda, że forsy z tego grania czasem więcej, niż na niejednej państwowej posadzie, ale czy chodzi tylko o forsy? Życie powinno być przecież barwne, żywe, z jakimiś perspektywami. I powinno być w nim także miejsce na miłość, prawdziwą, wielką miłość, którą tak trudno znaleźć. A Marcin? Kim będzie, gdy dorosnie? Może on zrealizuje to, o czym cicho marzył jego ojciec? Może będzie prawdziwym muzykiem? Wirtuozem? Może w porę umknie tej prowincjonalnej nudzie, szarości, beznadziei?

I dalej: Wejherowo, Słupsk, Koszalin...

I wszędzie to samo, asfaltowa droga, z której aż strach zejść na piaszczyste pobocze, bo nogi od razu to czują i zgłaszają protest, wsie i miasteczka — sennie i szare, tysiące mijanych domów, ludzi, bez przerwy — pedzące gdzieś samochody. Wieczorem jakaś restauracja, podwójna porcja zupy, pieczeń z ziemniakami, omlet z sokiem, herbata, chwila rozmowy z działaczami młodzieżowymi, wyrwanymi z kręgu narań, szkoleń i akcji, czasem krótki wywiad dla miejscowej prasy. Hotelowy pokój — pusty i zimny, schnąca na kaloryferze bielizna, która rano będzie jeszcze wilgotna. Kamienny sen. A potem znów: asfaltowa droga i... — to, co najgorsze — samotność.

Szczecinek, Piła, Gorzów Wielkopolski...

Więc prawie z każdego większego miasta telefon do sąsiadów (mówi Marek, czy może pani prosić matkę?), do redakcji (czuje te kilometry w nogach, ale idę dalej), do kolegów... Żeby choć na chwilę usłyszeć znajomy głos, powiedzieć choć parę prostych słów komuś bliskiemu. Bo jak tak się idzie i idzie, to proste słowa niespodziewanie stają się najważniejsze, najpotrzebniejsze.

Zielona Góra, Lubin, Wrocław...

A w Skierniewicach przez cały czas emocje wytrzymał, czy zrezygnuje? Zdania do ostatniej chwili były podzielone. Co tydzień na łamach „Wiadomości”, krótki komunikat z trasy. Gazeta szybko zniknęła z kiosków. Wszyscy chcieli wiedzieć: co z Markiem? Koledzy robili między sobą zakłady. Inni mieli temat do dyskusji przy resztkach herbaty: po co on właściwie poszedł? Ile na tym zarobi? Na pewno zarobi, bo inaczej to by się nie męczył. Cwaniak czy wariat? Kto kontroluje, że on naprawdę idzie? A może chciał zrobić sobie za państwowego pieniądze wycieczkę krajoznawczą — i tyle?

Opole, Katowice, Kraków...

Wyznaczyć sobie cel i osiągnąć go. Mimo trudności, przeciwności losu. — Zawsze taki był, już od dzieciństwa. I zawsze, no, prawie zawsze dopinał swego. Nie zważał na koszty, na to, co powiedzą inni — nieraz wbrew tak zwanemu zdrowemu rozsądkowi. Dlaczego na przykład wspiął się nie tak dawno na fabryczny komin? Albo z tym marszem — 1 sierpnia złożył wy-mówienie w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Zaczął rozglądać się za inną pracą — nie chciał przecież być ciężarem dla matki, musiał płacić alimenty... Ale kiedy tylko postanowił, że idzie, cała reszta stała się jakby niemożliwa.

Już dawno zamierzał COŚ zrobić. Coś, co nikomu się jeszcze przed nim nie udało. Ludzie wchodzą na najwyższe szczyty gór, opływają samotnie kulę ziemską, penetrują dna jaskiń... Dlaczego więc on, Marek Kiliński nie miałby przejść pieszo dwóch tysięcy kilometrów dookoła Polski? I cóż to, znowu takiego? Każdy z nas pokonuje dziennie kilka, nieraz nawet kilkadziesiąt kilometrów, nie zdając sobie z tego sprawy. Więc każdy chyba fizycznie by to wytrzymał. Ale podjąć decyzję i nie zrażając się trudnościami, dojść do celu...

W Kielcach naprawdę miał już wszystkiego dosyć. Obiecywano mu przecież pomoc, a tu znowu nikt na niego nie czekał, nikt nic nie wiedział. Zarząd Wojewódzki ZSMP zamknięty na cztery spusty. Żadnych perspektyw na nocleg, bo to i przeddzień Święta Zmarłych, i zabrane z domu pieniądze już się skończyły. Zimno, głodno, bezdusznie... Niewiele myśląc poszedł do komitetu — jeżeli już oni nie pomogą... Jak zwykle pokazał piśmiemko, wyjaśnił... W rozmowie telefonicznej z redakcją „Wiadomości” oświadczył, że rezygnuje, ma już dosyć takiej organizacji i wraca pociągiem. Jak to, usłyszał, tak blisko celu i poddaje się? Musi, musi wytrzymać do końca. Jeszcze tylko Radom, Grójec i — w domu. A w komitecie na pewno coś mu załatwią. W końcu to przecież władza.

W dzień Święta Zmarłych snuł się Marek po kieleckich omentarzach. U rogów bliźnich — całe rodziny, przyjaciele, znajomi... A on sam jak patec — w obcym mieście, wśród obcych ludzi.

Kolejna lekcja. Gorzka, bolesna...

I wreszcie dzień powrotu, powitania, gratulacje. Mieszane uczucia bohatera. Marek był zadowolony, że doszedł, że wygrał, ale... Ale czy rzeczywiście osiągnął swój, może nawet nie do końca uświadomiany, cel?

To prawda: COŚ się wydarzyło — w jego kraju, jego mieście, jego życiu. Coś, czego jednak ani powtórzyć, ani zatrzymać — żeby nie wiem co... Azył marszu — zakończony. Znowu nadszedł czas decyzji: wracać do siebie, czy nowego szukać azyłu?

Od tej decyzji zależy Marka przyszłość. Co wybierze? Czy udam mu się wreszcie odnaleźć siebie takiego, jakim naprawdę chciałby być?

To znacznie trudniejsze niż obejść Polskę piechotą w 30 dni!



Foto: Michał Gałęzowski

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO OBYCZAJOWA

KRYTYKOM WŁADZY PRO MEMORIA

W 44 numerze „Odgłosów” przedstawiłem „urząd prozą i wierszem opisany” przez Tyszyńskiego, Bartoszewicza i Krasickiego, ale poczucie sprawiedliwości nakazuje mi raz jeszcze oddać głos Piotrowi Tyszyńskiemu. Czynię to nie bez kozery, jako że ludzie sprawujący władzę rzadko spotykają się z przejawami sympatii, aprobaty, poczynań, są natomiast często poddawani krytyce, a nawet potępieniu. A przecież „każdy urząd ma swoje przykrości”, o czym przekonuje wiersz Tyszyńskiego zawarty w tomiku „Pieśni polityczno-moralne” (Warszawa 1783):

Nie wierz, gdy kto się urzędów napiera,
Ze już utopi Fortunę za nogi;
Tuż kłopot, bojaźń serce mu rozdziera,
Ze się w nim jednym przegląda lud mnogi.
Gdy się prywatnie żyto, choć przywary
Kłóty i przecieży bywały ukryte,
Dziś w oczach wszystkich stają się powzary,
Ni je umniejszą honory zdobyte.
Każdy najmniejszej upatruje wady,
Nie żeby komu szkodzić się zdawało,
Lecz że ją świetnie stwierdzają przykłady,
Rad, by i jego zbrodnia ważność miała.
A cóż podstępów, że się im prym wzięło?
Nigdy ci nie śpią, by cię uprawić w smutek,
Szperzą, nicują najlepsze twoje dzieła,
Cais w nim wada, że z ciebie ma skutek.
Niechże z przyjaciół twe pozyszcze względy,
Których by nie mógł i drugi odmówić,
Wnet pełno obmów i narzekan weszły,
Jakby na zbrodni mieli cię ulowić.
Owe podsłuchy, pokatne szeptania,
Każde chybienie wiele w nich święci,
Nikt nie pochwali, a każdy przypina,
Ze tak nie było za naszej pamięci.
Czynią więc schadzki, układają rady,
Wszystko im jest złe, że nie do ich woli,
A że tym, owym, nie uchodzą zdrady,
Wrzeszczą, że już są bliższymi niewoli.
Nuż owe pełne zapytania jadu,
Lub niby szczerze dawania przestrogi!
Nie w nich szczeroci nie znajdują się śladu,
Owszem, gdy radzą, tym główniejsze wrogi.

Z HISTORYJEK RADZIWIŁŁA „PANIE KOCHANKU”

Książę Karol Radziwiłł „Panie Kochanku”, czołowy magnat i warchol sęczyku Rzeczypospolitej szlacheckiej, słynął nie tylko z łacie królewskiego zbytu i kawalerskiej fantazji, ale również jako bohater nieprawdopodobnych historii opowiadanych przy biesiadnym stole. Jedną z nich powtórzył na podstawie relacji pamięć karskich Józef Grajnert w rzadkim dziś zbiorze: „Anegdot o księciu Radziwiłł (Warszawa 1898).
Pewnego razu książę Karol opowiadał swoim gościom, że znajdując się na granicy, blisko teatru wojny, przed nawałnym deszczem schronił się do armaty i został w jej wnętrzu.
— Trzeba zdarzenia — mówił — że kanonier potrzebował wyrzucić kule, którą armata była nabita. Przyłożył więc lont i wypalił, a ja wystrzelony w ten sposób dostałem się szczęśliwie poza obóz nieprzyjacielski. Wszak prawda, Borościu?
— Nie wiem, mości książę — odpowiedział zagadnięty Borości — bo ja wtemczas byłem już zabity właśnie na tej wojnie.

PRZEPIS NA DŁUGOWIECZNOŚĆ

Chyba rzeczywistość ta starożytna rada, zawarta w „Kalendarzu polskim i ruskim... na rok 1755” warta jest uwagi, tylko jak to wszystko pogodzić w naszym niełatwym życiu?
Chcesz, abyś chorób nie znał, miej we wszystkich miarę,
Łatwiej wszelkiej niemocy zwyciężysz powagę,
Gniew temperuj, kochanie odrzuć na stronę,
Pokarm mierny i napój miewaj na obronę
Dla zdrowia, Szanuj starszych, Boskie przykazanie.
Zachowaj, toć da w życiu długie panowanie.

TRAKTAT O GŁOWIE

Autorem tego „uczonego” traktatu jest Kazimierz Bartoszewicz, satyryk i felietonista, którego „Słownik prawdy i zdrowego rozsądku” (Warszawa 1905) stanowi niewyczerpaną kopalnię obyczajowych sensacji, często zresztą gwoli uciecie czytelników przeze mnie eksploatowana.
Głowa — najmniej potrzebna część ciała dla ludzi chcących dojść do majątku i kariery. Takim potrzebne są przede wszystkim: dobre plecy, gładki kark, długie ręce, a z głowy tylko dobry nos. Są ludzie, którzy „tracą głowę” dla kobiety, ale widocznie później ją odyskują skoro im żona „zmywa głowę”. Kto sobie „pejuje głowę”, nauka, nie dowodził tym bynajmniej, że ma „olej w głowie”. „Głowa uczonego” bardzo często „podwija głowę”. Nie było wypadku, aby ten co mówił: „dam sobie głowę uciąć”, dotrzymał tej obietnicy. Tacy, co „chodzą po rozum do głowy”, odbywają zazwyczaj spacer bezcelowy. Kto nie „upadł na głowę”, ten „głową muru nie przebiję”. Wśród kandydatów do stanu małżeńskiego największe szczęście mają „głowy do pozłoty”.

KŁOPOTLIWE PYTANIA

Synek: Proszę mamę, dlaczego tata taki łysy?
Mama: Bo widzisz, tata dużo myśli.
Synek: A czemuż mama ma tak dużo włosów na głowie?
Mama: Czemu?... no, no, nie bądź taki nudny...

POMYSŁ PANI MARII

Książki są wciąż poszukiwane, oczywiście dobre książki. A przecież półki księgarskie uginają się od nadmiaru towaru, jakby to powiedziec, niecierpiącej jakości. Może warto byłoby skorzystać z rady Marii Konopnickiej? Tylko skąd, u licha, literaci mają brać dukaty?...

Od głupiej książki niech autor dukata
Placi, a krocie mieć będzie oświata.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Urodzony w połowie lat czterdziestych przedstawiciel młodej prozy francuskiej, Patrick Modiano, debiutował w roku 1968 powieścią „La Place de l'Etoile” i od razu zwrócił na siebie uwagę, czego wyrazem stały się dwie nagrody. Kolejne książki przynosiły dalsze nagrody aż po wyróżnienie w roku 1978 nagrodą Goncourtów, najprawdopodobniej chyba nagrodą literacką Francji.

Drużba chronologicznie powieść Patricka Modiano „Nawroty nocy” („La ronde de nuit”) utrzymana została w tonacji wyraźnie nadrealistycznej — możliwe w niej jest wszystko, a jednocześnie nic nie jest możliwe, obowiązuje w niej konkretny, a zarazem jest tego konkretno jakby pozbawiona, stając się czymś w rodzaju uniwersalnej wizji ludzkiego szaleństwa, wynikającego z poplątania wszelkich wartości i wszelkich hierarchii. W aurze apokaliptycznej niesamowitości

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

Judasz — twój brat

rozgrywają się krótkie, kilkumiesięczne dzieje dwudziestolatka Marcela Petiota vel Maxime'a de Bel-Respiro, który zarówno własne nazwiska, jak i wymyślone pseudonimy — księżniczka Lamballe czy Swing Trubadur — uważa za pojęcia puste. Im bardziej uchodzi z niego to, co potocznie przywykliśmy określać mianem człowieczeństwa, tym bardziej staje się anonimowy i reprezentatywny, w myśl zasady: nikt — a więc wszyscy. Gdyby starać się tę przemyslnie chaotyczną powieść uporządkować według jakiejś idei przewodniej, można by rzucić kilka ogólnych propozycji: granice człowieczeństwa, pokusy władzy i bezkarności, na tropach nihilizmu moralnego, zmierzchu cywilizacji, sprzeczności natury ludzkiej itd., itp. Jednak wszystkie owe w miarę zgrabne i wytarte od częstego użytku formuły nie są w stanie oddać ani uporządkować gestu materii powieściowej. Tak tu mroczno.

Bohater powieści Patricka Modiano jest młodszym bratem Lafcadię, pamiętnego bohatera „Lochów Watykanu” André Gide'a. Różnica między nimi mniej więcej taka, jaka dzieliła belle époque od naszych gorączkowych czasów. Akcja „Nawrotów nocy” dzieje się w Paryżu, w latach drugiej wojny światowej. Realia mają jednak znaczenie zdecydowanie drugoplanowe. Może się ona przeciwie rozgrywać wszędzie. Problemy: jak stać się zdrajcą i jak równocześnie nim nie być, w jaki sposób działać na dwa fronty i jednocześnie nie działać w ogóle?, jak pogodzić nienawiść do ludzi z tkliwą miłością wobec wybranych? — należą do pytań, na które usiłuje odpowiedzieć literatura pod każdą szerokością geograficzną.

Proza Patricka Modiano zorganizowana została w oparciu o zmienny kontrast: konkretni okupacyjni nocy przeciwstawione zostały halucynacyjne wizje, w których ci sami ludzie oraz te same wydarzenia powracają wielokrotnie, za każdym razem w innej konfiguracji i za każdym razem z inną nową motywacją. Bohater tej prozy w planie realistycznym działa na dwa fronty. Zgłasza akces do francuskiego gestapo, które w powieści po bliższym rozeznaniu okazuje się tyleż groźna tajną policją państwową, co i zgronieniem przetrwałych clemnych typów i gangsterów, zajmujących się grabieżą pod płaszczykiem firmy „Międzynarodowe Stowarzyszenie Handlowe Paryż — Berlin — Monte Carlo”. Otrzymał zadanie: rozpracować ruch oporu. Ruch ten nazywa się w powieści „Siatka Rycerzy Ciemności” i zaleca młodym człowiekowi z kolei rozpracowanie komórki gestapo. Młody człowiek zdradza jednych i drugich, a w wolnych chwilach w-

czestniczy w dzikich orgiach i czytuje — zapewne w celu podwyższenia kwalifikacji — „Antologię zdrajców od Alcibiadesa do kapitana Dreyfusa”. Wtedy też rozmyśla o przyzwyczajeniu o swym najstarszym bracie — Judaszu Iskariocie: „Wyparto się go. Trzeba wiele pokory i odwagi, aby wziąć na siebie całą hańbę ludzkości. Za nią umrzeć. Sam. Jak ktoś wielki. Judasz, mój starszy brat. Byliśmy obaj z natury nieuczni. Nie spodziewaliśmy się niczego od naszych bliźnich, ani od nas samych, ani od ewentualnego zbawcy. Czy miałbym się, by pójść za tym przykładem aż do końca? Trudna droga...” Rzeczą przy tym ciekawą, że właśnie motywy Judasza, przewartościowujące znane ujęcie biblijne, pojawia się w wielu utworach naszych współczesnych twórców — myśli o Henryku Panasie, Władysławie Terleckim, Bernardzie Sztajncie, Janie Góreciu-Rosińskim. Bohater Patricka Modiano wyraża docenia herozim Judasza, w jego własnym zaś wy-

wieku. Za zgodą i bez zgody. We śnie i na jawie. Dziś jeszcze albo już jutro...
Kreatury, wespół z którymi mały dzielny „zdrajca” uczestniczy w seansach „paneurytmii seksualno-boskiej”, mienia się wszystkim barwami moralnego rozkładu: — „Z pewnością od razu zaczną gnąć — konstataje bohater powieści — czy już to czują?” Nie podobnego! Bawią się w najlepsze, jakby wierzyli tylko filozofowi, poddającemu w wątpliwość fakt, że świat potrwa jeszcze trzy tygodnie. Owa paneurytmia wyznacza niejako gwałtowny rytm opowieści, nadaje ton swoistej melodii tej prozy, wnikliwie i precyzyjnie oddanej przez tłumaczkę (udany debiut), często przerywanej aluzjami do znanych utworów muzyki poważnej i rozrywkowej, a nawet piosenek żołnierskich. W szalonym rytmie odbywa się tedy wędrówka bohatera po nocnym Paryżu, po jego licznych lokalach i miejscach rozrywki, wędrówka pełna trudności, przypominająca poniekąd wędrowanie

Kronika kulturalna

W czwartek, 1 grudnia, w Teatrze Wielkim odbyło się nietypowe przedstawienie „Fidelia” — opery Ludwiga van Beethovena. Przedstawienie prowadził wybitny dyrygent z RFN, Ljubomir Romansky, długoletni dyrektor muzyczny oper we Frankfurcie i Gelsenkirchen, kilkakrotny juror konkursu dyrygenckiego im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach, jest także tegorocznym laureatem odznaczenia „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.
W przedstawieniu udział wzięli m.in.: Teresa May-Czyżowska, Ewelina Kwaśniewska, Jerzy Jadcak, Zdzisław Krzywicki, Władysław Malczewski, Roman Werliński i Janusz Zipser.

W Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego czynna jest wystawa Wydawnictwa „Książka i Wiedza”, przygotowana z okazji 65-lecia tej oficyny. Od połączenia w 1948 roku PPR-owskiej „Książki” i PPS-owskiej „Wiedzy” w jedno wydawnictwo wydano już ponad 11.400 tytułów w łącznym nakładzie 400 mln egzemplarzy. Obecnie „KIW” dostarcza rocznie czytelnikom przeciętnie 250 tytułów, których łączny nakład przekracza 15 mln egzemplarzy.

W sobotę, 3 grudnia odbyła się w Teatrze Studyjnym 83 premiera spektaklu znanego poety, pisarza, eseisty, dramaturga i tłumacza okresu międzywojennego — Tadeusza Peipera p. „Skoro go nie ma”, w reżyserii znanego twórcy filmowego, Henryka Kluby.

Orkiestra „Odeon”, która powstała niedawno przy łódzkim Stowarzyszeniu Artystycznym pod kierunkiem kompozytora, absolwenta PWM w Łodzi — Stanisława Gerstorka wystąpiła 3 grudnia w sali Muzeum Historii Miasta Łodzi z koncertem muzyki popularnej „Przeboje mistrzów”.
W programie utwory Rossiniego, Moniuszki, Suppého, Leha, Hermana. W koncercie wystąpili soliści Teatru Wielkiego w Łodzi: Teresa May-Czyżowska i Tomasz Fitas.

3 grudnia, w Domu Kultury Kolejarza odbył się Ogólnopolski Przegląd Amatorskich Zespołów Teatralnych działających przy placówkach kulturalno-wychowawczych PKP. Wzięły w nim udział zespoły z Krakowa, Szczecina, Katowic, Wałbrzycha, Słupska, Pruszkowa, Ostrowa Wlkp. i Łodzi.

Grzyżyna Barszczewska i Roman Wilhelm wystąpili 3 grudnia gościnnie w Łodzi w spektaklu „Dwoje na huśtawce”.

Do połowy grudnia będą trwały w Olsztynie Dni Kultury Młodych. Organizatorami dni są: ZW ZSMP oraz redakcja „Sztandaru Młodych”. Inauguracja „Dni” odbyła się 27 listopada w kinie „Kopernik”. Program „Dni” jest bardzo bogaty, różnorodny, zakończy je sejmik kulturalny z udziałem animatorów, działaczy, twórców i publicystów.

W Domu Przyjaźni w Warszawie odbyła się 28 listopada uroczystość wręczenia dorocznego nagród tygodnika „Przyjaźń”, za najwybitniejsze osiągnięcia artystyczne w prezentacji dramaturgii narodów Związku Radzieckiego na scenach polskich. W br. jury przyznało się: Tadeuszowi Bradeckiemu za adaptację i reżyserię „Biednych ludzi” F. Dostojewskiego na scenie „Przy Sławowskiej 14” Starego Teatru im. H. Modrzejewskiej w Krakowie oraz Magdzie Jarosz i Kazimierzowi Borowcowi za rolę Warwary i Makarego w tym spektaklu; Bronisławowi Pawlikowi za rolę w przedstawieniu „Notatek z podziemia” Dostojewskiego na Małej Scenie Teatru Powszechnego w Warszawie.

W dniach 2-4 grudnia, w Kaliszu trwa X Międzynarodowy Festiwal Pianistów Jazzowych.

W siedzibie Płockiego Towarzystwa Naukowego została otwarta 22.XI pierwsza w tym mieście Wystawa Publikacji Wydawnictwa „Orsolinum” Prezentowanymi jest na niej 400 tytułów obrazujących dorobek ostatnich lat, a wśród nich rozpoczęta edycja „Dzieł wszystkich” Jana Kochanowskiego i wietlowonany „Słownik biograficzny”. Wszystkie eksponowane książki zostały przekazane w darze Bibliotece im. Zielińskich w Płocku.

Zarząd Polskiego Ośrodka Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC) na plenarnym posiedzeniu, obradującym 22.XI, pod przewodnictwem prezesa Michała Rusinka przyznał jedyną uchwałą doroczną Nagrodę i Medal Honorowy Polskiego SEC za zasługi dla kultury polskiej poza granicami kraju prof. Frankowi Leslie, wybitny historyk, długoletni dziekan Wydziału Historii Uniwersytetu Londyńskiego, jest autorem wielu prac poświęconych historii Polski.

Już po raz 17 zorganizowana została dekada książki społeczno-politycznej „Człowiek — Świat — Polityka”, przypadająca tradycyjnie na ostatnie 10 dni listopada. W tym roku impreza przebiegała pod znakiem 100-lecia polskiego ruchu robotniczego i setnej rocznicy urodzin Karola Marksa. Dominowały jak zawsze kiermasze książkowe (w samych tylko zakładach produkcyjnych zorganizowano ich 120), ponadto odbyły się wystawy, tematyczne przeglądy literatury, spotkania z autorami i specjalistami — zwłaszcza z młodszych ośrodkach, w których kontakt z tego rodzaju literaturą jest na co dzień ograniczony.

Patrick Modiano: „Nawroty nocy”, Przekład z francuskiego Ewa Bekler, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1983, s. 105, nakład 19 650+350 egz., cena zł. 50.—

Niektóre z dawnych gwiazd piosenki tak przybrały, że nie ma na nie wpływu nawet najbliższe słońce. Obecny come back LUCYNY OWSIŃSKIEJ na piosenkowski rynek to prawdziwy ewenement, bo w dobie ekspansji rocka niełatwo egzystować na krajowym rynku tak renomowanym gwiazdom jak: Zdzisława Sośnicka czy Maryla Rodowicz. Lucyna Owsieńska przygotowała nowy, ciekawy repertuar spośród którego na Telewizyjnej Liście Przebojów uplasowała się piosenka „Świat miał być nasz”, w plebiscycie na przeboj „Lata z radiem” — „Po prostu przed siebie”, inne piosenki słychać często we wszystkich programach Polskiego Radia. 20 listopada br. TVP emitowała recital Owsieńskiej pt. „Czy to się uda”, który spotkał się z dobrym przyjęciem telewidzów i fachowców. Na emisie czekała dwa nowe teledyski z piosenkami: „Za jutrzeńską gwiazdą”, „Czy to się uda”. Piosenkarka przygotowuje się do nowej sesji nagraniowej. Dziś Lucyna Owsieńska jest gościem „Odgłosów”.

— Czy zna pani opowieść o pociągu, w którym jechało sporo gwiazd piosenki, jedno dojechało do stacji końcowej, drugie wysiadły po drodze, bo zmęczona była bardzo długa i męcząca podróż, niektóre spożyły się na ten pociąg i na próżno usiłowaly go dogonić. Podobno i pani była wśród nich. W której grupie?

— Spóźniłam się.

— Pociąg odjechał, pani została na peronie. Sama czy w jakimś towarzystwie?

— Zostałam z Jackiem Lechem. Przez dwa lata pozostawałam w jego cieniu. Był tak wielki, że mnie przytłoczył.

— Po powrocie do domu płakała pani do poduszki, czy napiła się pani alkoholu i za dwa dni wyruszyła w objazd estradową składanką?

— Płakałam, piłam i pojechałam w trasę.

— Sama czy z nim?

— Wtedy już sama.

— Kto więc komu pomagał w tym piosenkarcko-mażeńskim marażu?

— Tak jak trudno jest mi i bardzo niechętnie występować w roli menadżera dla samej siebie, tak z wielką łatwością i chęcią znajdowałam się w tej roli dla mojej gwiazdy.

— W branży mówią, że to później ktoś komuś zaczął przeszkadzać i niszczyć karierę?

— Zdania były podzielone, jednakże faktem jest, że sprawy menadżerskie pochłonięły wiele mojego czasu i zapału, które powinnam poświęcić sobie.

— A co na to gwiazdor?

— Z czasem się przyzwyczaiłam do tego i myślę, że obecnie tego brak.

— Na czym to polegało?

— Nie tylko sprawy czysto menadżerskie miały tu znaczenie, liczyła się również artystyczna atmosfera w domu, bo oboje żyliśmy tym co robiliśmy.

— Ale np. longplaya „Idę przez świat” nagrala pani dzięki koneksjom byłego męża?

— Nie zaprzeczam, że korzystałam najpierw z tego, a później już z naszych wspólnych znajomych: renomowanych kompozytorów i autorów tekstów, ale, przecież sama płytę musiałam nagrać licząc na własne siły.

— Mielicie nagrywać drugą dużą płytę w duecie?

— Były takie plany i w polowie zebrany materiał, ale zabrakło nam czasu, a później ochoty.

— Do dziś żadne z was nie nagralo nowego longplaya?

— Jeżeli chodzi o mnie to właśnie skompletowałam materiał na drugą płytę i jestem umówiona w Polskich Nagraniach na rozmowę w sprawie zarejestrowania na longplayu.

— Wracając do spraw prywatnych które z uwagi na to, że jest pani osobą publiczną szczególnie interesują czytelników — ile spraw rozwodowych mieliście w Sądzie Rejonowym w Łodzi?

— Dla mnie była jedna, choć faktycznie było ich pięć.

— Co pozostało na ostarciu?

— Mimo wszystko przyjacielska komitywa.

— Dzieci nie było?

— Nie.

— Ale za to jest Farys — dog arlekin?

— Farys to moje ukochane dziecko, dwukrotny złoty medalista.

— Podobno szuka pani dla niego czarnej sukii, czyżby w planach była hodowla dogów?

— Być może założymy hodowlę bo mamy na to warunki. Pomysł na sukę należy do mojego parzonego, który zajmuję się z dużym powodzeniem wychowaniem Farysa.

— Zapomnieliśmy o kawiarni „Caro” pod Zgierzem, której podobno była pani współzałożycielką?

o wiele doświadczeń muzycznych. Na bazie ogromnej pracy nad sobą i zdobytych doświadczeń moge zaprezentować w swoich piosenkach to, czego nie zauważam w ponoć perfekcyjnym opanowaniu przez niektóre wokalistki rockowe. Obecnie panuje u nas moda na niedbałość w głosie i zachowaniu, co mi nie odpowiada. Różnię się więc od najmłodniejszych wokalistek, ale za to pozostaję wierna sobie.

— Co więc oprócz doświadczeń i zielonych banknotów przywoziła pani z Ameryki?

— 50 płyt 120 kaset, najnowsza aparatura nagraniowo-odtwarzająca, mikrofony, kosmetyki, buty, kostiumy i dwie butelki „Smirnoffa”.

— Słyszałam, że zapraszają panią na ponowne występy do USA. Do jakiego lokalu?

— Zaprasza mnie zespół „NO TO CO”, który obecnie gra w USA, śpiewałam z nimi podczas poprzednich występów. Tym razem mam śpiewać w jednym



Zycie to wieczny pociąg...

Z Lucyną Owsieńską rozmawia Bohdan Gadomski

— Kiedyś przyszli do „Caro” reporterzy z Tv i stwierdzili, że świetnie się urządziłam. To nie moje” — odpowiedziałam. „Dobra, dobra”, i tak zostało.

— Nigdy nie śpiewała pani na kawiarnianej dyskotekce?

— Nie, w „Caro” gra szafa grająca.

— Wróćmy z kuchni do sztuki. Po sukcesie na Międzynarodowych Spotkaniach Wokalistów Jazzowych w Lublinie, miała pani śpiewać jazz, a nie pioseneczki o łączkach przy ruczajku?

— Do jazzu wrócę teraz.

— Słyszę to od lat, a pani jak siedziała tak siedzi w komercji?

— Nie uważam muzyki, którą uprawiam za komercję. To po prostu nowoczesna muzyka rozrywkowa, oparta o najlepsze trendy światowej mody.

— W jednym z wywiadów powiedziała pani że: „Uważam łapanie tego co modne za tani chwyt. Myślę, że stać mnie na coś więcej, choć to trudniejsza droga”. Ale dziś trzeba pokazywać się publiczności odmienną, szokować, aby zainteresować, że nie powiem — rzucić na kolana?

— Byłam trzykrotnie w USA i mogłam objawić się, jak niektóre koleżanki po powrocie zupełnie odmienną z nowym życiorysem artystycznym. Ale ja przyjechałam stamtąd bogatsza

z wytwornych hoteli w Las Vegas. Chwilowo nie przyjąłm tej propozycji z uwagi na niekończące się sprawy zawodowe w kraju.

— Co będzie serwowała pani amerykańskiej publiczności?

— W moim estradowym show powtórzę ten sam repertuar, który zwykle śpiewam w USA, bo przekonałam się, że to się tam podoba, a więc blok piosenek retro, w drugiej części programu najnowszy repertuar.

— A jakie piosenki proponuje pani słuchaczom w kraju w dobie mody na muzykę rockową?

— Śpiewam różnorodny repertuar: bossa nova, bluesy, soul, reggae, rock and rolla. Jestem w trakcie przygotowywania kolejnej sesji nagraniowej, w której chcę pokazać wachlarz swoich nie do końca ujawnionych możliwości.

— Fan-Club pomaga, dopinguje?

— Mój Fan-Club powstał niedawno w Łodzi. Cieszy mnie, że już na pierwszym etapie mojej nowej pracy znalazło się grono ludzi, którzy ją docenili.

— Pani codzienna praca, to przede wszystkim trasy estradowe w objeździe po kraju. Chyba sporo pani zarabia?

— Uzależnione jest to od ilości koncertów a w ciągu roku różnie z tym bywa.

— Ile koncertów w ciągu miesiąca pani daje?

— Przeciętnie od 1 do 2 przez tydzień i codziennie.

— Niedawno oglądałam panią w Gdańsku w składance pt. „Przez różowe okulary” przeznaczoną dla pracowników miejscowych zakładów pracy. Dowiedziałam się, że w tym dniu mieliście 5 koncertów, przeliczyłam to już nie na złotych, a na siły piosenkarzy i teraz zapytałm panią o higienę psychiczną zawodu i głosu?

— Pięć koncertów w ciągu jednego dnia zdarza się rzadko, trafił pan na niedzielny cykl imprez, na które było na Wybrzeżu duże zapotrzebowanie. Nie zaprzeczam, że to jest bardzo wyczerpująca praca, ale na szczęście mam sporą przerwę między jednym a drugim występem, a więc i czas na relaks, odpoczynek, choć nie zawsze w dobrych warunkach, bo z zapleczem w placówkach kulturalnych bywa różnie.

— Zauważyłam, że za kulismy panowała nerwowa atmosfera?

— Szczególnie gdy pan tam zajął i artyści dowiedzieli się, że jest pan na sali. Kulisy to samo życie i temat na oddzielną rozmowę.

— Pewnie wybrała się pani w kolejny objazd estradowy?

— Tak, ale tym razem z inną grupą estradową, pracującą pod patronatem Estrady Kieleckiej

— Kto zajmuje się pani sprawami menadżerskimi?

NIEZNAJOME PIOSENKI BEATLESÓW

Jeśli wierzyć belgijskiemu dziennikowi „Le Soir” natrafiono na cztery nie publikowane piosenki Beatlesów! Znalezione je w piwnicy ich sławnego studia londyńskiego przy Abbey Road (najwidoczniej dawno nie sprzątanej). Tytuły odniezionych piosenek to: „That means a lot”, „If you have got trouble”, „How do you do it?” oraz „Leave my kitten alone”. Ostatnia z nich miała wyjść wówczas, kiedy John został zamordowany w grudniu 1980 r. w Nowym Jorku, a przedostatnia była już kiedyś śpiewana z powodzeniem przez zespół Gerry and the Pacemakers.

Firma nagrań płytowych EMI zapowiedziała, że cztery utwory złożą się na jedną płytę 45-obrotowa, która zostanie wydana oczywiście po uprzednim uzyskaniu zgody Paula, George’a i Ringo.

„LA SCALA” POD ZNAKIEM OSZCZĘDNOŚCI

Mediolaska „La Scala” rozpoczęła nowy sezon, który cechować będzie skromniejszy repertuar, mniej nowych inscenizacji oraz wzrost cen biletów.

Według oświadczenia nadintendenta — Carlo Maria Badiniego oraz dyrektora artystycznego — Carlo Mazzonisa, w nowym sezonie zaangażowano kilku sławnych solistów, mian. Placido Domingo, Shirley Verret, Juana Ponsa i José Carreras oraz dyrygentów — Claudio Abbado i Lorina Mazzola.

Mediolaska teatr operowy w okresie 1976—1982 miał deficyt rzędu 24 mld lirów, który rzucił również na obecne trudności finansowe. Jednym z posunięć oszczędnościowych — zapowiedzianych przez dyrekcję „La Scala” — jest rezygnacja z szeregu szlagiernych tournée, mimo licznych zaproszeń. Natomiast nie uległa zmianie — zasađa długoterminowych kontraktów z czołowymi artystami, które zawierane są na okres 5-letni.

Plan repertuarowy „La Scala” przewiduje wystawienie w nowym sezonie dzieł Rossiniego, Leoncavalla, Wagnera oraz Mozarta.

STULECIE NOWOJORSKIEJ METROPOLITAN OPERA

Uroczyście obchodzone w USA stulecie jednej z najslawniejszych w świecie scen muzycznych — nowojorskiej Metropolitan Opera. Skróć MET znany jest melomanom na całym świecie.

Na scenie opery odbył się z tej okazji parada gwiazd. Którzy występowali na stulecie MET? Można było usłyszeć Joan Sutherland i Annę Moffo, Mireille Freni i Placido Domingo, Monserat Caballe i José Carreras, Nicolais Gedde i Mignon Dunn, Grace Bumbry, Martine Arroyo, Nikolaja Giurowa, Brigit Nilsson. Oczywiście, usłyszeć mogli ci, których stać było na horrendalnie drogie bilety.

Setne urodziny Metropolitan Opera obchodzone w całym Stanach Zjednoczonych. 22 października uznany został za narodowy dzień tej placówki.

Z historii Metropolitan Opera związane są niemal od jej początków nazwiska polskich artystów. Święcił tu triumfy Marcelina Sembrich-Kochańska i bracia Reszkowie, zaś obecnie goszczą Teresa Zylis-Gara, Teresa Kubiak, Wiesław Ochman, Kazimierz Kord.

„CZARNA” LISTA AKTORÓW I MUZYKÓW WYSTĘPUJĄCYCH W RPA

ONZ sporządziła „czarną” listę z nazwiskami aktorów, muzyków i tancerzy z 23 krajów, którzy w ostatnich latach występowali bądź też zamierzają występować w RPA. Specjalny komitet ONZ do spraw walki z apartheidem wymienił 211 aktorów, muzyków i grup, które lekceważyły kulturalny bojkoł RPA, uchwalony na sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ w grudniu 1980 roku na znak protestu przeciwko polityce apartheidu.

Szczególnie potępia się występy piosenkarza Franka Sinatry, który — jak stwierdzają autorzy listy — zademonstrował „najwyższe lekceważenie narodu afrykańskiego”. Frank Sinatra występował w RPA latem 1981 i otrzymał za swoje występy prawie 2 mln dolarów. Wbrew protestom przeciwników apartheidu, w roku 1983 ponownie udał się do RPA.



Foto: Marek Kamiński

Polemiki • Listy • Opinie

„SKANDAL W OŚRODKU ZDROWIA”

W sprawie ukazania się w tygodniku *Odgłosy* artykułu pt. „Skandal w ośrodku zdrowia”. Pragnę tą drogą podziękować p. redaktorowi E. Brylowi, od ludzi biednych i rencistów za obywatelską postawę zajęta w obronie pacjentów lekarza Krawczyka i jego żony, w dobie wyciszania wszelkich afer, wynaturzeń i zbijania fortuny przez cwaniaków w białym fartuchu, w sposób przestępczy, spekulując w sposób patologiczny wszelkimi możliwościami zawodu, naciągając pacjentów na opłaty za każdą wizytę. To mogłoby potwierdzić wszyscy. Lekarz odwiedza wymienione osoby w artykule w ich mieszkaniach, wymusza odwołanie złożonych zeznań. Straszy prokuratorem każdego, kto odważy się powiedzieć słowo prawdy lub ujawnić nowe oblicze sprawy dotychczas nikomu nieznaną, a obciążając lekarza bardzo ciężko, dlatego ludzie milczą, nie chcą składać oświadczeń, boją się szalejącego doktora. Nie chcą ujawnić faktów imiennie. Mają wiele jeszcze do powiedzenia. Czeka ją na przyjazd komisji, która powinna być powołana do zbadania opisanych zarzutów i zapoznania się jeszcze z innymi, które pacjentki chcą tylko przekazać kompetentnym władzom, gwarantującym dyskrecję. Sprawa jest bardzo głośna. Żyją nią wszyscy praktycznie, ze zgorznięciem i oburzeniem wyrażają się o służbie zdrowia, z kłóską ruchu „Odgłosy” zniknęły w mgleniu oka. Zdobyte egzemplarze czytelnicy podawali sobie z rąk do rąk, inni czasami czytelnicy wyjeżdżali do sąsiednich miejscowości, aby zdobyć tygodnik nie licząc się z ceną. Piszę w ten sposób, aby Panu Redaktorowi powiedzieć, że poruszył bardzo ważny problem społeczny i nie powinien odstąpić zanim sprawa nie zostanie do końca załatwiona. Lekarz musi odejść. Zyczymy zakończenia na Pana myśl.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)



W związku z ukazaniem się na łamach *Odgłosy*, nr 47 (1338) z dn. 19.XI.1983 r., artykułu pt. „Skandal w ośrodku zdrowia” Pana E. Bryla. W radio p. Kielanowski — mówi o lekarzach między innymi: lekarz to człowiek dobry, przyjaciel ludzi, wrażliwy na dole i niedole człowieka, znajdującego się w potrzebie, stara się ulżyć w cierpieniu w sposób bezinteresowny i możliwie skuteczny. O wybitnym koście moralnym, człowiek o niecodziennych walorach humanitarnych. Czytając artykuł p. Bryla, w głowie się nie mieści, że Służba Zdrowia takich konowalów i bandytów zatrudnia w ośrodkach zdrowia, żerujących na bezbronnych ludziach, słyszy się o napadach rabunkowych, o wyjazdach do chorych w stanie niecierpliwym, czy na to co się dzieje nie ma skutecznej recepty? Czy nie ma władzy, która by tym nadużyciom położyła kres? Panie Redaktorze, dziękujemy za obywatelską postawę, i żywny nadzieję, że włożony przez Pana kij do mrowiska zauważą odpowiednie władze i wyciągną wreszcie odpowiednie konsekwencje z zaistniałego skandalu. Domagamy się zmiany dr Krawczyka, jego żony i pielęgniarki H. Majchrzak. MALINOWSKA Z LEŚMIERZA Z SĄSIADKAMI

AUTOROWI FELIETONU „DRZEWA W ODPOWIEDZI

Żeby nie było nieporozumień: nie dlatego piszę, że obraziłem się na W. Afeltę za prezentowanie przez niego w felietonie „Drzewa” (*Odgłosy* nr 46 z dn. 12.XI.1983 r.) poglądy, choć autor przecznie i chyba nie bez racji taką ewentualność przewidział. Piszę, bo ochronę przyrody, nawet jeśli jest to zieleni przed (najdłuższym w Łodzi) blokiem, w którym mieszka autor, uważam za sprawę tak ważną i godną tego, aby pisać o niej bez nonszalanckiej i z poczuciem odpowiedzialności za słowo, ze świadomością, że „słowo pisane” — Prasa, kształtuje opinie, poglądy i postawy czytelników. Świadomość ta zobowiązuje również do szacunku dla czytelnika.

Zdaniem W. Afeltę niszczenie przyrody powodują w kolejności: — psy (bo súsiają na krzaczki i to — o zgrozo! — pod okiem swoich panów), — dzieci (bo woła grać w piłkę na porośniętym murawą trawniku, niż na wybetonowanym „terenie, na którym można hasać do woli”), — zmotoryzowani (co to niby przypadkiem, z boku, z tyłu — zderzakiem — w rosnące na parkingu — podkreśl. moje — P.S. — drzewo), — budowlani i „zielone” przedsiębiorstwa, (sadzące zieleni w głąb, pod którą leży gruz i cegły), — chemia (wiadomo), — no i wreszcie, „pełni wzdargy dla zieleni w ogóle”, przybysze ze wsi, osad i małych miasteczek (do trzeciego pokolenia), zafascynowani „kranem z wodą, gazem, samochodem, dla których synonimem piękna jest asfalt i beton.

Tych ostatnich W. Afeltę „zupewnie nie rozumie”, co oznaczałoby, że dla wymienionych wcześniej, jakie takie zrozumienie można jeszcze znaleźć.

Przed wojną endecy mówili, że wszystkiemu winni są „żydzi i masoni”. My dzisiaj za to wiemy, że czystsza przyroda (również przed najdłuższym w Łodzi blokiem) tepią do trzeciego pokolenia, pełni wzdargy dla niej, przybysze ze wsi, osad i małych miasteczek.

W tym miejscu, za wieszczęm powtórzę: „...z początku śmiech mnie porwał pustą, a potem litość i trwoga...”

Szanowny Autorze! Czy rzeczywiście wskazuje Pan prawdziwe przyczyny, dla których przyroda w naszych miastach niszczy, a terenów „niezających oko i serce ludzkie” jest coraz mniej? Czy pytając przewrotnie „dlaczego s a m i, tacy jesteśmy” i równocześnie wskazując palcem tych, którzy są tacy, trafia Pan we właściwą pierś? Popatrzmy wszakże na kole.

Najpierw osy. Nie mam psa i nie wiem, jak długo musi súsiać pod krzaczek, aby spowodować jego uschnięcie. Wiem jednak, że psie prawo súsiać służy pod krzaczek. Nic na to nie poradzi mi. Myślę nawet, że pański colie (jeśli dobrze pamiętam wabił się „Ami”) gdy żył, także súsiał pod krzaczek, prawdopodobnie także pod okiem swego pana. Skoro godzimy się z trzymaniem psów w mieszkaniach, w blokach, musimy zgodzić się z tym, że swoje naturalne potrzeby będą załatwiali w psom właściwy sposób, właśnie w krzaczkach i na terenach zielonych. Bo niby gdzie mają to robić? I nie to nie pomoże wskazywanie palcem tak psa, jak i jego właściciela. Właściciel może jedynie nie pozwolić (i oby to czynił), aby piesek załatwiał się w dziecięcych płaskownikach. Nic więcej nie jest w stanie poradzić.

Dalej — dzieci. Dziwi się Pan, że wola biegać i bawić się na trawniku niż na betonowym czy asfaltowym placu, przeznaczonym dla nich przez pobawionych wyobraźni projektantów nowych osiedli? Ja się nie dziwię. Myślę, że zabawa na wybetonowanym placu może być dla dzieci wręcz niebezpieczna. Nie do dzieci chyba należy mieć pretensje. Ani nawet do ich mamus, które harce na trawniku tolerują, ale do tych, którzy uznali, że dla zabawy dziecięcych najlepsze są właśnie betonowe place. Ba! Nawet szkolne boiska wykonywano z asfaltu. A czy którekolwiek boisko sportowe jest wyasfaltowane? W następnej kolejności — zmotoryzowani. Nie ich to chyba wina, że pojazdy mechaniczne wydzielają spalinę, zabójczą dla roślinności, a także dla człowieka. Jest to niestety cena, jaką płacimy wszyscy za rozwój cywilizacji.

Technicznej. Nie zamierzam bronić tych, którzy niby przypadkowo „...a to zderzakiem z boku, a to z tyłu...” — oczywiście w drzewko, aczkolwiek wątpli, by właściciel samochodu świadomie ryzykował zderzenie „swego ukochania” z drzewem. Być może tak się zdarza. Ale pytam, kto wpadł na tak genialny pomysł, aby sadzić drzewa wewnątrz parkingu i dlatego na to pozwolił inwestor osiedla? Przecież z góry było wiadomo, że drzewka rosnące na parkingu zostaną zniszczone!

Teraz budowlani. Na pewno zostawiają w ziemi gruz i inne odpadki pozostałe po prowadzonych robotach. Często ziemia zakrywa również efekty marnotrawstwa. Nie sądzę jednak, aby wszelki gruz należało wywozić. Pomijam nawet związane z tym koszty i zużycie deflitywnej paliwa, za co w konsekwencji musieliby płacić lokatorzy. Ale przecież wywieziony poza miasto gruz spowoduje zniszczenie przyrody w innym miejscu! Dla trawy i krzewów wystarczy właśnie taka kilkunasto- lub kilkudziesięciocentymetrowa warstwa urodzajnej ziemi „po wierzchu”. Natomiast w miejscach, gdzie mają być sadzone drzewa, teren w promieniu kilku metrów powinien być oczyszczony dokładnie. I to powinno być od budowlanych egzekwowane przez nadzór inwestorski. Do tego jednak trzeba mieć szczegółowy plan zazielenienia już w trakcie prowadzenia robót budowlanych, a nie tworzyć go przez „zielone” przedsiębiorstwa po zejściu budowlanych z terenu, na wyrównanym przez nich placu.

Teraz chemia. Nie zamierzam jej bronić. Wiadomo — zatrąwa, niszczy itd. Czy zawsze jednak pretensje należy kierować pod adresem już istniejącego zakładu? Czy błędy nie zaczynają się już od etapu wstępnej lokalizacji?

No i wreszcie ci zafascynowani asfaltem i betonem („bo to nowoczesne”), do trzeciego pokolenia pełni wzdargy dla przyrody i zieleni przybysze ze wsi. I tych bronić nie zamierzam, wierzę bowiem, że Autor wniosek swój w tym względzie oparł na własnych spostrzeżeniach poczynionych na trzech pokoleniach owych „przybyszów”. Chcę wszelako podzielić się z Autorem swoimi w tej mierze spostrzeżeniami, a także zadać mu kilka pytań. Więc: czy to właśnie „przybysze ze wsi i małych miasteczek” betonuują i asfaltują wszystko co można, w osiedlach mieszkaniowych w wielkich miastach? Czy to oni projektują betonowe place zabaw dla dzieci i asfaltowe boiska szkolne? Czy to właśnie (lub tylko o) ich dzieci grają w piłkę na trawnikach (mimo że jako drugie dopiero pokolenie „zafascynowanych betonem” powinny grać właśnie na betonowych placach)? Czy to ich (lub tylko o) pieski súsiają na krzaczki? Czy tylko oni niszczą wysadzone bezmyślnie (przez nich?) na parkingach drzewka? To właśnie oni rozrzucają plastikowe butelki po silnikowym oleju? Tylko oni wędrują ścieżką skracającą drogę, której nie przewidział projektant?

Twierdząc, że Autor zna wieś jedynie z opowiadań bąbuni. Gdyby ją znał osobiście, nie pisałby o zafascynowaniu betonem, asfaltem i kranem z wodą. Przez znakomitą większość polskich wsi biega dziś betonowe lub asfaltowe drogi. W ogromnej ilości wiejskich domów można spotkać kran z wodą (ba! można je spotkać nawet w obrorach), kuchenkę gazową, pralkę, lodówkę itp. Samochód w wiejskiej zagrodzie to widok powszechny. Wielkie miasto nie ma już czym dzisiaj fascynować „przybysza ze wsi i małego miasteczka”. Zgoda — asfaltowa droga jest czymś nowoczesnym w stosunku do polnej drogi. Ale gdyby chłop był tym zafascynowany, betonowałby i asfaltował swoje obejście, podwórka i gumna. A jednak tego nie czyni. Gdyby mając „przyrody po dziurki w nosie” — jak to barwnie określa Autor, czuł „wzdargę do zieleni w ogóle” — wyciąłby zapewne drzewa wokół swej zagrody i nie sadził malw w przydomowym ogródku. Łatwiej byłoby się zapewne, że przybysze z miasta, którzy na niedzielną majówkę przyjechali akurat do jego lasku, zostawili w nim butelki po wodce, puszki po konserwach, papiery i inne śmieci. To wznagałoby jego uczucie wzdargy „do zieleni w ogóle”.

Proponuję Autorowi wycieczkę do mazowieckiej wsi Liw, w województwie siedleckim. Na przykościelnym cmentarzu znajdzie tam — przy każdym rosnącym drzewie — metalowa tabliczka z wierszowaną sentencją o pożytku z drzew i potrzebie ich ochrony. Wiele jest tych tabliczek, może z pięćdziesiąt. Ustawili je ci właśnie mający przyrody „po dziurki w nosie” i pełni wzdargy „do zieleni w ogóle”.

Nie wiem skąd W. Afeltę czerpał informacje (bo przecież nie spostrzeżenia) o zafascynowaniu miastem „przybyszach ze wsi”, którzy asfalt i beton przedkładają nad cieszącą oko i serce zieleni. Wedle moich spostrzeżeń (i doznań) przybysze ze wsi tęsknią właśnie do tego co pozostawił: zieleni, drzew, ptaków, szumiących zbóż — do przyrody. I może właśnie dopiero w trzecim pokoleniu tęsknot tych się wyżywa.

Przyrodę trzeba chronić i trzeba jej bronić, jeśli nie chcemy zostać mieszkańcami betonowych pustyni. Trzeba jej bronić i systemowo i indywidualnie, przed jednostkowymi, bezmyślnymi działaniami człowieka. Jest to prawda oczywista. Nie wolno jednak wskazywać źródła zła tam, gdzie go nie ma. Nie wolno — w szczególności z łamów prasy — wskazywać palcem winnych, jedynie na podstawie własnych wyobrażeń. Bezmyślnych, głupców i wandalów spotkać możemy i wśród przybyszów ze wsi, i wśród mieszkańców od wielu pokoleń miejskich. Jednakże głupota i wandalizm nie jest konsekwencją pochodzenia. Ani miejskiego, ani wiejskiego.

Przypisując wymaginowane, ujemne cechy i to przez kilka pokoleń, określonym ludziom czy grupom, z racji ich pochodzenia, jakże łatwo spowodować — szczególnie w środowiskach młodzieżowych, szkolnych, dyskryminację tych, którzy w swoim (do trzeciego) pokoleniu legitymują się określonym pochodzeniem.

Smutne, że muszą o tym W. Afeltę przypominać. Smutne, że u progu XXI wieku spotkać jeszcze można takie poglądy.

Dla jasności: jestem w pierwszym pokoleniu tym, który wedle W. Afeltę, poczucie piękna ma zdeterminowane zachwytem dla betonu i asfaltu, a wzdarga do wszystkiego co żywe i zielone jest mi zakodowana organicznie. Wolno W. Afeltę tak myśleć, aczkolwiek myślenie takie uważam za betonowe i nawet nie wyasfaltowane. Twierdząc wszelako, że pisać tak, w środkach masowej komunikacji, nie wolno. Jest to bowiem nie tylko balałutne, ale także szkodliwe.

Nie wstydziliem się ani mieszkańca w wsi rodziców (gdy żyli), jak chce W. Afeltę w innym miejscu tego samego numeru „Odgłosów” (str. 11 — „Powszechne zdziwienie obyczajów”), nie wstydzę się tego, że leżą na wiejskim cmentarzu — teraz. I myślę, że tych wstydzających się swych wiejskich rodziców, nie jest więcej niż tych od pradziada mieszkańców miasta, którzy będąc dzisiaj lekarzami czy inżynierami, wstydzą się swoich ojców — szweców, dorozców, czy tramwajarzy. Ale ziemniaki z d a r m o (!) nieraz przywoziłem. Prawda...

PIOTR SIKORSKI

P.S. Przyimek „od” rządzi drugim przypadkiem. Drugi przykład od łacińskiego rzeczownika „status”, brzmi również „status”. Świerczki schną zatem od „status nascendi”, a nie od „status”, który jest przypadkiem szóstym.

P.S.

RECE OPADAJA

Nawiązując do notatki prasowej pt. „Rece opadają” zamieszczonej na łamach „Odgłosów” w dniu 13.08.1983 r., nr 33 — a dokładnie fragmentu dotyczącego tablic rozkładu jazdy na przystankach PKS, Dyrekcja Okręgowa Krajowej PKPS w Łodzi uprzejmie informuje:

Powszechnie stosowanym obecnie surowcem do wykonania tablic rozkładu jazdy na terenie Łódzkiego okręgu komunikacyjnego jest blacha. Zdarza się, że Oddziały PKPS przewidując w naj-

bliższym czasie zmiany w RJA lub w miejscach, gdzie tablice są notorycznie kradzione bądź uszkodzone, stosuje papier pokryty lakierem bezbarwnym.

Szczególna dezaktualizacja rozkładu jazdy obowiązującego w latach 1982/83 — 1983/84 nastąpiła w wyniku licznych zawieszonych kursów z powodu braków paliwowych, a także związanych ze stanem wojennym (zawieszenie i następnie ponowne wprowadzenie połączeń średniodystansowych i dalekobieżnych).

Jednocześnie informujemy, że zmiana rozkładu jazdy każdorazowo związana jest z kompleksową wymianą wszystkich tablic RJA oraz zużytych lub brakujących tablic z nazwami przystanków i emblematami PKS. Wymiana ta wiąże się z ogromnym przedsięwzięciem finansowo-materiałowym powiększonym trudnościami ze zdobyciem odpowiednich farb i lakierów.

Lustracje kompletności wyposażenia przystanków PKS w wymienione urządzenia prowadzone są przez pracowników tuł. Dyrekcji.

W trakcie sezonu informacje o braku lub dezaktualizacji tablic RJA są przekazywane za pośrednictwem służb rewizyjnych, a wykazane nieprawidłowości likwidowane.

Odpowiednie terenowo jednostki organizacyjne Łódzkiego okręgu komunikacyjnego prowadzą niezależnie od tego okresowe lustracje urządzeń przystankowych połączone z jednoczesnym usuwaniem ujawnionych braków.

Należy zaznaczyć, że na 3506 urządzeniach przystankowych znajdujących się w Łódzkim okręgu komunikacyjnym, w wyniku kradzieży lub zniszczenia wymienionych jest średnio w sezonie komunikacyjnym około 400. Niektóre urządzenia wymienione są kilkakrotnie z uwagi na notoryczne umyślne ich dewastowanie.

Mamy nadzieję, że stabilizująca się sytuacja w kraju, a także powrót do zasady opracowywania rozkładu jazdy na jeden sezon komunikacyjny zdecydują o pełnej aktualności tablic rozkładu jazdy zarówno liniowych jak i dworcowych.

Z-ca Dyrektora
d/s przewozów
mgr LECH KUKUŁKA

MIEDZY NAMI DYLETANTAMI: O PLURALIZMIE

Począwszy Karol Smolka powiedział, że w Niemczech ongiś ludziska pili tak dużo, że na każdego trzeciego patrzono jak na obcokrajowca. Mimo to w końcu, jak wiemy, Niemcy nie najgorzej na tym wyszli. Z kolei, jak twierdził nie mniej poczytywy Łódzki „Rozwój”, jeszcze w roku 1922 w synnych „Listach z Odesy”, właśnie alkoholowi zawdzięczał chłop w „Rosji carskiej, zwłaszcza południowej” tężyzną fizyczną. Każdemu, oczywiście, swoje, ale Polacy są przecież narodem otwartym na cudze doświadczenia. Mnie jednak, mimo że z tamtych południowych kresów pochodzę, nie sądzono się nawrócić i jako zaawansowany abstynent na temat alkoholizmu nie mam sumienia się wypowiadać kategorycznie, a po dyktando wydamy mi się, że w Polsce pije się nie więcej, niż gdzie indziej — dane GUS na ten temat mogą być mylące: ilość wypitego alkoholu wale nie świadczy o ilości pijących, tak samo, jak ilość kociolów nie świadczy o ilości wierzących. Z całym zaś sumieniem i odpowiedzialnością mogę zasentencjonować — bo jest to oczywiście, jak śnieg w listopadzie 1983 — iż obecnie w Polsce tyle się kpi, wszyscy i nad wszystkim, że każdy niekpiarz dalebóg wygląda jak obcokrajowiec! Gwoli sprawiedliwości należy owszem pamiętać, że kultura europejska nad wszystko ceni poczucie humoru i prawdziwy Aryjczyk (w terminologii lat dwudziestych, oczywiście, kiedy to Aryjczykami jeszcze byli wyznawcy wszystkich wierzeń oprócz Mojżeszowego) może zrezygnować z dobrobytu, ale z dowcipu — nigdy. Było jednak kilka tematów, a dwa na pewno, przy których najdowcipniejszy Polak nie wpałby na pomysły kpin; były to: stosunek do kobiety w ogóle i do miłości w szczególności.

Ala raptem coś się stało: jedni mówią, że są to skutki emancypacji (chciały równouprawnienia, to mają; inni, że to znowu kryzys rewolucji, tym razem seksualnej, który, jak każdy kryzys, do krajów z gospodarką planową dociera z opóźnieniem... Mnie osobiście wydaje się — niestety nie jestem tego pewien na 100 procent, bo chociaż mam wykształcenie ekonomiczne, nie interesowałam mnie w szczególności problem — stosunków handlowych Wschód—Zachód — że to skutki restrykcji: zakrojonym szeroko skalam stadoam kaczek (dziennikarskich) zabrakło pasz treściwych, i puściło się je na zielone.

Powyższego ustępu proszę nie traktować poważnie — chciałem po prostu udokumentować, że kpinarskie rzemiosło nie jest mi zupełnie obce. A żeby nie wpaść w przesadne analizowanie, weźmy do ręki jakiś tygodnik, na przykład ilustrowany, który z reguły bierze na swoje barki mniej lub bardziej mocne nie tylko kształtowanie poglądów etycznych i społecznych, ale również gustów estetycznych, najlepiej przedni, tak jak „Razem” lub „itd”, które nakładają ostatni szlif na materiał, który decyduje, jakie będą... Są to czasopisma, które nie potrzebują reklamy, nie znam zresztą lepszych czasopism dla młodzieży w żadnym kraju, i ten kto myśli, że młodzież kupuje te czasopisma dla ostatnich stron, myli się: wspaniałe reportaże, trafne analizy, interesujące rubryki. Nawet stale lub od czasu do czasu urządzane kpiny są pełne uroku i smaku — za nielicznymi niewypałami.

I bywa to stokroć przykre, ponieważ takie niewypały działają ze skutecznością bomby neutronowej, a co gorsza, że dla pewnej części czytelników są ogniem uprzedzającym (naowyk czytania od ostatniej strony!). Do najbardziej udanych z pewnością należą stale rubryki ars-amandi czy też porad seksualnych. W ostatnim numerze „itd” (dr Zb. Lew-Starowicz rozpoczyna nowy cykl publikacji „Podstawy współżycia seksualnego” (część I, nr 44/83), podając na wstępie listę lektur dla „dobrego przygotowania do życia seksualnego i partnerskiego”, po przeczytaniu której mój syn (student) zauważył, że brakuje tej listy takich pozycji jak „Polski dowcip językowy” i jak minimum dwóch Vadameów. J. Wittlina. A córka zakonkludowała: „Jakże dziwny wpływ mają takie publikacje, jeżeli nie potrafią zadziałać przekonująco nawet na własne zespoły redakcyjne. Szczerze mi żal fachmanna od spraw tytkowo-siodelkowych należącego niewątpliwie do populacji nr 1, ale również pana doktora starającego się o sublimację populacji nr 3”.

To, że obecnie praktycznie każdy może przedstawić swoje poglądy publicznie, godne jest poparcia: kto nie jest pewny swoich, zawsze może znaleźć coś chociażby w przybliżeniu adekwatne, co na pewno podziela kojąco na miłość własną. Tylko jak długo? Do następnej strony? Ale czy pluralizm aby na pewno na tym polega? W moim odczuciu miałby on polegać na równych możliwościach społeczno-prawnych dla osiągnięcia prawdziwych doznań od gospodarczych do estetycznych, co z kolei nie jest możliwe bez rezygnacji z tego, co przecież prawdą zasadniczym.

Proszę sobie na chwilę wyobrazić, że „Za i Przeciw” po „Rozważaniach czytelników” pomieścił znakomitą XVI-wieczną karykaturę „Ego sum Papa”, dla uczczenia Roku Marcina Lutra, powiedzmy, czy też celem ściągnięcia dodatkowych czytelników. Przy wszystkich niewątpliwych i szczerych trendach pluralistycznych tego pisma wyobrazić to sobie trudno: we wszystkich bowiem za i przeciw redakcja dotrzymuje się prawd zasadniczych. I słusznie. Człowiek, zwany dalej „Adept”, powinien być pewny — nie tylko siebie, ale swoich współadeptów również — i to w kwestiach etycznych i estetycznych jest chyba nie mniej ważne niż w gospodarczych i politycznych. A im młodszy adept, tym bardziej tego potrzebuje. Bo chce wiedzieć, z kim ma do czynienia i kto za, a kto przeciw. O szacunku zaś do siebie musi się starać każdy pogląd i światopogląd sam.

JAN KAPLAUCH

W środku kipiało mi z wściekłości. Co za idiotyzm wdawać się w taką bezsensowną kłótnię. Trzeba było załatwić sprawę, zjeść co dawali i pa. Ten zysk, że rozgotowani adwersarze całkiem zapomnieli o nadziejanej gasce, którą bez krzty wyrzutów sumienia pożarłam w całości... no, może niezupełnie. Zostawiłam jedną nogę i szyjkę...

Za to teraz muszę drałować dwa kilometry po ciemku, z burzą na karku.

Pomyślałam o ostatnim odcinku drogi i przyspieszyłam... Cholera! I po co to było?

Poglądowo wypuściłam na siebie dwa brytany i z uciechą patrzyłam jak fruwa pierze. Coś pięknego — słyszeć, jak proboszcz robi sekretarzowi marksistowskie kazanie, a ten odwrócićca mu się kalumniami w guscie: „bezduszny racjonalista”.

Zaczęło się od głupstwa. Moja drużyna harcerska już trzecie lato spędzała w Barcicach. Dobre zaopatrzenie u chłopca, las, jezioro, no i dwór. Osiemnastowieczne cacko z balaskami na ganku, galerijką na pieterku i kominkami. Jak należy.

Do tego park — cudo, choć mocno zaniedbany, ale za to z fontanną. Pomagaliśmy w kapitalnym remoncie dworu i parku, szukaliśmy po wsiach resztek dworskich sprzętów.

Miejscowy proboszcz, historyk z zamiłowaniem, za punkt honoru postawił sobie odbudowę dworu i urządzenie tam Domu Kultury dla wsi i okolic. Bywały w świecie człek, znawca natury ludzkiej i dyplomata przedni, dotąd wiercił władzy dziurę w brzuchu, aż wywiercił. A że w marksizmie i piśmie świętym jednakowo był oblatany, więc w dyskusji mocnych na niego nie było.

Tak więc dwór powoli wyłaniał się z chaosu i mizerii.

Proboszcz zaś — to grzmiał z ambony na dumniów, co uważania żadnego dla potrzeb ducha nie mają i dalków skąpią na odbudowę. To znów — robił gminnej władzy szkolenia polityczne, że „jednostka ludzka i jej wszechstronny rozwój jest najwyższym celem socjalizmu”.

Szczególnie mocno gryzł w łdyki miejscowego sekretarza gminnego. Poczdliwe chłopisko, z kośćmi uczelwe i dobre, ni jak nie mógł poradzić pysktemu pasterzowi, choć szanował dobrodziejca za rozum i wielkie serce.

Sekretarz, chytrze szczypany, uznał w końcu sprawę dworu za główny cel swej kadencji. Przystał, że sława barcickiego Domu Kultury na pańskich posiadkach w świat pójdzie szeroko. Pomaleńku zaczął nawet zaglądać do Biblioteki Gminnej, od proboszcza pożyczając rozmaite spargaję. Rozczytał się i smaku nabrał do historii, zwłaszcza dotyczącej okolic najbliższych. Szczególnie zaś upodobał sobie dzieje ostatnich dziedziców barcickiego dworu, którzy wszyscy spoczywali na miejscowym cmentarzu. Historia rodziny B. obfitowała w wiele emocjonujących wydarzeń. Jedno z nich posłużyło sekretarzowi do ukućcia własnej teorii „winy i kary”. Proboszcz złośliwie twierdził, że to raczej teoria „winy i zemsty” i o to wicznie się obaj kłóćli.

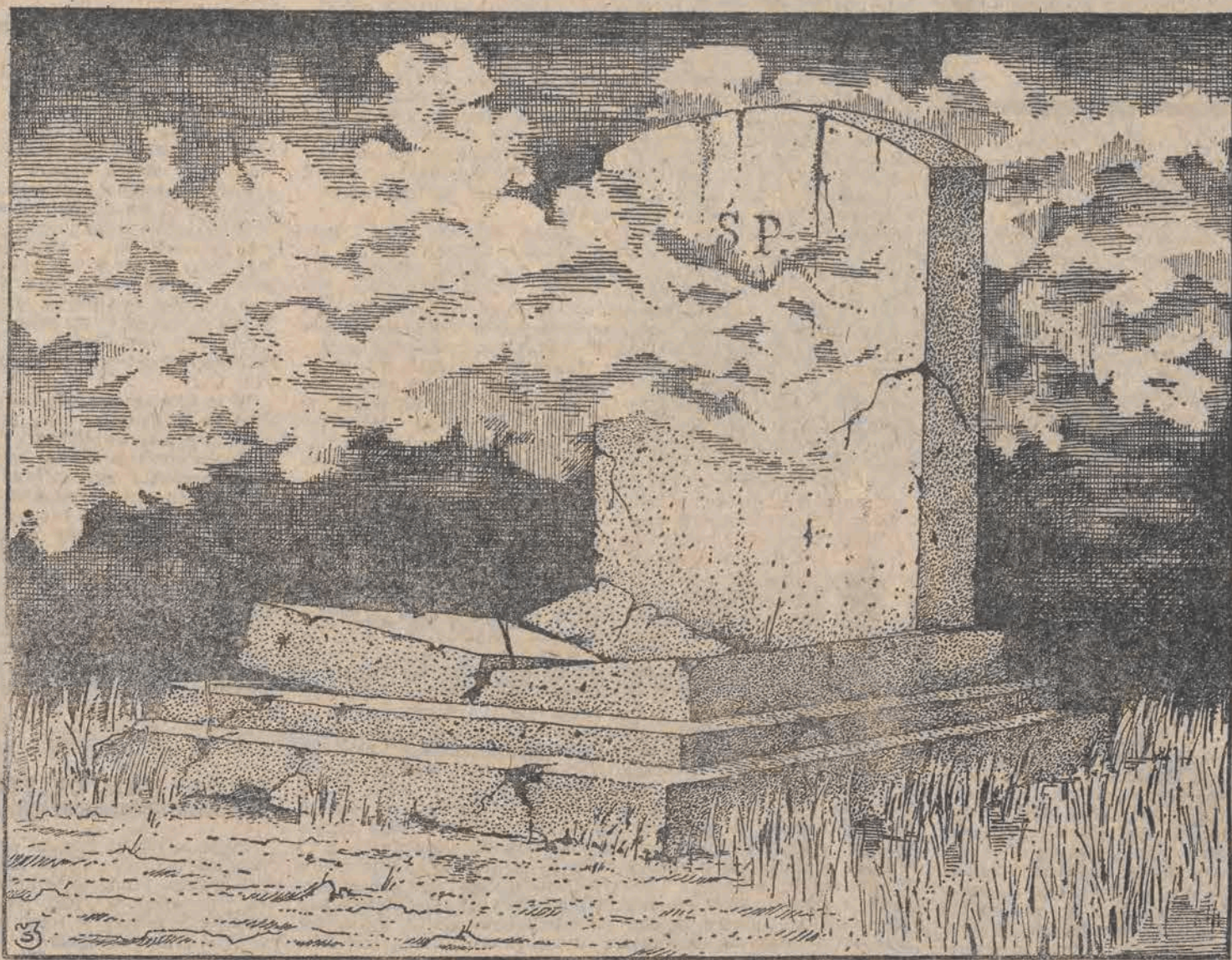
1

A było tak:

Ostatni dziedzic dworu, młody i piękny Eugeniusz, poślubił był, za radą swego ojca, acz bez wielkiego uczucia, posażną i niebrzydka pannę Zofię z bardzo porządnego szlacheckiego gniazda. Będąc czołwiekiem honoru, wyznał przed ślubem swej narzeczonej, iż jej nie kocha, ale mężem będzie dobrym i dbałym, zaś rodzinie zapewnił byt zasobny i spokojny.

Panna — sama nie po sercu za męża idąc — warunki przyjęła dodając, że małżonkowie winni wzajem uszanować swe prywatne życie, nie wnikając w nie za bardzo, acz z zachowaniem dobrego imienia rodziny i bez skandalu.

Na tym stanoło. Minęło lat kilka, porodziły się dzieci, małżonkowie wiedli prywatne swe sprawy, każde po cichu i osobno. I trwałoby tak dalej, gdy-



Rys. Janusz Szymański-Glane

Krwawy grokowiec

MARIA KUNOWSKA

by nie nagła i wielka miłość, jaka pojawiła się w życiu pięknego Eugeniusza. Dama serca — wykwintna i piękna hrabina — uczucie odwzajemniła, choć kochankowie ukrywać się z nim musieli, a i nadziei żadnej na wspólne życie mieć nie mogli. Rzecz działa się bez rozgłosu, lecz pani Zofia, matka już trojga dzieci, szybko wyuczyla, że tym razem to nie żadna przelotna miłośćka jej męża, a sprawa poważna. I tu objawiła się jej prawdziwa natura. Despotka, znana ze swej pychy i próżności, chciała małżonkowi okazać się być mściwą zawistnicą.

Nie to ją ubodło, że małżonkowi znalazł sobie rywale, boć umowa stała, że rodzina trwać będzie, a i nie pierwsza to dama, co się mężowi przydarzyła. Choć nie kochana — szanowała była od męża i dom miała spokojny. Nadto — wypielniając do ostatka punkty małżeńskiego paktu o nieagresji, sama w dziesiątki liczyła miłośników, a gachów, a wielbicielei.

Najbardziej ugryzł ją pod serce majątek hrabiny i jej wdzięk niepospolity. Zwłaszcza zaś ścierpieć nie mogła przepyszne garnitury szafirów męzowskiej faworyty. Toteż zemstę okrutną na mężu i hrabini poprzysięgła. Za te szafiry.

Wybierającemu się do Warszawy w interesach mężówi dała na drogę likwor cudownie wzmacniający. Dobry szczególnie na podłą pluchę listopadową.

Przebiegła była dziedziczka nadzwyczajna i chytra. Wiedziała, że w stołicy mąż przepędzi czas jakiś z nienawistną hrabiną. Ta zaś — delikatnej budzącej natury, potrzebować będzie niejakiego wzmożenia od chłódów i deszczów. Mąż więc — rozmówiony kochankę, użyczy jej swego lekarstwa.

Rachuby dziedziczki nie zawiodły. Uwielbiana hrabina w męce skonała na rękach rozpaczającego kochanka. Zapamiętała się w bólu i na życie swe targnęła się zamierzać. Dopiero kryulicy i przyjaciele śmierci go wyrwali.

Wróciwszy nieco do sił, zaczął myśleć. Z tego myślenia wyklucło się straszne podejrzenie.

Wszak ukochana zmarła po zażyciu żoninego likworu. Dawszy rzecz zbadać aptekarzom, dostał dowód, że ów likwor był sprytnie przyrządzoną trucizną.

Gniew okropny gnał go do domu na skrzydłach. We dworze czekała nań bogobojna trucicielka. Chcąc ostateczną mieć pewność, czas jakiś poświęcił na dyskretne zbadanie prywatnych zajęć jejmości. I odkrył w jej aliterku małe laboratorium chemiczne, gdzie żona przepędzała długie godziny, mieszając coś i warząc.

Przyłapaną — bez wstydu przyznała się do zglądzenia hrabini, trzymając swą zemstą i drwiąc z rozpaczny męża.

Ten — oszalały w bólu, zmusił diablicę do wypicia trucizny. Konając — ohydna trucicielka, przekleja swego małżonka, przysięgając, że śmierć jej padnie na niego niezatartym piętnem. Gdy tylko bowiem zbliżył się ktoś do jej grobu, krew spod siami wypływać będzie, świadcząc na wieki o winie męża i strasnej zemście żony.

I stało się jak rzekła. Gdy tylko płyta grobowca zamknęła się nad trumną — rażonej pono apopleksją — dziedziczka, tłum żałobników ujrzał z przerażeniem rzekę krwi płynącą spod płyty.

W panice, prosząc Boga o zmiłowanie, uciekali z cmentarza, a dwór wędrowca omiął jak zapowietrzony.

Tragiczny dziedzic, odchodzący od zmysłów, po roku strzelił sobie w łeb. Dwór porzucono, działki w opiekę wzięli krewni, a zła pamięć odstraszala kupców.

I tak powoli pył czasu pokrywał dwór zapomniany od Boga i ludzi.

1

Tę to legendę upodobał sobie sekretarz twierdząc uparcie, że prawda i ma na to liczne dowody, są bowiem tacy, co ów krwawiący grokowiec widzieli na własne oczy i zapomnieć nie potrafia.

Taka, na przykład, Kusiakowa Antonina leciała razu pew-

nego ze stacji do wsi, przez cmentarz. Szarówka już była, toteż spieszyła się srodze. W bliskości krwawego grobowca, coś z nagła nią wstrząsnęło, o ziem prasło i zawrzało. Zerwała się co rychłej i z litanią do Odkupiciela uciekła. Gdy doleciała do wsi, ujrzała się cała we krwi upackana, więc zaraz w pierwszą niedzielę dała na mszę za spokój duszy nieszczęsnej dziedziczki.

Co prawda ludzie po wsi gadałi, że nie żadna dziedziczka, jeno Józek Kusiak, zły na babę, że z robotą miżry, zaczął się na nią na cmentarzu i znieznacka prasnął babę w pysk.

A że jej pędził z nosa zrobił, to i posoka się ubabrała. Sekretarz jednak swoje wie i głupiego gadania powtarzał nie będzie. Coś w tym musi być i należy rzecz poważnie, naukowo zbadać.

Obśmialiśmy się z proboszczem z sekretarzowych zabobonów. Kłótnia się z tego okropna zrobiła, o zegarku zapomnieliśmy i teraz muszę lecieć po nocy do obozu.

Coraz bardziej zła, pędziłam świnią truchtem, a burza już pierwszym podmuchem zginała drzewa.

Przedemną był cmentarz. Tędy najszybciej mogłam dotrzeć do obozu położonego w dworskim parku. Droga była obozowana i w powszechnym użyciu. Tędy chodzili wszyscy mieszkańcy skracając drogę do szosy i stacji, latami wydeptali alejki wychodzącą przez rozwalony od starości narożnik cmentarnego muru, na dworską aleję. Stąd — już tylko sto metrów do szosy i jeszcze dwadzieścia do stacji. Mało komu chciało się nadkładać trzy kilometry drogą okalającą dworskie zabudowania.

Od głównej cmentarnej alei trzeba było skręcić nieco w bok i wydeptaną ścieżką, na przełaj, dotrzeć do narożnika muru. Wszystkiego raptem ze trzysta metrów.

Ciemność już była głęboka. Czarne chmury, gnane wiatrem, raz po raz odlatywały na sekundę młody księżyc. W tych

bliskach dziwnie wyglądały ruchliwe cienie od grobowców i rozkołysanych rozpaczliwie drzew.

Trochę na pamięć skręciłam w ścieżkę. Odetchnęłam z ulgą, że za mną już połowa drogi, choć w żadne duchy i wilkowiaki nie wierzę i w nosie mam głupie zabobony.

Musiłam jeszcze przelecieć kolo tego cholernego grobowca, a dalej już gładko. Sami światobliwi nieboszczycy.

Dziwnie jakoś, przyspieszyłam jednak kroku, a między łopatkami poczułam niemile walenie... tłu co do diabła! Co za kretynskie brednie ludzie wymyślają...

Nagle! Z dziesięć kroków przed sobą dostrzegłam jakiegoś poruszenie. Z całą pewnością nie był to cień od grobów, ani nie żadne złudzenie optyczne. Coś się poruszało!

W nogach zrobiło mi się miękko i jakby pot zimny?...

Zie we mnie wstąpiło. O! Do ciężkiej cholery! Ja ci pokażę! Pewnie znowu Kusiak zaczął się na swoją babę i w ducha się bawi!... Poczekał, ja cię urzędze!

Wykonałam regulaminowe „padnij” i ostrożnie poczołgałam się w stronę tego „czegoś”. Przysięgałam dopaść łobuza i sprać go na kwaśne jabłko... za mój głupi strach!

To „coś” również jakby z lekka przysiadło... czy co?

Przy samym narożniku grobowca dziedziczki sprężyłam się do rysiego skoku! Całym ciałem ujęrzyłam w coś! Miękkiego i jakby ciepłego!...

„Coś”, dodatkowo zaprawione lewym prostym — padło. Lecz gdy dotykałam ziemi po upadku... pode mną nic nie było!

Te ulamki sekund niebotycznego zdumienia i zaskoczenia skrócił potężny cios, jaki otrzymałam w potylicę. Ostatnie — co jeszcze świadomie poczułam — to fala ciepła oblewająca mnie od stóp do czubków zleżonych włosów...

„Ocknęłam się z czołem na kamiennej płycie. Nie wiem ile czasu leżałam bez czucia, ale chyba niedługo, bo burza wciąż jeszcze zbliżała się i nie padało... to była pierwsza zborna myśl... Dopiero po chwili

poczułam ogarniający mnie straszny, lodowaty, paniczny strach... Co to było?!!

Sparaliżowana potwornym lękiem leżałam bez ruchu, nasłuchując, czy coś znowu się nie poruszy... Nic. Cisza. Tylko coraz wścieklejszy łomot wiatru w cmentarnych drzewach.

Powoli, bardzo powoli podniosłam się na kciżki. Przetarłam dłońi oczy i twarz... i poczułam znowu leżący się pod czaszką strach... Dłoń była wilgotna... Ciemną maź pokrywała ręce. Twarz. Mnie całą... I caluteńką płytę grobowca, o który się opierałam...

Grobowca dziedziczki!!!

W nagłym błysku poświaty księżycowej zobaczyłam czerwona, lśniąca ciecz, pokrywającą wszystko dokoła...

Przestałam myśleć. Przestałam cokolwiek. Nie wiem nic! Nic nie chcę wiedzieć. Chcę uciekać!!!

Przerażająca gruda paniki wyrosła mi w gardle. Głos uwiązł gdzieś w żołądku... chciałam wrzeszczeć. Wrzeszczeć, jak jeszcze nigdy w życiu...

Nie wiem, jak pokonałam ostatni kawałek drożki do muru.

Nie wiem, jak storsowałam zarzucona gruzem wyrwę. Nie wiem, jak zostawiłam za sobą dwór i aleję parku...

Nie wiem, kiedy otoczył mnie nagłe ludzkie. Koledzy! Druhowie! Żywi!

Pamiętam tylko zmartwiałą ciszę, gdy mnie zobaczyli. A potem już nic. Straciłam przytomność.

Dopiero późnym rankiem otwierałam oczy. Leżałam czysta, w nowym dresie, owinięta ciepłym śpiworem.

Dopiero wtedy usłyszałam dalszy ciąg. Gdy koledzy mnie zobaczyli, poraził ich mój widok. Byłam umurzana we krwi, uwalana ziemią, z szaleństwem w oczach.

Wiedzieli, że szłam przez cmentarz. O legendzie też słyszeli.

Wszystkim przyszło do głowy to samo. Ktoś mnie napadł i pobli. Pewnie chciał udowodnić istnienie ducha...

Trzeba sama złapać i sprać mu mordę! I na milicję łobuza!

W okamgnieniu zmontowano karną ekspedycję. Tyrallera uzbrojona w pały i latarki, ruszyła trasą w stronę wsi. Przeczesał park i cały cmentarz. Zbadali każdy zakątek. Żywego ducha!

Tylko grokowiec dziedziczki znalazł zalany zakrzepłą już krwią...

Ulewa wygnała ich z cmentarza. Wrócili bez jednego słowa.

Niektórzy zaczęli przebąkawać o skróceniu wakacji, zwinięciu obozu...

Czekali tylko na komendanta, który wcześniej rano pojechał na posterunek milicji, zameldować o nocnych wydarzeniach.

W napiętym milczeniu oczekiwaliśmy jego powrotu.

Wrócił tuż przed obiadem. Z dziwną miną.

Zrelacjonował swe poczynania na posterunku. Wspomniał także o sensacji, jaka wybuchła w Barcicach.

Po wsi gruchnęła wieść niesamowita. Rudy Walek, znany opó i kłusownik spotkał ducha mściwej dziedziczki!!!

Wrócił wczoraj wieczorem z masarni przy stacji do wsi. Szedł — jak zwykle — przez cmentarz.

Akurat rębna! w masarni wiadro świeżej świńskiej krwi na kaszanke własnego wyrobu i przetrzasnął się, że to posterunkowy Maciejek wymacał go i teraz zdobie na cmentarzu!

Ale to była dziedziczka! Rzuciła się na niego ze straszny rykiem, więc Walek cisnął w nią wiadrem i uciekł z krzykiem. Przysięga, że akurat wczoraj był trzeźwy.

Nie wiedział tylko, czy dziedziczkę pochowano w okularach, czy nie, ale ich błysk zobaczył w świetle księżycu...

Jezuici — boża międzynarodówka

Hispan, który miał się stać założycielem zakonu najbardziej oryginalnego i najbardziej kontrowersyjnego w Kościele katolickim, do 26 roku życia trudnił się wojaczką, pojedynkami, gra w karty i przygodami miłosnymi. Prawdziwy Ignacy Loyola narodził się w czasie długiej choroby po ranie odniesionej podczas obrony Pampeluny oblężonej przez Francuzów. Przez dwadzieścia lat studiował później na uniwersytetach europejskich w poszukiwaniu tego, do czego Bóg go przeznaczył. Kiedy w 1540 roku papież Paweł III zatwierdził regułę zakonu i autoryzował opracowaną przez Loyolę jego „Konstytucję”, Towarzystwo Jezusowe oprócz swego założyciela liczyło 10 członków.

Zakon jezuitów nie był nowym oddziałem mnichów-inkwizytorów, którym za jedyną narzędzia ewangelizacji służyły tortury i stos. Loyola nie uważał obłąkany za najlepszego strażnika wiary. Zakon swój pojmował jako „wsparcie Kościoła walcującego”, jego członków uważał za „żołnierzy Chrystusa”, walczących dla Boga pod sztandarem Krzyża. Polem bitwy jest cały świat, a żołnierze nie kryją się wśród klasztornej spokoju i rozkoszy kontemplacji. Wymaga się od nich — oprócz ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, które składa się także w innych kongregacjach — szczególnych uzdolnień i walorów, a także szczególnych ćwiczeń duchowych i studiów. Nie wymaga się natomiast zamknięcia w klasztorze, noszenia habitu, odprawiania codziennych wspólnych nabożeństw.

Loyola uważał za konieczne, aby kandydat do zakonu był pod każdym względem szczerze oddany przez naturę. Początkowo owi wybrańcy pochodzili z arystokratycznych rodów europejskich, później także — z rodzin mieszczańskich. Obecnie rekrutacja jest znacznie bardziej różnorodna, niektórzy jezuita wywodzą się z rodzin rzemieślniczych lub chłopskich. Mimo tych zmian jedno pozostało niezruszone: zasada: przyjmują się tylko najlepsi. Nie ma wśród jezuitów poczciwoci o nieco ograniczonym umyśle. „Konstytucja”, którą Loyola redagował przez 17 lat, nazywana jest niekiedy labiryntem, tak wiele zawiera uściśleń, uwarunkowań, wymagań, zmierzających jednak wprost do celu: służby dla chwały Boga pełnić mogą w zakonie tylko ci, u których cała osobowość stanowi gwarancję skuteczności działania.

A więc kandydat musi się odznaczać umysłem badawczym i praktycznym. Musi być giętki — twarogłowi nie są stworzeni na członków Towarzystwa. Musi być wytrwały i cnotliwy — Towarzystwo potrzebuje dobrej reputacji. Konieczne jest też dobre zdrowie oraz przyjemna powierzchowność, bowiem brzydota lub ułomność utrudniają kontakt z bliźnimi. Dla teź przyczyn wymagana jest swoboda wyrażania się i poprawność wymowy. Mile widziane są też takie przymioty, jak szlachetne urodzenie, bogactwo, renowa, itp. Loyola nie zamierzał angażować na służbę Boga byle kogo. Toteż kandydati wiedzą, że uzyskanie przez nich zgody na wstąpienie do nowicjatu to prawdziwy zaszczyt, to wyróżnienie, tym bardziej, że nigdy nie uzyskują zgody od ręki — po złożeniu prośby, za pomocą ojców, przez kilka tygodni kandydat przebywa w odsobnieniu aby mógł raz jeszcze dokładnie przemyśleć sprawę swego powołania zakonnego.

Jezuici — ten termin w wielu językach nabrał mocno ujemnego znaczenia. Nazwanie kogoś jezuitą nie ma w sobie nic z komplementu: tak określa się ludzi podstępnych, obłudnych, amoralnych. Tam, gdzie gra się o władzę, gdzie stosuje się sztuczki czy fortele, łatwo zarobić na takiej obelży. W 1920 roku niektórzy francuscy związkowcy potępiali „jezuicką działalność bolszewików”. W 1983 roku na murach Paryża widniały napisy: „Zmień z RPR to jezuitę”. Takie porównanie, piętnujące polityków pozabawionych skrupułów i nie dbających o to, jakimi środkami zmierzają do celu, przedstawia równocześnie jezuitów jako ludzi polityki w Kościele, dla których chwała Bogu w rzeczywistości jest tylko pretekstem przysiągającym żądę władzy.

Przenikliwość i ostry realizm, z jakim „Konstytucja” traktuje sprawę postępowania Towarzystwa w stosunkach z innymi, dały asumpt do karykaturalnych interpretacji, tym bardziej że tekst tego dokumentu był słabo znany. Loyola zaleca, aby Towarzystwo zapewniło sobie „żyłczość stolicy Apostolskiej”, a także „książką świeckim oraz wybitnych i ważnych osobistości, bowiem przez swą przychylność lub nieprzychylność mogą oni wiele uczynić dla zamknięcia lub otwarcia bram do służby bożej i dla dobra dusz”. Pojawia się więc na scenie szara eminencja, wpływowi doradca możnych, przybrany w szaty spowiednika, człowieka cienia, ożywiony niepoohamowaną ambicją, ekspert kazuistyki, twórca teologii moralnej, której zasady przestają obowiązywać w szczególnych przypadkach albo w wyniku dyspensy. Ta machiaweliczna, zamaskowana postać wchodzi do literatury i ugruntowuje się tak mocno, że trwa niezmiennie po wieki, mimo iż Towarzystwo przechodzi głęboką ewolucję.

Jedno wszakże pozostaje niezmiennie związane z genium Lovoli: wychowanie i kształcenie jezuitów. Inspirując się własnymi doświadczeniami, Loyola stworzył coś, co później nazywano „racjonalną techniką psychologiczną”. Nie potrzebował on czytać Freuda, aby wiedzieć, że pragnienie jest siłą najważniejszą, a dobro i zło nie mają z tym nic wspólnego. Nowicjusz, który prosi o przyjęcie do zakonu jezuitów, jest odbywać najdłuższe nawet medytacje, czynić najcięższą pokutę, a wszystko w spontanicznym porwywie dążenia do Boga. „Ćwiczenia duchowe”, opracowane przez założyciela zakonu sprawią, że porwy zostanie okiełznany i ujęty w karby. Czas trwania ćwiczeń jest dookładnie określony — miesiące, a niekiedy mniej. Dzień wypunktowany jest czterema lub pięcioma kontemplacjami, w tym jedna — o północy. Każda kontemplacja trwa godzinę. Kto próbuje wpaść ją skrócić — będzie musiał wytrzymać nieco dłużej, jednakże najczęściej odbywający ćwiczenia, uniesieni zapalem skłonni są do prawdziwego „maratonu” rozmyślań. Lecz właśnie wówczas zwierzchnik zezwala im tylko na 60 minut — ani jednej więcej.

Nowicjusz ma też obowiązek codziennego dokonywania rachunku sumienia, według ściśle określonych reguł, dopomagając sobie wykresami, co ułatwia mu obserwowanie, jak gdyby w oderwaniu czynionych postępów, a także własnych grzechów. Równocześnie rozpamiętuje dokładnie i krytycznie każdy moment życia, co wyrabia w nim stałą, automatyczną niemal czujność. Nie ma mowy o zatraceniu się w chwili bieżącej — mechanizm introspekcji czuwa i funkcjonuje podczas wszystkich wykonywanych czynności. Praktyka kontemplacji zaprawia jednocześnie do pełnego mobilizowania się w określonym celu, z wykluczeniem wszelkiej przypadkowości. Odbywający rozmyślenia ma np. „przeżyć” życie Chrystusa, przez odwołanie się doń nie tylko intelektualnie, lecz także czuciowo: ma widzieć postacie, słyszeć ich słowa, dotykać przedmiotów, oddychać boskością i smakować ją, tak aby wyimaginowana według ściślejszego rytuału scena oładnęła całą jego osobowością.

Ten sposób pracy nad sobą pozwala osiągnąć całkowite zaangażowanie w działanie, a kluczowe hasło Towarzystwa: „Dla większej

chwały Boga” wyraźnie nabiera swojej jezuickiej tożsamości. Odnajdujemy tu stałe dążenie do poznawania i rozpoznawania, obsesyjne wręcz pragnienie, by znaleźć „więcej”, by podjąć ryzyko innowacji. Poprzedni generał zakonu, Pedro Arrupe, który sprawował swą funkcję przez 18 lat, kochany i szanowany, przychylny wszelkim projektom i wszelkim dyskusjom, lubił powtarzać, że „Ćwiczenia” są „antidotum na szok przyszłości” i „środkiem pobudzającym”. Długo zastanawiano się, na czym polega „sekrety” jezuitów, przypisując go najczęściej ich kształconemu umysłowi. W rzeczywistości sekret ten kryje się raczej po stronie „Ćwiczeń”, w których zawarty jest tak olbrzymi potencjał modelowania osobowości.

Laszlo Ladany, jezuita, który przez 30 lat pobytu w Hongkongu co noc rejestrował audycje radia chińskiego, aby zbierać informacje o tym izolowanym kontynencie, używa określenia „jezuicki niepokój” — niepokój pobudzający do działania, do badania, nie dający chwili wytchnienia. Nie ma mowy, aby sprawa kończyła się jednym nabożeństwem i trzema aktami pokutnymi. Jak mówił Ignacy Loyola: „Jezu, idź naprzód, chwala Boga jest ciągle coraz dalej”. To wymagane było w sobie pewne niebezpieczeństwo. Każdy mógłby rzucić się w wir zachwanych eksperymentów, na którymkolwiek krańcu świata, w absolutnej spontaniczności i anarchii. Jednakże sprawie kształtowania właściwego osądu służą obowiązkowe studia.

Jak na bractwo religijne są one wyjątkowo długie. Najpierw dwa lata nowicjatu, a w tym czasie „staże” — miesiąc w szpitalu, miesiąc w fabryce, itp. — rekolekcje, „Ćwiczenia”, ciche i ściśle uregulowane życie duchowe w domu nowicjuszy. Po tych dwóch latach kandydat składa śluby, które nie wiążą go jeszcze definitywnie z zakonem: obietnicę zachowania ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Na tym etapie nowicjusz zostaje koadiutorem (scholastykiem) — jezuita studiującym. Zdobywa wykształcenie teologiczne i filozoficzne, które obejmuje m.in. studia nad Heglem, Marksem, Heideggerem, Sartrem i całym zespołem nauk humanistycznych. Zależnie od indywidualnych uzdolnień koadiutor uzyskuje tytuł naukowy pierwszego lub drugiego stopnia. W tym czasie również otrzymuje święcenia kapłańskie. Gdy skończy się lata studiów, a jest ich minimum dwanaście, koadiutorowi wolno już złożyć ostateczne śluby i wówczas wchodzi do grona „ojców”.

Obecnie jest na świecie 25 952 jezuitów, w tym 10 034 kapłanów, 3 571 braci i 3 347 studentów. Jest to mniej niż przed dwudziestoma laty. W 1964 roku Towarzystwo liczyło 35 968 członków, lecz dziesięciolecie 1965—1975 było okresem kryzysu, nie tylko zresztą dla jezuitów, ale również dla całego Kościoła. Był to kryzys w naborze, lecz przede wszystkim kryzys wewnętrzny, który spowodował liczne wystąpienia z zakonu. W 1975 r. każdego tygodnia notowano około 20 wystąpień z Towarzystwa, natomiast tylko 6 zgłoszeń powołania, które napływały głównie z Azji, Ameryki Południowej i Środkowej. W tym okresie we Francji np. nie było praktycznie w ogóle zgłoszeń do nowicjatu, podczas gdy 10 lat wcześniej ich liczba przekraczała 25 osób rocznie. Wicher powszechnej kontestacji nie oszczędził Towarzystwa Jezusowego. Buntowano się przeciw zakazowi porusza-

nie sprawy ubóstwa wiary. Postulowano zmianę ślubu czystości.

Od 1981 roku rysuje się pewna poprawa, wzrosła nieco liczba zgłoszeń powołania. Jednakże ciężkie strasy zadaje Towarzystwu wyzka liczba zgonów (429 w 1982 roku i 193 w czterech pierwszych miesiącach 1983 r.), spowodowane ogólnym starzeniem się składu osobowego zakonu, zwłaszcza w Europie. 42 proc. jezuitów we Francji przekroczyło 65 rok życia, natomiast nowe pokolenie reprezentowane jest przez 75 młodych adeptów. Na sprawę naboru rzutuje nie tylko kryzys w społeczeństwie. Wchodzi tu w grę również względy demograficzne. W pierwszej połowie ostatniego stulecia powszechnym zjawiskiem były wielodzietne rodziny, których synowie często trafiali na służbę Kościoła. Jezuici-jedynacy są zupełnym wyjątkiem. Obecnie wielodzietne rodziny spotyka się na drugim krańcu świata. W Indiach na ogólną liczbę 2 843 jezuitów jest 866 koadiutorów, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych na 5 275 członków zakonu przypada tylko 603 studium.

Obecny w 111 krajach pięciu kontynentów zakon dzieli się na asystencje, prowincje i wiceprowincje. Siłą tradycji historycznej jedna prowincja może grupować liczne narody. Prowincja mianowana jest przez generała na trzy lata, z możliwością jednorazowego powtórzenia nominacji. Wielkim nieobecny na liście zakonu jest Związek Radziecki.

Czy Ignacy Loyola przewidywał tę zdumiewającą ekspansję? Biorąc pod uwagę aparat, w jaki wyposażył Towarzystwo Jezusowe, można przypuszczać, że spodziewał się jej. Stworzył bowiem model jedyny w swoim rodzaju, centralnie sterowaną międzynarodówkę, której nieudolne kopie polityczne pojawiły się w XX wieku. Analogia z partią polityczną kończy się jednak na tym, że niektóre partie także wydają się wymagać od swych mas posłuszeństwa i ubóstwa, a niekiedy nawet czystości, lub przynajmniej zaniechania prokreacji. Towarzystwo ma generała, który sprawuje władzę bez czolgów i rakiet. On sam też musi być posłuszny. Ma pod ręką małą książeczkę — „Ćwiczenia” i zmusza swych podwładnych do dwunastoletniej nauki, co niektórzy specjaliści od zagadnień władzy politycznej uważaliby za najpewniejszy sposób na wpędzenie się w kłopoty. Zdarzali się „czarni papież”, którzy nie mieli w sobie nic z aniołów, ale ich depozytowi, nawet odczuwanemu boleśnie, nie towarzyszyły miliony ofiar śmiertelnych, Polak, Włodzimierz Ledóchowski, wybrany generałem w 1915 roku, żelazną ręką tepił „modernizm” we wszystkich zakątkach Towarzystwa. Pedro Arrupe raczej pobudzał do nowoczesności: 32 Kongregacja z jego inicjatywą stała się zgrupowaniem „stanów generalnych” Towarzystwa, podczas którego każdy dorzucał własną cegiełkę do listy postulatów. Arrupe zażądał też czterech dodatkowych asystentów generalnych, wybranych, jak on sam, przez Kongregację, „aby służyli mu pomocą i radą”.

Generał zakonu według statutu sprawuje rządę wraz z dwunastoma asystentami regionalnymi, których mianuje po konsultacji ze swymi czterema asystentami generalnymi oraz prowincjalami z odpowiednich regionów. Za czasów Pedro Arrupe członkowie tej ekipy reprezentowali trzynastę różnych narodowości. Jest jeszcze piętnaście biur i sekretariatów, a cała ta machina swym ciężarem tworzy biurokrację, którą Arrupe starał się korygować niestrudzone odwiedzaniem nawet najbardziej oddalonych prowincji. Dotknęty ciężką chorobą w sierpniu 1982 r. Arrupe mianował wikariuszem generalnym Vincenta O'Keefe. Dwa miesiące później Jan Paweł II, przekreślając tę decyzję, narzucił swych własnych przedstawicieli do kierowania zakonem, „z pominięciem normalnych praw rządzących w Towarzystwie”. Jezuici ugięli się, ale nie bez szemrania.

C.d.n.
[„L'EXPRESS”]



W kręgu fantastyki

Wdrapałem się na pokład spacerowy i z zadowoleniem stwierdziłem, że jeden z leżaków jest pusty. Jeszcze podchodząc przyglądałem mu się z uwagą, szukając czyjejsi książki, szala, jednego z drobniaków, którym zajmuje się miejsce, ale nie takiego nie dostrzegłem. Obok spoczywał lisy osobnik z gęstą czarną brodą. Zui nie zapalone cygareto i zaszczyt mnie jedynym pobieżnym spojrzeniem z rozłożoną płachtą gazety. Z ulgą rozprostowałem kości gdyż podróż koleją, a potem szaleńcza jazda taksówką, przy tym upale, zdrowo mnie wykończyły. Jak zwykle w chwili odejścia z portu, na statku panował ruch i krzątanina. Stojący na nadbrzeżu żegnali się z przyjaciółmi i krewnymi, bagażowi roznosili walizy i bukiety kwiatów, a głosniki ściszyły ciche melodie. Na szczęście, wraz z rytmicznym gwizdem syren, przybył znad morza lekki, słony wiatr. Dobiegły mnie jeszcze ostatnie okrzyki pożegnań i po chwili pokład zapelniał się ludźmi. Gadałi, paplali, mruzczeni i szczeniotali, nie dając mi nawet szansy na uchwycenie sensu, którejkolwiek z rozmów. Słychać było tylko miarową wibrację dźwięków. Zdesperowany przykryłem twarz tygodnikiem i spróbowałem zasnąć. Głóg na obiad był ostatnią rzecz, którą usłyszałem przed snem.

Ktoś mnie potrząsał za ramię, delikatnie lecz stanowczo. Otworzyłem oko, w pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem.

— Jest już wpół do siódmej, proszę pana — usłyszałem cichy szept — Za pół godziny kolacja.

Człowiek, który to mówił uśmiechnął się i zniknął w cieniu nadbudówki. Odruchowo śledziłem jeszcze przez moment biel jego uniformu, a potem usiadłem. Na pokładzie wszystkie leżaki były poskładane i przypięte pasami. Musiałem spać kilka godzin gdyż niebo zachmurzyło się, łącząc swą powierzchnię z tonią morza. Z lekkim zamętem w głowie wstałem i przypominając sobie numer kajuty, zszedłem po schodkach noganiany chłodnym wiatrem. Dość długo wałęsałem się po korytarzu, aż diabeł nie mogąc znaleźć swojej kłitki. Niestety, nie stać mnie było na pierwszą klasę.

Zgęstniałe i mdłe powietrze przypominało że nie włączyłem w południe wentylator. Naprawiłem swój błąd i poszedłem się wykąpać. Gdy wróciłem, wycierając tors ręcznikiem na zewnątrz brakowało dziesięciu minut do siódmej. Wentylator łomotał, jak obłąkany motyl, ale wolałem to niż zaduch.

W łuzisku na korytarzu upewniłem się, że wyglądam całkiem dobrze. Czarne bawełniane spodnie, czarna koszula z białymi lamówkami pachnąca jeszcze sklepem, bezowocne buciki i miętuska skórzana kurtka niby drobniak, ale genialnie pasowała do reszty. Podnieiony na duchu pomazzerowałem dalej nie przyznając się, jak zwykle przed sobą, że duża radość sprawiała mi spojrzenia kobiet bez względu na to czy mają lat piętnaście czy osiemdziesiąt. Gdy minąłem zakręt ciągle pustego korytarza, ktoś za mną otworzył drzwi. Sam nie wiem dlaczego, przystanąłem i delikatnie odchyliłem głowę do tyłu. Jeśli kiedykolwiek nie wiedziałem, jak wygląda aktorka, która zlaniała sobie karierę przez obżarstwo, to tym razem miałem okazję wręcz laboratoryjną. Blondynka długie sztuczne rzęsy, przesadny makijaż i lekko chybotały krok. Wyglądała jak duża lalka w tandetnym guście. Już miałem iść dalej, gdy usłyszałem, jak zwraca się do kogoś w kajucie.

— Martin, pospiesz się, — miała szorstki, przepity głos — Idź pierwszy. Wiesz jak nie lubię psów. Może jakieś gówno tu się peta i jeszcze będą nusiła go kopać.

Uśmiechnąłem się złośliwie, gdyż nie mogłem przepuścić takiej okazji. Zresztą facet do którego mówiła, nie mógł być groźny, jeżeli taki maszynkaron mógł mu rozkazywać. Przycupnąłem, zawarczałem i zaszczykałem głośno, będąc asystowany załomem ściany. Sądziłem że nawet bernardyn by się mnie nie powstydzili. Wstałem i tłumiąc śmiech pokłusowałem na wyższy poziom, słysząc z tyłu histeryczne wrzaski babzyszy.

Poprawiając mankiety wszedłem na salę równo z gongiem.

Nie byłem głodny, ale pragnąłem widoku ludzi, gdyż podróż zawsze nastrojała mnie nostalgicznie. Wszyscy siedzieli już przy swoich małych stolikach i cicho rozmawiali. Objąłem ich szybkim spojrzeniem, ale żadna twarz nie wywołała jakiegoś skojarzenia, bądź zaciekawienia. Odpoczywali, rozmawiali, spokojni i nijacy; ludzie bezpieczni. Nawet moja osoba nie wywołała wrażenia, najmniejszego spojrzenia. Kobiety były takie, że mogłoby ich nie być. Kelner przyniósł mi je-

ANDRZEJ DRZEWIŃSKI

Intryga

dzienie. Spróbowałem jeden kęs. Było niezłe, tylko sałaty, jak na mój gust było za mało. Obok ktoś przesunął krzesła. Drgnąłem. Mój współtowarzysz wyglądał na zwykłego turystę i zaraz zabrał się do wędlin. Na wszelki wypadek schylnąłem z dużego półmiska na talerz swoją część. Z tyłu na podium dla orkiestry ktoś grał na fortepianie. Figlarne frazy skakały z miejsca na miejsce stanowiąc swoisty podkład dla ludzkich głosów. Lekko zgorzany stwierdziłem, że sufit pokrywa niebieskie ma-

rozwinętej cywilizacji, że nigdy nawet części tego, co umiemy nie pojmiecie. Ale macie szczęście, gnidy, że wasz poziom rozwoju przekroczył pierwszy próg intelektualny, gdyż w przeciwnym razie nie cackalibyśmy się z wami. Jeśli się zastanawiacie, czy to, co mówimy nie jest żartem jakiejś waszej kretyńskiej stacji radiowej bądź telewizyjnej, jak to jest w ich zwyczajach, to przelączcie się na inne pasma. Tam jest to samo. No...

Rozkazujący ton sprawił, że

ktos bliżej śledzący przeleciał palcem po klawiaturze kanałów. Wszędzie przelewała się obrzydliwa, zgłnia bryła chrząpki w różnych językach.

— Przekonałście się, to do brze. Jak nie, to na koniec damy wam ostateczny dowód A teraz, do rzeczy! Poddamy was testowi, który zdecydowanie waszym przysłaż losie. Jeśli go zdacie, to odlemy z tej planety która jest tak piękna, że nie zasługujecie, aby żyć na niej. Ale nie obawiacie się, jeśli kinolowcy zdanie testu uczyni was bezpiecznymi. Lecz, gdy



Rys. Krzysztof Wieczorek

widło mające przedstawiać ugwieżdzone niebo. Po przesadnie wyeksponowanej smudze Mlecznej Drogi płynęły znaki zodiaku: gruba Panna, zezowaty Strzelec i niesamowicie powykrecone Bliźnięta. W zapatrzeniu o mało nie zapomniałem o placku z wiśniami, który podstawił usłużny kelner.

Wtem usłyszałem szmer przechodzący w głośny hałas. Jego źródło zbliżało się do śródka sali. Była nim owa okropna blondynka.

— Chodźcie szybko. Tam w telewizorze jest jakieś drństwo — krzyczała. — Szybko! To nam grozi, i mówi, że wszyscy mamy go wysłuchać.

Ludzie zbrali się wokół, niektórzy się śmiali, inni byli przestraszeni. Zaciekawiony, za przykładem moich sąsiadów, szybko przyleciałem ostatnie kęsy, obserwując rosnące w oczach zbiorowisko. Już po chwili ruszyło ono do sali telewizyjnej. Widząc, że zostaje sam podreptałem za nimi, po drodze zjadając jeszcze deser.

Gdy przekroczyłem próg, w pierwszej chwili nie wiedziałem co się dzieje. Dopiero po kilku sekundach uzmysłowilem sobie przyczynę. W sali, gdzie siedziało ponad dwieście osób, panowała kameralna cisza. Wszyscy bez względu na to, czy stali, czy siedzieli w nabożnym skupieniu wpatrywali się w telewizor, którego jasny ekran stanowił jedyne źródło światła. Twarze śledzących nabrały w nim gipsowej tonacji. Nagle, idealnie biały dotąd prostokąt zmienił barwę na zgniozdzioną.

Z osupieniem stwierdziłem, że kamera pokazuje jakąś olbrzymią, przelewającą się masę. Temu spostrzeżeniu zawróciły słowa sądząc po barwie dźwięku dobiegające z automatu.

— Uwazamy, że już więkkość z was słucha, bądź ogląda nas teraz. To wystarczy, gdyż reszta dowie się tego od was. Wy znikli! Jesteśmy przedstawicielami tak wysce-

go oblecicie, to bieda wam! Usunieci was. Po prostu zdefunkcyjujemy glob od tak cudacznych istot. Wy śsak! — tu głos na moment urwał, jakby dla podkreślenia ostatniej uwagi.

— Test polega na tym, że musicie znaleźć jednego z nas, gdyż dziesięciu moich współpracowników opowiada psychikę dziesięciu Ziemiaków i postugując się ich ciałami starają się nasładować wasz styl życia. Zamiany dokonaliśmy już kilka godzin temu i jak na razie, żaden z nich nie wzbudził waszego podejrzania, wy trzęsadia. Są oni rozrzucony po całej planecie zgodnie z pewną funkcją rozkładu, która zapewnia najlepszą przydatność. Macie czterdzieści osiem godzin od końca tego komunikatu na odnalezienie chociaż jednego z nich. Gdy go unieszkodliwicie, to wtedy test uznamy za zdany, wy gnypy.

Na koniec upewniamy was jeszcze, że wszystko to nie jest żartem. Ci, którzy są po nocnej stronie globu będą mogli urządzić za pięć minut zjawisko, które nie może mieć naturalnego pochodzenia. Zabarwimy ówiarke Księżyca na zielono. Idźcie to zobaczyć, wy niedowiaraki. A później szukajcie naszej dziesiątki, gdyż biada, gdy ich nie znajdziecie. Pamiętajcie, to może być każdy z was! — głos zamilkł, a na ekranie pojawił się obraz naszego globu filmowanego z dużej odległości.

Zawisła wśród nas upiorna, niczym nie porywiona pustka, aby zamienić się zaraz w chaos dźwięków. Ktoś śmiał się idiotycznie, ale, o ile dostrzegłem, dostał po głbie i krztusząc się zamilkł. Ludzie potracali mnie biegnąc, ktoś walił pięścią w telewizor a człowiek w mundurze, który wbiegł z okrzykiem: „... w radiu było to samo” jeszcze bardziej zwiąkszył rozgardasz. Każdy chciał coś powiedzieć, bądź zrobić i dopiero po chwili wpadli na pomysł, że należy iść obejrzeć

Księżyca. Wybiegając, pociągnęły mnie za sobą, z siłą której nie mogłem się oprzeć. Ale gdzie ja tam chciałem się opierać? Jak wariat biegłem na górę, aby nie przegapić tego gigantycznego happeningu, gdyż nie wątpię, że ów nastąpi. Ktoś musiał wyłączyć, bądź uszkodzić oświetlenie pokładu i po omacku dotarłem do burty. Zardłem głowę mocno zaklinowany w ciżbie ludzkiej.

Nigdy nie widziałem takiego nieba jak tej nocy. Wręcz namacalnie odczuwałem zawieszanie wśród tej niewyobraźnej mnogości gwiazd, gdzie z dalekiej pustki były strugi srebrnego światła, a wśród nich, po popielatym niebie, sunął biały krąg Księżyca. Szczyty kominów i nadbudówek migotały w jego świetle, tracąc swoje kontury, zdając się jakby zawisnąć i płynąć nad nami, lecz bez naszego udziału. Nad stoczonymi ludźmi wyla się para oddechów. Raptem wszyscy westchnęli. Oderwałem wzrok od czerni morza i równie głośno sapnąłem. Część Księżyca nabrała złowistego i nienaturalnego koloru. Jego głębia rosła wręcz w oczach, aby nabrać odcienia świeżego ogórka. Miała kształt idealnej ćwiartki okręgu.

Sprawa była jasna. Przybyłszy do Kosmosu mieli, wedle jednych przynieść pokój wedle innych zagładę, zaś dla pesymistów miało ich w ogóle nie być. A tu takie coś! Zostaniemy poddani testowi, który rozliczy nas z własnej inteligencji. Wtórując moim myślom, ktoś zapisał:

— Chca dezynfekować, rozumiecie! Jesteśmy robactwem, brudnym robactwem. Ach wy! — ryknął nie wiadomo do nas czy do nich. — I nadszedł dzień, kiedy Pan miał nas dość — głos wznosił się na niedostępną mi szczytę elokwencji.

— Pacem in Terris, wolałobyś fajdacy! Usłysza nas i odejda. — Morda w kubel! — zawyło coś koło mnie i w stronę niedozlego kanzodziel poszybowała butelka.

Ktoś dostał, gdyż odezwały się przekleństwa.

— Połączcie mnie z moją ambasadą! — histeryzowała niedoszła aktorka i w niezrozumiałym gęście ekshibicjonizmu zerwała z głowy perukę, która poczęła okładać stojące wokół niej osoby. Na plecach wisiała mi chuda nastolatka i kopiąc po kostkach wrzeszczała, że mamy mnóstwo bomb, którym rozwalimy to paskudztwo. Gość wyglądający na hippisa wspiął się na daszek nad pomostem i zaczął tańczyć coś pokrewnego między tancem Sw. Wita a hulagula. Ale niedługo gdyż dziesięć sekund później w trzasku szkła oraz wrywkisk akrobata wyładowała w cichych głowach. Znowu przeleciała butelka, gdy ukazał się na pokładzie człowiek z megafonem. Nośił szlify kapitańskie.

— Proszę się uspokoić, mów do państwa kapitan statku. Jak nie damy się ponieść nerwom, to wszystko będzie w porządku.

Jego pewny głos zdradzał, że już zdarzało mu się uspokajać rozwrzeszczaną halastę. Fakt ten jest że szamotanina ucichła, sycząc już było szum płynącej wody. Dopiero teraz uświadomiłem sobie rytmiczny ruch statku, w górę i w dół.

— Uwazam, że moim obowiązkiem jest przedstawienie pewnych faktów. Transmisja, która państwa tak wzburzyła, była nadawana na wszystkich, bez wyjątku pasmach radiowych i telewizyjnych.

— To już wlemy — krzyknął ktoś z tłumy, lecz kapitan ciągnął swoje.

— Obserwując przez lornetkę załóżmy Księżyca, że tak to nazwę, wygląda, iż to nie zanieczyszczenie atmosfery, lecz realne zabarwienie powierzchni naszego satelity. Poza tym, gdy wychodziłem, powróciła łączność radiowa i z pierwszych komunikatów wynikało, że na całej Ziemi zdarzyło się to samo. Teraz w eterze panuje tak kł chaos, że wygląda, iż każdy musi leżeć tylko na siebie. Słąd wynika jedno: kontakt z inną cywilizacją został nawiązany, jaki tam by on nie był. Musimy więc stanąć na wysokości zadania i wypełnić warunki, jakich się od nas wymaga. Pokażemy, że ludzkość należy wymawiać przez duże L! — zakończył pompatycznie.

— Pokażemy tej zielonej zgniozdzonie! — krzyknął garbaty facet z diamentową szpilką w krawacie i zaczął skandować.

— W mordę ich, w mordę ich... Znow podnosił się rejjwach.

— Spokojnie, tylko spokojnie — przypomniał nam kapitan. — Naukowcy z pewnością coś wymyślą. Nie dajmy się swarlować.

Statkiem zaczęło lekko rzucać na falach i mokry wiatr uderzał mnie raz za razem po plecach. Mimo to, niebo nadal było czyste, fatalnie wyglądała tarcza Księżyca.

— Rewizję zrobię. Dorwlemy zielonka.

Okrzyk podchwycyły inne głosy. Ich właściciele wymachiwali rękoma i podskakiwali po lekko trzeszczącym pokładzie. Kapitan jakby się cofnął.

— Nie proszę państwa. Nie jesteśmy do tego uprawnieni. Nie wolno!

Zagłuszył go.

— Najpierw jego. Sprawdzimy kolor jego tyłka — wyla nastolatka, znowu kopiąc mnie po golemiach.

W tym momencie kapitan mnie zdziwił.

— Nie! Nie zgadzam się! — krzyknął rozpaczywie i próbował uciec do śródka, ale ciżba zastąpiła mu drogę.

O dwóch dwóch towarzyszących mu marynarzy nawet nie zareagowało. Chwila zawieszania, kiedy spojrzenia dwóch setek osób krzyżowały się ze spojrzeniem kapłana i, jak na komendę, rzucili się na niego. Ryknął przykryty ludzkimi rękoma i już po chwili był bez uniformu. Tumult był taki, że przyciśnięty do barierki o mało przez nią nie przeokoiłkował. Lecz i tak łanuch, który wernął mi się w plecy, zrobił mi z pewnością sporego siniaka. Jeszcze słychać było trzask tratowanych leżaków, gdy rozniósł się okrzyk triumfu.

— To on! Patrzcie! — mówił gestykulując jeden z facetów trzymających kapłana.

Ten przestał się wyrwać i z głupkowatym uśmiechem tkwił w uchwycie czterech elegancko ubranych dżentelmenów. Był rozebrany do skarpet i damskich koronkowych majtek. One to zelektryzowały jego oprawców.

— To jest dowód, że jesteście zieloncem — powiedział kategorycznie najstarszy, któremu zwiślał w kieszonki rozbitny mokiel. — Nawet nie wiesz, jak się Ziemia ubiera, zaprzęcać jeden — dodał.

— Ludzie, ja po prostu lubię chodzić w damskiej bieliznie — wyszeptał kapitan na tyle głośno, że każdy mógł go usłyszeć.

— Za burę parcha! — wyla tłuszcza — Niech się pomocz.

Oprawcy wlekli nieszczęśnika po pokładzie. Czepiał się ich nóg, prosił, zaklinał; na próżno. Korzystając, że skupił na sobie uwagę innych, ostrożnie przesunął się do tyłu, gdyż zacząłem sobie zdawać sprawę, co tu nastąpi. Przeskokczyłem kilka drewnianych ławek i przykucałem w ich cieniu. Załóżnie rozciągnięta w powietrzu sylwetka kapłana zatrzepotała jeszcze, ale już ciśnięta za burte, z jękiem poleciała w noc. Głośny plusk potwierdził oszukiwania wszystkich, ale nie poza tym. Żadnego bisku, głosu z góry: „O'k, dorwaliście nas”. Nic! Wszystko było, jak przedtem. Ludzie stali oszołomieni. Niektórzy spoglądali za burte, ktoś zaklął.

— Cholera, stąd do brzęgu kilkanaście mil. Nie dopłynię.

— Pięćdziesiąt mil — poprawił go marynarz.

Milczenia, które zapadło nie można opisać. Zdawało mi się, że słyszę, jak wszystkim wała serca. Pierwsza ocknęła się czwórka oprawców.

— On był w porządku, tylko zbrojeniec, ale co do reszty was, to niczego nie jesteśmy pewni.

Gdyby w środku wybuchł granat, lepszego efektu by nie wywołał. Część ludzi rozbiegła się po statku, inni do kabin, jeszcze inni podbiegli do tej czwórki i coś im klarując icrowolnie się negliżowali. Położyłem się na deskach i zacząłem czoięć się w kierunku drzwi, gdzie w świetle korytarza czwórka dokonywała przeglądu. Mogłem dostrzec, że w kącie pokładu zebrało się kilka osób i po krótkiej dyskusji zaczęły wyłamywać oparcia od leżaków, robiąc z tego podęczne paliki.

[Dokończenie w następnym numerze]

Kronika

W warszawskim klubie studentkim „Riviera-Remont” odbyło się pierwsze spotkanie, z planowanego cyklu poświęconego zagadnieniom teorii i krytyki literacko-filmowej science-fiction. W spotkaniu uczestniczyli redaktorzy i współpracownicy miesięcznika „Fantastyka”. Jak poinformował nas przedstawiciel organizatorów, Andrzej Polkowski, Klub „Riviera-Remont” zamierza w przyszłości rozszerzyć swą działalność również na środowiska pozastoięczne. Właśnie przed kilkoma tygodniami „Riviera” nawiązała współpracę z Łódzkim Klubem Fantastyki.

W dniach 9—11 grudnia odbędzie się w Łodzi ogólno-polskie seminarium filmowe pod „Od Mélièsa do Spielberga” czyli fantastyka na ekranie. Organizatorami imprezy są Łódzki Klub Fantastyki, Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. L. Schillera oraz Fabryka Dywanów „Dywilan”. W ramach seminarium, podczas trzech całonocnych imprez („W świecie potworów i cudownych wynalazków”, „W stronę Człowieka i „Kino SF jako rozrywka masowa”) zaprezentowanych zostanie kilkanaście filmów fantastycznych i fantastyczno-naukowych, w tym klasyczne obrazy, jak: „Metropolis”, „Ostatni brzeg”, czy „2001-Odyseja kosmiczna”. Projekcje poprzedzą będą wykłady i prelekcje pracowników naukowych PWSF Tytu oraz krytyków filmowych. Udział w seminarium zapowiedziały delegacje wszystkich klubów i stowarzyszeń miłośników fantastyki z całego kraju. Impreza ma charakter zamknięty.

Nowy klub science-fiction powstał w Opolu. Mieści się on przy Wojewódzkim Domu Kultury przy ul. Strzelców Bytomskich 8. Spotkania odbywają się w drodze i ostatnią środę miesiąca o godz. 18. Prezesem klubu jest kol. Agnieszka Makowska.

R. S.

Kosmostworki Andrzeja Biedrzyckiego



1 Zdarzenia i zwierzenia

Czterdziesta rocznica

Czterdzieści lat temu, w grudniu, do Warszawy dotarło zawiadomienie gestapo, że na zapalenie płuc zmarł w Oświęcimiu Edward Szymański.

Urodził się na Woli w rodzinie robotniczej. Najpierw uczęszczał do szkoły fabrycznej przy jednej z warszawskich przędzalni, potem uczył się w gimnazjum miejskim im. Emili Plater.

Po maturze rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. W roku 1928 wstąpił do PPS, w okresie studiów prowadził aktywną działalność literacką i społeczną. Jednocześnie pracował zawodowo, był urzędnikiem pocztowym i nauczycielem, drukarzem.

Poezje Szymańskiego drukowała przeważnie prasa lewicowa — zarówno komunistyczna „Lewar”, jak i pępczesowski „Robotnik”, czy jednolitofonowy „Dziennik Popularny”. W latach międzywojennych Edward Szymański opublikował pięć tomów, z których najwybitniejsze to „20 milionów” i „Słońce na szynach”.

Aresztowany w czerwcu 1943 roku trafia na Pawiak, skąd przewieziony zostaje do Oświęcimia. Stamtąd już nie wraca. Umiera lub zostaje zamordowany w grudniu 1943 r. Miał wówczas 36 lat.

Trzy lata później, już w wolnej Polsce, zostaje posmiętnie odznaczony Krzyżem Grunwaldu II klasy. Ale potem zapada wokół dorobku Edwarda Szymańskiego długie milczenie.

Sytuacja przeważnie paradoksalna: dorobek poety robotniczej Woli, proletariacka z kw. kosci., „dziesięć poety rewolucyjnej” — jak żartowano z niego w latach międzywojennych, otóż ten dorobek udoświadczony został czytelnikowi w całości dopiero po 26 latach istnienia Polskiej Ludowej.

Wydano co prawda w dziesięć lat po wojnie skromniutki wybór wierszy Szymańskiego, niemniej znaczna część spuścizny literackiej autora „Słońca na szynach” pozostała nieznana. Dlatego „Dzieła zebrane” pieczołowicie przygotowane w Wydawnictwie Literackim przez syna poety, Łukasza Szymańskiego i Ryszarda Matuszewskiego wypełniły dotkliwą lukę na mapie międzywojennej poezji rewolucyjnej.

Proletariacki rodowód, atmosfera rodzinnego domu i późniejsze kontakty z przedstawicielami lewicowej inteligencji warszawskiej ukształtowały ostatecznie osobowość poetycką Edwarda Szymańskiego. W przedmowie do wspomnianych „Dzieł zebranych” Ryszard Matuszewski słusznie zauważył, że spośród twórców proletariackich autor „Słońca na szynach” najśliszniej bodaj z tą klasą był związany pochodzeniem i rodzinnymi tradycjami.

Pisze Matuszewski: „Trudno nawet orzec, co było dlań pierwszym impulsem, gdy chwycił za pióro — zapal bojomuza robotniczej sprawy, której właśnie piórem mógł służyć najlepiej — czy to, co zowiącym określamy mianem poetyckiego powołania; wewnętrzna potrzeba wypowiedzenia się, której wielka idea zwyciężyła jedynie naczelny cel i kierunek”.

„W przypadku Szymańskiego problematyka proletariacka stanowiła częstą jego osobowość. Nie fascynowała go — jak wielu poetów — jedynie egzystencjalny temat. Nie musiał deklarować retorycznej sympatii dla trudów i walki robotnika” — pisze Bolesław Faron w swoim szkicu o poecie.

Edward Szymański nie przychodził do klasy robotniczej z zewnątrz. Nie pisał o „ludziach stamtąd”, lecz tkwił w tej klasie, organicznie był z nią związany przez swoją biografie i autentyczne rozumienie problemów społecznych.

Ani jedna walka, ani jedna potyczka, jakie wiodła w owych latach klasa robotnicza, nie były dla niego obce. Szymański, bez jego wiersza, Obok Władysława Broniewskiego jest jednym z najbardziej znaczących wśród polskich poetów rewolucyjnych.

Oczywiście twórczość taka mogła powstać tylko w tamtych czasach. Jest więc w pewnym sensie niepowtarzalna. Ale waga — a więc i dzisiaj — ukazuje odległe perspektywy. Nigdy nam bowiem nie zabraknie powodów do poprawienia świata. Czterdziesta rocznica śmierci Edwarda Szymańskiego skłania do jeszcze jednej refleksji nad mechanizmami kreowania wartości literackich. Twórczość i postać Szymańskiego były przemiłowane i lekceważone. Jeden z najwybitniejszych polskich historyków literatury wystawił mu w swoich „Dziejach literatury polskiej” degradującą cenzurkę.

Ale to nic nowego. Stan naszej współczesnej krytyki coraz częściej skłania odbiorców literatury do samodzielnego osądu dzieł piśmiennictwa. Nie będą więc — z okazji rocznicy śmierci poety — stawały go na cokole wyższym niż należy. Myślę jednak, że trzeba się upomnieć o pamięć pisarza, którego niepowtarzalność w naszej literaturze jest faktem ponad wszelką wątpliwość.

JERZY WILMAŃSKI

2 Przejście podziemne

Plaszcz — palatka

Ajent Mrówka jest w naszym świecie podziemnym jednym z ciekawych postaci. Można powiedzieć, że jest on — z powodu rozległych znajomości i dysponowania strategicznym towarem wymiarem — piwem mianowicie, znacznie lepszym niż powszechnie dostępne w handlu kwanse szczytny z miejscowego browaru. Mógłby być, nawet jeśli są bardziej domniemane niż rzeczywiste, plasując go wysoko w podziemnej hierarchii towarzyskiej — co więcej: jest miejsce na powierzchni też jest niepoślednie...

Mrówka — jako ważne ogniwo w podziemnym obiegu dóbr materialnych i usług — obok korzyści przeliczanych na złotówki tudzież waluty wymieniające powoli zdobywa sobie pozycję wzorca osobowego, arbitra i autorytetu. Jest to namacalne potwierdzenie tezy, że lepiej być bogatym i mądrym niż biednym i głupim, a także egzemplifikacją obiegowego poglądu, że w ślad za powodzeniem finansowym automatycznie przyrasta rozum taklemu beneficjentowi losu.

No i fakt. Mrówka wydosłonił, wyprzystojniał (jak twierdzą kobiety, co świadczyłoby o tym, że za foras nie tylko idzie rozum, ale i uroda...), wyprostował się i w ogóle nabrał pewnością siebie. A oprócz opon, akumulatorów, kawy, gumy do maszek, skarpetek, rekawiczek i rękawic można czasem u niego załapać się na dobrą radę lub w ogóle jakąś cenną życiową mądrość lub wskazówkę taktyczną, jeżeli ktoś tego towaru akurat potrzebuje.

A wszystko dzięki tej koncepcji na piwo... Rosnące zaangażowanie ajenta Mrówki w dziedzinie wymiany towarowej każe nam — to znaczy szmuklerowi Mareczkowi i mnie — przypuszczać, że spekulacji i drugiego obiegu towarów to państwo nasze ukochnie nie opanuje nigdy, jeżeli zda

się tylko na mechanizmy rynkowe, czyli tak biogospolawą i oczekiwaną (jak mogłoby się wydawać) obfitość towarów. Mrówkopodobni do tego nigdy nie dopuszczają... Już teraz mają kanibality pozwalające wykrywać im wszystko, cokolwiek by się nie pojawiło, w detalu i hurcie, w obfitości drażniących cwanicki honor. Tak, że raczej potrzebna będzie tego pała, wypalanie ogniem i żelazem... Tak sobie marzymy z Mareczkiem, o czym zresztą już kiedyś pisałem.

Ale tymczasem ajent Mrówka pęcznieje. I mało kto wie, że ogrom niedostatków wiedzy ogólnej Mrówki, niemal czarna dziura w jego ible (wyłączywszy sferę operacji towarowo-finansowych), uniemożliwiałby mu pełnienie roli autorytetu lokalnego, gdyby nie Mareczek i ja — zmobilizowani (przy pomocy tegoż piwa, najchętniej „Żywca” z rezerwy, nadterminowi, prywatni, tajni eksperci-konsultanci w dziedzinie objaśniania mechanizmów rządzących zachowaniami ludzkimi).

Właśnie nie dalej jak wczoraj Mrówka znów musiał sięgnąć do zapasów waluty, którą opłaca ekspertów (a nawet zapasy te poważnie nadweryżę... ale to już inna historia).

— Powiedziecie mi, chłopaki, jak to jest — przychodzi do mnie różne ludzie: i widzicie jak leci — towar za towar, z rączki do rączki, waluta fanty, złote, zielone, kawa, gatki, drwany, prakki, skóry, i to jest w porządku. Ale przylażą też różne mendy, dziady proszące, łachmyty jakkieś...

— No i co z tego? — A to, że każdy powołuje się na jakies zwierzta uklady, znajomości, kumpelstwo z powszechniaki, krajanstwo z wiochy pod Szadkiem, chociaż urodziłem się zupełnie gdzie indziej, na ciocie Zoche...

— Ciesz się Mrówko, masz dużo krewnych i znajomych. — Ale skąd, połowy tych petaków nigdy w życiu ra czy nie widziałem, ani o nich nie słyszałem. A wstarczył mi, że ja mam uszę im coś dać, załatwić bezinteresownie — bo ta ciocia, Szadek, wspólna ławka szkolna to wystarczające usprawiedliwienie, bym ich wszystkich kochał, szanował, żeby im tylko miodek smarował. Wytlumaczcie, skąd się to bierze — sprytni dramatycznie Mrówka, jednocześnie odkaslowując następcę butelki żywieckiego, jakby pojął ażoże widoczna w moim i Mareczki wzroku, blądziwym od dłuższej chwili w okolicach dolnego pojemnika w szafie chłodniczej.

Spojrzeliśmy z Mareczkiem na siebie, jakoby ustalając, które bierze na siebie ciężar kolejnej ekspertyzy.

— To zniechęca proste, Mrówko — odrzekliśmy jednocześnie. — Wszystkie bierze się z poczucia wyjątkowości, a nawet szczególnej wartości osobistej tych klientów.

— Co wy przypiecie, zbrabaki z poczuciem własnej wartości! — Mrówka, zaręczamy ci, że z podobymi paradoksalnymi zektnością w naszym przejściu podziemnym jeszcze nie raz. Każdy taki osobnik jest świetle przekonany, że sam fakt pobierania przez niego tnienu z powietrza i jednocześnie wzbogacania atmosfery i gleby jego szlachetnymi wydalninami, wystarczy do tego, by wszyscy wokół pomagali mu, ba, na rękach nosili. Dziesiątą się oni na różne grupy — weźmy na przykład tych, co pod plebaniami ustawiają się po paczki. Ci swe moralne kwalifikacje do wyeliminowania lapy czerpią z mnieman, że oddychają i wydają ją przeciw. U nich ten gnojek, co Metowej na drzwiach kabiny numer pięć wypisuje słowa powszechnie uznane za i hasła podburzające do, robi za bohatera. Z kole i twój klient swa zebrać się czerpią z tak zwanego swojactwa albo — jak wolisz — swojochojizmu. Jesteś nasz człowiek i nie ma rady, ani wykrętów — musisz dać...

Dalsze wywody przerwał nam oblesny facecik, który rzucił się na Mrówkę, rypiąc go po plecach i wykrzykując: — Pamiętasz, byku stary, jak w pięćdziesiątym dziewiątym na poligonie żeśmy obadwa trzy noce spalili moją plaszcz-palatka, bo żeś swoją, oferno batalionowa, gdzieś zachachnęł!

Zostawiliśmy kumpła z wojska. Wzieliśmy tylko po jednej flasce żywieckiego na później. Przygrzeźmy sobie u Metowej na kaloryferku, bo zdaje się, że na gorze już zima.

I. ROTACYJNY

3 Nagle zastępstwo

Głowa pęka

Wstałem rano. Zaplanowany rozkład dnia co do minuty. Najpierw sięgnąć po mleko za drzwiami. Puste butelki. Roznosić nawałi. Biegniemy szybko do pobliskiego sklepu po nabiał, pieczywo. W sklepie kolejka. Czekać cierpliwie. Cztery ekspedientki. Jedna dowozi towar, druga układa, a trzecia akurat w tym czasie zjada sobie śniadanie. A co, może nie wolno? Każdemu wolno. My natomiast nie mamy czasu na przygotowanie śniadania dzieciom przed wyprawieniem do szkoły, przedszkola czy żłobka.

Władamy zlaniami do pracy. Przenaszamy kierownika za szubienicę z rączką ogrodniczych narzędzi. Nie rozpoznałmy jeszcze pracy, a już jesteśmy poddenerwowani, co z kolei odbija się na naszych potentach. Samo życie.

Wybieramy się do urzędu załatwić jakiś tam sprawa. Pukamy do drzwi: — Proszę chwileczkę zaczekać — zjemy śniadanko — popracujemy.

Czekamy cierpliwie na korytarzu, dziesięć, dwadzieścia minut. Nic. Pomownie pukamy do drzwi. Wchodzimy.

— A to pan jeszcze czeka? — zdziwienie. — Czego pan sobie życzy?

— Ja w sprawie... — To nie do nas — do koleżanki spora przed chwilą wyszła. Wroci zaraz — proszę zaczekać.

Wracamy zniechęceni, oprzytomieni do domu. Jakis tam pieszony w szarym awanturnie z motocyklem trawajuł. Tramwaj staje. Facet nie chce opuścić siedzącego miejsca, wysiada z tramwaju. Ludzie się denerwują, przestępują z nogi na nogę. Czekała. A wankura wisi w powietrzu. Nie pomazała protesty pasażerów, motocyklisty. Nie wysiada. Motocyklisty sprowadza do pomocy dwóch kontrolerów.

Innym razem wsiada do tramwaju grupka rozbawionych młodzieńców w towarzystwie uroczystych panienki. Zaczynają się wyśmiewać. Te „dzienne” z wóskami przytwarza na wówoły, naśladując szkiełkami. Jedna i pan nie wytrzymuje nerwowo.

— Tuż powadził panowie, a zachowują się jak dzieci. — Co się pani nie podobu — proszę leżać zaszokowa.

— A komu to może się podobu? — padała inne zdanie. — Widzicie, jakie mądrale leżą tramwajami, nie im się nie podobu. Nie mają poczucia humoru. Zaczaj tam Mirek do rymu.

Ludzie, trzeba mieć chociaż drobne kultury, obycia. Mamy skierowanie do chirurga. Przechodnia specjalistyczna. Stajemy przy okienku z napisem: „Rejestracja”. Kolejka nie postawia się do przodu ani na krok. Panienska z rejestracji zadawoła i usmiechnięta wkłada historie chorow z dnia poprzedniego do kartoteki ogólnej. Pacjenci cierpliwie oczekują na zakończenie.

— Czy nie może pan wykonywać te roboty w innym czasie? — Pan nie będzie akurat mnie pozował, co właściwie mam robić — pada odpowiedź z ust młodej osobki w białym kitlu.

— Można w takim razie widzieć się z waszą przełożoną? — Można, o ile ja pan znajdzie i tak niewiele pomoże.

— Nie znajduję. Pomownie ustawiam się w kolejce. Czekać razem z innymi kalekami ludzimi okulałch. Co to w ogóle obchodzi panienkę z okienka. Pacjentki — zło konieczne. Niech sobie czekała aż ją ukoże karta chorobowa.

Raptem rozleźli nas zap. Udałmy się do najbliższej przychodni. Przecież zostaliśmy w drodze wyjątku jako przypadek naszy. Na zapis do normalnego leczenia zębów trzeba oczekiwać przez kilka miesięcy. Stomatologia. Waskie gardło. Gabinet tuż obok stół opusty od kwietnia br. Z pełnym wyposażeniem oczekuje na stomatologów. Rozmawiamy z kierowniczką.

— Wie pan — trudności kadrowe w służbie zdrowia i nas nie ominie. Staramy się, szukamy stomatologów, pediatrów — nadaremnie.

— Czy jest pan pewien, że wszystkie środki zostały wyzyc-

pane, przecież te same sprawy ciama się od przeszło roku, a żadnej poprawy na lenie nie widać — wręcz przeciwnie. — Rzeczywiście — ma pan po niekadzie racie. Planów rozbudowy przychodni mamy już gotowe. Szukamy wykonawcy. Ludzi coraz więcej przybywa na osiedle, a przychodnie dosłownie pęka w szwach.

— Jakże pan widzi wobec tego radykalne rozwiązanie problemu? — Gabinetu stomatologicznego nie trzeba rozbudowywać — stoi pusty bez obsady od wielu miesięcy. Czy nadal tak będzie?

Nie otrzymałem konkretnej odpowiedzi na moje konkretne pytania. Niestety, tak jest ze wszystkim, bodaj z najmniejszą sprawą do załatwienia, a życie ucieska. Płynnie utartym szlakiem, zwracając niemożliwość, obojętności, niekiedy wręcz indolencji w rozwiązywaniu najprostszyc problemów, spraw związanych na stałe z naszym codziennym życiem. Stajemy się bezradni.

Powwyższe fakty, zdarzenia nie zostały wzmiankowane, wysłane z balca. Miały i mają miejsce wszędzie gdzie tylko się ruszymy, bacznie obserwując życie na goraco. Bywa i tak, że nieraz człowiekowi ręce opadają, głowa pęka.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

4 Sport

Pretensje i zale

Gazety oraz pisma sportowe obszernie poinformowały o konferencji prasowej, jaka odbyła się w PZPN. Organizowanie konferencji prasowych nie jest u nas czymś nadzwyczajnym, a raczej praktyką stałą. Niektórzy moi znajomi twierdzą nawet, że bardzo lubią czytać sprawozdania z konferencji prasowych organizowanych przez ministra Jerzego Urbana dla zagranicznych dziennikarzy, bo zawsze z tego można dowiedzieć się o czymś ciekawym. Moi znajomi zgłaszają mi nawet zastrzeżenia, że polscy dziennikarze nie są tak dociekliwi, jak zagraniczni i przez to jakby gorzej poinformowani. Odpowiadam im, że nie do mnie te pretensje.

Ze sprawozdań z konferencji prasowej w PZPN dowiedziałam się — ku swojej uciechu — że przez Włodzimierza Reczek jakby się pokajał za dość rzadkie organizowanie do tej pory konferencji prasowych, ale zaraz potem zgłosił pod adresem dziennikarzy pretensje, że na łamach prasy ukazywały się publikacje „momentami zbyt jednostronne”, które zawierały „tendencyjne przedstawianie złożonych problemów”.

Uciecha moja wzięła się stąd, że przez Włodzimierza Reczek najpierw przyznał się do tego, że raczej obwiniał dziennikarzy za to, że nie posiadają tych informacji, tendencji i jednostronnie przedstawiali złożone problemy. To wygląda tak, jakby ktoś zakręcił wszystkie krany w łamkach w całym bloku, a następnie miał zał do jego mieszkańców, że chodzą brudni, a w najgorszym razie niedokładnie umyeli.

Wszakół przez Włodzimierza Reczek zapewnił, że od tej pory konferencje „odbywał się już będą cyklicznie” — jak to napisał katowicki „Sport”. Czy ja w to wierzę? Raczej wątpię. Ale najlepszym sprawdzianem wszelkich teorii jest praktyka i ona pokaże, czy przez PZPN rzuca słowa na wiatr, czy nie.

„Przegląd Sportowy” nie czekał na zwolnienie konferencji prasowej i zaprosił do redakcji 4 trenerów: Antoniego Piech-

niczka (reprezentacja), Waldemara Obrebskiego (reprezentacja olimpijska), Wojciecha Łazarkę (Lech Poznań) i Władysława Zmudę (Widzew Łódź). Jest to ze wszelkich miar słuszna metoda. Nie czekać, tylko samemu szukać informacji. „PS” nie ukrywa przecież, że — jak pisze — „ostatnio kontakty prasy z PZPN zostały jakby zamrożone i to nie z winy dziennikarzy”. „PS” rozumie, że szefowie różnych związków i instytucji nie lubią jak się o nich, o związkach i instytucjach pisze źle. Dlatego, między innymi, PZPN nie zaprosił dziennikarzy na ostatnią naradę trenerów, a nie było to — jak pisze tenże „PS” — „wcale gładkie spotkanie, wręcz przeciwnie, bardzo kontrowersyjne”. No i po co ludzie mają wiedzieć, że PZPN nie tylko nie ma sukcesów, ale jeszcze wśród trenerów występuje różnica poglądów i nie wszyscy pochlebnie wyrażają się o zarządzaniu oraz działaczach? Lepiej, jak nie będą wiedzieli lub gubili się w plotkach i domysłach.

Na tym spotkaniu głosowano na przykład nad sprawą wyjazdu reprezentacji z Antonim Piechniczkiem do Indii. Trenerzy klubowi są temu przeciwni, a to z prostego powodu — taki wyjazd reprezentantów robiłaby im cykl zimowego szkolenia zawodników. Sprawę komplikuje jeszcze fakt, że reprezentacja olimpijska nie pojedzie do USA, gdyż stamtąd przyszła odmowa. Można to było przecież przewidzieć, widząc co się na świecie dzieje, a polityka, wszak zawsze wpływała na kontakty sportowe, na co licne przykłady powinny być dla nas znane. Teraz szuka się gwałtownie partnerów do zimowych treningów dla kadry olimpijskiej i jeśli się ich nie znajdzie — co jest zupełnie możliwe — to wówczas część olimpijczyków zabierze się z Antonim Piechniczkiem do Indii. Sam trener reprezentacji wykrzyknął w czasie dyskusji w „PS”, „Pamiętam, ja nie jestem żaden turysta” — dając tym samym do zrozumienia, że również nie jest zbyt entuzjastą wyjazdu do Indii.

Na konferencji prasowej w PZPN Antoni Piechniczek zaczął swoje wystąpienie od sprostowania cytowanego stwierdzenia: — „Był to błąd miedziany, ale na pewno nie stracony”. Nie stracony w tym sensie, że — zdaniem A. Piechniczka — nie popełniono żadnych kadrowych nieporozumień. Gorzej natomiast układała się współpraca reprezentacji z klubami. Narzekali na to w czasie dyskusji w „PS” zarówno Włodzisław Zmuda, Ciągle zabieranie zawodników narusza system szkolenia i treningów w klubach. Antoni Piechniczek ze swej strony narzekał na ciągłe zmiany trenerów w klubach, co źle odbija się na jego współpracy z klubami, a także na rozwoju niektórych zawodników. Każdy trener ma inną koncepcję, a zawodnik cofa się w rozwoju. Czyli trenerzy szczerze sobie pogadali.

Jak będzie dalej z polską piłką nożną — zobaczymy. Już dziś można powiedzieć, że nie będzie dobrze, jeśli nie stworzy się systemu szkolenia zawodników od trampekryzacji poczynając. Trenerzy zgodnie twierdzili w czasie dyskusji w „PS”, że jeszcze w „młodzieżowcu” jest sporo talentów, które później giną. Dlaczego?

Na zakończenie polecająca wiadomość. Postanowiono, że do Mundialu w Meksyku zawiezie się zagraniczne wyjazdy zawodników. Jedynie Józef Młynarczyk zasiadł sobie na to i może wyjechać, jeśli będzie miał takie oferty. Co o tym myśli Józef Młynarczyk można się będzie dowiedzieć już wkrótce z rozmowy, jaką z nim przeprowadziłam.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Doroszyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego), Izor Sikirski (kier. działu literackiego), Karol J. Strycki, Janusz Szymański (kier. grafiki), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wróńska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stałe współpracują: Tadeusz Blazejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gązda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzisław Krzeminski, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Pauszewski, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy”, al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefon: sekretariat i redakcja naczelną 26-52-44, sekretarz redakcji 26-80-99. Redakcja nie zamawia reklam, nie świadczy usług wydawniczych. Zastrzeżenie: Wszelkie prawa do skrótów WARTUNKI PRENUMERATY: I. dla osób prawnych — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; II. dla osób fizycznych — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; III. dla instytucji i zakładów pracy — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; IV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; V. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; VI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; VII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; VIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; IX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; X. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XIV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XVI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XVII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XVIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XIX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXIV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXVI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXVII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXVIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXIX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXXI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXXII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXXIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXXIV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXXV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXXVI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXXVII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXXVIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XXXIX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XL. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XLI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XLII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XLIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XLIV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XLV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XLVI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XLVII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XLVIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; XLIX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; L. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LIV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LVI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LVII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LVIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LIX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXIV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXVI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXVII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXVIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXIX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXIV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXVI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXVII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXVIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXIX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXIV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXVI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXVII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXVIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXIX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXIV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXVI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXVII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXVIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXIX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXIV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXVI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXVII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXVIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXIX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXX. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXXI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXXII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXXIII. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXXIV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXXV. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXXVI. dla jednostek samostanowienia — Instytut i Zakłady Prasy „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie; LXXXXXXVII. dla jednostek samostanowienia

W drugiej połowie września żona wyjechała do Rewala na wczasy i zaczęły się moje samotne półkolonie w mieście. Obrabowałam mnie, ale żyję. Nie wyprzedzajmy jednakże faktów. Powinienem chyba zacząć od tego, że bardzo lubię moje samotne półkolonie, to znaczy: lubię je do tej pory, bo kiedy człowiek traci nagle pół majątku, przechodzi mu na jakiś czas ochota do zabawy i zbytków.

Tak czy owak, pożegnałam żonę na dworcu starając się nadać twarzy wyraz smutny i ponury, w sercu zaś moim świeciło słońce. Cała moja postawa mówiła: już dwadzieścia lat kroczymy ze sobą przez ten świat, kochanie, a mimo to tak ciężko przychodzi mi rozstać się z tobą, że doprawdy nie wiem, jak sobie z tą chandrą poradzę. W duszy zaś szeptałem: jedź, jedź, marudo, a ja tu trochę zahulam i zapomnę, że mam pięćdziesiąt trzy lata. Nagle żona mówi:

- Klucze!
- Jakże klucze?
- Zapomniałam zostawić matce klucze!

Zbladłem, bo zrobiła taki ruch, jakby chciała wysiąść z pociągu. Tu muszę wyjaśnić, że przed wyjazdem żona zawsze zostawiała klucze u matki, niby po to, żeby mieć pewność, iż dostanie się do domu po powrocie, ja bowiem mogę być w jakiejś delegacji, a matka ledwo powłóczy nogami i zawsze siedzi na zrydlu przed telewizorem. Tak naprawdę chodziło jednak o to, żeby matka, to znaczy moja umiłowana teściowa, rozciągnęła nade mną dyskretną opiekę, składając mi w nietypowych porach kilka nieoczekiwanych wizyt, bądź też szpiclując mnie z wroawą od ulicy i od skwerka, na który wychodził drugi rząd moich okien.

Nie będę nikomu wmawiał, że kochałem moją teściową, teraz zaś, po tym wszystkim co się stało dosłownie wyje do niej nóż, który zacząłem nosić w kieszeni. Na dworcu jednak zachowywałem się przytomnie i oświadczyłem z łajdacką pokorą:

- Zaniósę matce klucze.
- Wyciągnęła je z torebki:
- Ale teraz od razu, prosto z dworca.
- Tak.
- Słowo?
- Słowo.
- No to pa! Mrum-myt.
- Mrum-myt. Pa. pa!

Pociąg odjechał, a ja z tą cudowną, młodzieńczą lekkością w nogach ruszyłem do domu teściowej, chcąc jak najszybciej wywiązać się ze zobowiązań. Myślałem: podam jej tylko klucze i odejdę bez słowa. Nie bałem się jej szpiclowania, podobnie, jak nie bałem się czujnych sąsiedzkich oczu, umiałem bowiem pić i organizować sobie rozrywki tak, aby nikt o tym nie wiedział, przy zgaszonym świetle i zamkniętych od wewnątrz drzwiach, do których przyklejałem w dodatku kartkę: wrócić za cztery godziny. W dzień natomiast, kiedy robiłem rzeczy uczciwe, otwierałem zawsze okna i uchylałem firanki, żeby wszyscy mogli mnie widzieć.

Traf jednak chciał, że tego pogodnego, szczęśliwego wieczoru, który rozpoczynał pierwszy dzień moich samotnych półkoloni w mieście nie zastałem teściowej w jej domu na obrzeżach Łodzi. Powłóczyłem się gdzieś przekiłty krasnal w spódnicy. Ano — pomyślałem — w takim razie jutro zaniósę jej klucze, a tymczasem sprawdzę, jak smakuje wódka w mojej ukochanej knajpie na Piotrkowskiej.

Ruszyłem pieszo do śródmieścia rozkoszując się babim latem i upojną perspektywą godzin bez ujadania żony, która tukała się gdzieś w piekle wagonu osobowego, drugiej klasy, z nadzieją, że dwutygodniowy urlop przyniesie jej dziewczęcą powierzchowność i krzepę. Co do mnie, jestem zaprzysięgłym łodzianinem, nie lubię nigdzie wyjeżdżać. Cóż może być piękniejszego od Piotrkowskiej i wąskich uliczek śródmieścia, które o zmroku przybierają wygląd tajemniczy i kuszący. Tu gra muzyeczka, tam kurwy wabią piłką do bramy, ówdzie zaś roi się od nieprawych Arabów i jeśli tylko masz trochę wyobraźni, czujesz się jak w Casablance.

Nim dobrnąłem jednak do centrum, przyciągnął mnie swoim cielepym oświetleniem mały narożny bar w okolicach ulicy Kilińskiego. Unikam z zasady takich barów, bo to, wiecie, nie wypada. Jestem przecież urzędnikiem w znanej instytucji, otarłem się o studia, ba! występowałem nawet przed laty w telewizyjnej zgadująco-zgaduli, pokonując próg pytań za sto i dwieście złotych. Chodzę elegancko ubrany, jak trzeba — powiem kilka kulawych zdań po francusku, kultura jednym słowem, jak cholera! Bardziej do Grandu pasuje niż do takich mordowni.

No, ale wszedłem. Strzeliłem przy szynkwasie lufę, później druga. Jako, że człek ze mnie towarzywki, wszcząłem ożywioną dyskusję z jakimś sympatycznym pijańcą, który uprawiał swój proceder najwyraźniej przez rozum i na siłę, wbrew swoim naturalnym skłonnościom do czystości, ładu i porządku. Tak jest! Z jego bełkotliwych wynurzeń wynikało, iż nienawdził alkoholu i nikoty oraz wszelkich związanych z tymi nałogami drobiazgów. Klarował mi na przykład, że w kilka dni potrafiłby uzdrowić naszą chorą, polską gospodarkę podnosząc cenę jednej butelki wódki do dwóch tysięcy, a paczka zapalek kosztowałaby trzy.

- Tysiąc? — zapytałem.
- A jak?!

Mrużył łzawo, szelmowskie oko i kopcił, jak z komina, myśląc intensywnie, co by tu jeszcze podkreślić w cenie, aby wylądować w Ministerstwie Finansów. Śmiałem się tak, że łyzy spływały mi zygawkami po policzkach. Był tak sympatyczny, że ucałowałem go z dubeltów. Później przechodziłem z rąk do rąk i obcałowywałem się demokratycznie z innymi, sympatycznymi i mniej sympatycznymi pijakami, przekonany, że im wszystkim niesłychanie imponuję, i że ta wylewna miłość do prostych ludzi, tak zwanych Swagrów, policzona zostanie mi w niebie.

Wchodząc do domu nie mogłem znaleźć kluczy. Nie było także pewnej legitymacji, na której figurował mój adres i nazwisko, ale o tym jeszcze wtedy nie wiedziałem. Kolebałem się z boku na bok pod drzwiami i szukałem kluczy klnąc jak szewc, któremu urodziło się trzynaste dziecko, na dodatek — dziewczynka. Nagle sięgam do wewnętrznej, prawej kieszeni w marynarce, schowka, z którego nigdy nie korzystałem i patrzę — są jakieś klucze. Przypomniałem sobie, że są to klucze żony, które osobiście wsadziła mi na dworcu do kieszeni z myślą o swojej ukochanej matce, niestrudzonej w wysładywaniu na zrydlu przed telewizorem z którego jeśli nawet czasami wstawała, to chyba po to, żeby szpiclować mnie na ulicy.

Wszedłem więc do ja trali-la!, do swojej secesyjnej landary, stuknął za mną, automatycznie zamek, zasuwę nie zamknąłem, bo pomyliły mi się obce klucze. Padłem na nie posłana otomanę, twarzą do ściany, i mimo lekkiego bólu głowy, który nad ranem miał się przeistoczyć w ohydny kacową migrenę, pograżałem się we śnie.

W tym miejscu muszę zrezygnować z mojego ironicznego i pogodnego toku opowieści. W tym miejscu zaczyna się dramat. Kiedy skleimy taśmy mego porwanego filmu, gdzieś o piątej z pierwszym braskiem, poczułem w pokoju obecność osób trzech, a także pewną specyficzną, drażniącą, niby piękna, a duszącą woń perfum — zapach, który był mi już znany: Wild Musk, pachnidło, którym naclerała się przy specjalnych okazjach pewna pracująca ze mna pani magister, aby zaprezentować się godnie w dniu imieniny szefa albo na pogrzebie jego matki.

Chłonałem z obrzydzeniem ten intensywny, cikiwy, z lekka jakby piżmowaty i kurewski odór: wsłuchiwałem się w pulsujące, tępe uderzenia krwi na skroniach. Strach mój był trochę przytłumiony kacem. Wiedziałem, że jest źle, że za chwilę, skoro tylko

się odwrócę i spojrzę włamywaczom w twarz, otrzymam cios kluczem francuskim w głowę, albo nożem w serce i przeniosę się w sładkie zaświaty.

Była to nawet, w pewnym sensie myśl kusząca, ból głowy bowiem obrzydza człowiekowi obecność na ziemskim padole. Strach jednakże był silniejszy od bólu. Sam nie wtem, kiedy zapomniałem o głowie, odczułem natomiast bolesną obecność serca, które zaczęło tłuc się w panice.

Ktoś zakasłał, jakby z lekka zakłopotany. Potem usłyszałem zduszone „no!”, będące zapewne ponagieniem do ataku. Nie odwracając się, wiedziałem, że jest ich troje, i że w tej trójce nie brak kobiety.

— E — odezwał się jakiś melodyjny męski tenorek. — Pokaż no bicie.

Milcz, kiedy cię gwałcą

Brzmiało to groźnie. Powiedziałem miękko, błagalnie:

— Nie pokazę panowie. Jeśli odwrócę się i zobaczę wasze twarze, będziecie musieli mnie zabić. Pytajcie o co chcecie, bierzcie co chcecie, będę posłusznie z wami współpracował, ale twarzy wam nie pokazę, abyście nie mieli powodu podejrzewać, że poznaj was kiedyś i wydam milicji.

- Cwaniaczek — powiedziała wrogo kobieta.
- Zgadza się, Cwaniaczek.
- Tak jest, Skromny cwaniaczek.
- Nie cwaniaczek, tylko chcę żyć — zaskamiałem. — O co wam chodzi?
- Każdy chce żyć — zaśpiewał melodyjny tenorek. — Odwróć się.

— Nie! Jeżeli zobaczę wasze twarze, będziecie musieli mnie zabić. — Myślałem gorączkowo o rozkładzie kosztowności w mieszkaniu, o śmierci, która wisiała nade mną w postaci jakiegoś ciężkiego przedmiotu i mówiłem jednocześnie błagalnym, perswadyjnym głosem: — Postuchajcie mnie, najdrożsi! Po co wam dodatkowe kłopoty? Jeżeli zabijecie mnie, i tak wcześniej czy później milicja trafi na wasz ślad, bo mójra robota nie uchodzi na sucho. Nie lepiej wziąć co się da i cieszyć się złotą wolnością? Przysięgam, wam! Nie zaczę krzyczyć, nie zawiadomię milicji,

nie zwierzę się nawet z waszej napaści sąsiadom i tonie. Chcę tylko żyć, możecie mi zaufać. Nie odwrócę się za żadne skarby i nie czekając wcale na waszą zachętę, od razu powiem wam, gdzie są wszystkie moje pieniądze i precjo-a.

Zrobiłem małą zamierzoną przerywkę. Trzy osoby za moimi plecami milczały. Jeśli w ogóle może takie być, było to milczenie wymowne. Czulem, że trafiam im do przekonania. Aby nie zerwać tej, jakże wstępnej jeszcze nitki porozumienia, powiedziałem pospiesznie:

— Pieniądze są w szafie, tam gdzie ubrania. Obok futra żony wisł mój garnitur. W lewej wewnętrznej kieszeni znajdziecie dwie księżeczki pekawskie i bony oszczędnościowe.

Któryś szurnął wściekle nogą po parkiecie, dodałem więc szybko:

- Jest także gotówka, tyle że nie w szafie, a w łazience.
- Gdzie?
- Na dole pod wanną — tokowałem głośno, chcąc ich przekonać o swoich dobrych zamiarach. — Trzeba wsunąć rękę do wnęki w kafelkach i po prawej stronie...
- Stul pyski!

Chętnie zastosowałem się do tej uwagi, dumając nad kolejnym posunięciem. Powiem zaraz, żeby brał także biżuterię, ale wykiwam ich trochę. Biżuteria podzielona była na dwie części, z których jedną przechowywałem w sprężynach kanapy, a drugą przykleiłem w kopercie do podnoża szafy. Drugą część pieniędzy natomiast, też ładny grosz, schowałem pod wykładzinę podłogową, która była wsunięta pod listwę i przybita gwóźdźkami do parkietu w pokoju stołowym. Obecność biżuterii w szafie i pieniędzy pod wykładziną postanowiłem ukryć, wierząc, że moja skwaśliwa i potoczysta wymowa zatuszuje kłamstwo.

Nie ruszyli się. Nikt nie poszedł jeszcze po łup do łazienki. Czulem, że zaczynam się pocić! Czyżby jednak mieli zamiar kropnąć mnie w łeb?

— Mogę mówić? — zapytałem.

Nikt nie odpowiedział. Słyszałem tylko ich oddechy, miarowe, spokojne. Niemalże wyczuwałem, jak unosi się nad moją głową narzędzie mordu.

Co to może być? Nóż? Siekiera? Gazurka?

Takie i inne jeszcze, głupie myśli przelatywały mi przez mózg. Jakos tak nagle dziwnie osłabłem i musiałem zebrać wszystkie siły, aby przemówić ponownie:

— Bierzcie panowie futro, kozuch, garderobę, co tylko chcecie. Pod szafą, jeśli dobrze pomacacie rękami, znajdziecie trochę złota. Błagam was, zróbcie to jak najszybciej, bo może przyjdź do mnie teściowa, która szpicluje mnie z poduszeczki żony.

Kiedy wspomnieli, iż może złoty mi wizyte teściowa, która szpicluje mnie notorycznie z poduszeczki żony, cuchnąca Wild Muskiem kobieta zaczęła się śmiać serdecznie. Po chwili zawtórował jej nieśmiało jeden z mężczyzn, ten drugi zaś skarcił ich krótko:

— Spokój!
— Bierzcie, panowie, co się da — mówiłem, sądząc, że sytuacja przybiera pomyślny dla mnie obrót. — Proszę bardzo, telewizor, lodówka...

Kobieta znowu wybuchnęła śmiechem, a kiedy groźny, bandycki głos próbował przywołać ją do porządku, rozchotała się na dobre, tak jakos placzliwie, nerwowo, na pograniczu hysterii.

Przeraziłem się nie na żarty. Usłyszałem jak ktoś komus daje z rozmachem w twarz, zapewne jeden z bandytów kobiecie. Efektem tego była cisza. Potem wymienili między sobą jakieś uwagi, dwoje wyszło z pokoju, a jeden z mężczyzn został przy mnie na czatach.

Modliłem się, aby szybko znaleźli łup w łazience i pod szafą. Tak się też stało. Usłyszałem grzechot wysypywanej na rękę biżuterii i szelest banknotów.

Muszę tu teraz ku przestrodze bliźnich wylouzyć mój punkt widzenia. Otóż uratowałem się, a to dzięki temu, że nie dałem się ponieść nerwom, panice i emocji. Zwykle bywa tak, że napaśnięty w mieszkaniu człowiek popełnia cały szereg błędów, z których jeden jest gorszy od drugiego i nie ma już od nich odwrotu. No bo tak: albo rzucając się na drania (czy drani) z gołymi rękami i zaczynasz z nim (czy z nimi) nierówną walkę, do której wcale nie jesteś przygotowany, on natomiast (czy oni) są przygotowani znakomicie. Czasami nie walczysz, lecz zaczynasz wrzeszczeć, chlapać lub też błagać ich o litość zapominając, że są złoczyncami i uczucie litości jest im obce. We wszystkich tych przypadkach działasz na swoją niekorzyść, rozwścieczając napaśników i zmuszając ich, aby uciśnili cię na przeciąg kilku godzin albo na zawsze, czyli dali ci dla świętego spokoju w łeb.

Pragnę wyjść tu na moment poza obręb mieszkanka i zanalizować zachowanie się kobiet w plenerze, gdzie popełnia się na nich większość gwałtów. Zresztą, plener — nie plener, nie ma to specjalnej różnicy. Zgwałcona kobieta, bez względu, na to, czy ma lat szesnaście, czy szesćdziesiąt, wstaje, otrzepuje sukienkę i zaczyna wygrażać gwałcielowi, że ona im zaraz pokaże, tak jest! Zaraz pójdzie na milicję, opowie wszystko z detalami i wyda ich jednego po drugim, Ceška, Zenka i Benka, tak, że zginią w więzieniu, a jeszcze na dodatek, w trakcie rozprawy sądowej dostaną od jej szwagra po pysku.

Błąd! Ofiara gwałtu powinna oczywiście zrobić tak jak mówi, to znaczy: zawiadomić milicję i sprawkować, aby dranie ponieśli zasłużoną karę, w żadnym jednak wypadku nie wolno jej o tym opowiadać lotrom na głos i bez świadków, w żadnym wypadku nie wolno jej grozić, straszyć i rozjuszać oprawców, którzy zdają sobie przecież sprawę, iż popełnili czyn przestępny, za który nie odmówią się odznaczyć, tylko wyroki i to ciężkie. Lotry chcą tych wyroków uniknąć, w związku z czym ofiara powinna sprawić wobec nich wrażenie, że nic takiego się nie stało, wprost przeciwnie: było całkiem przyjemnie, proszę bardzo! Jutro czy pojutrze można by zrobić powtórkę, nie ma to jak grupowa miłość, nie, w tej chwili nie da rady, bo musi wrócić do domu i odrobić lekcje ale, doprawdy, cała przyszłość przed nimi, może nawet zdoła przeprowadzić następnym razem przedankę.

Ktoś powie, że jest to postępowanie niegodne, przyjmując jednak, iż życie ludzkie jest wartością naczelną i najwyższą, mającą nieco większą cenę od cnoty, nie ma sensu tracić go dla kilku niepotrzebnych gestów.

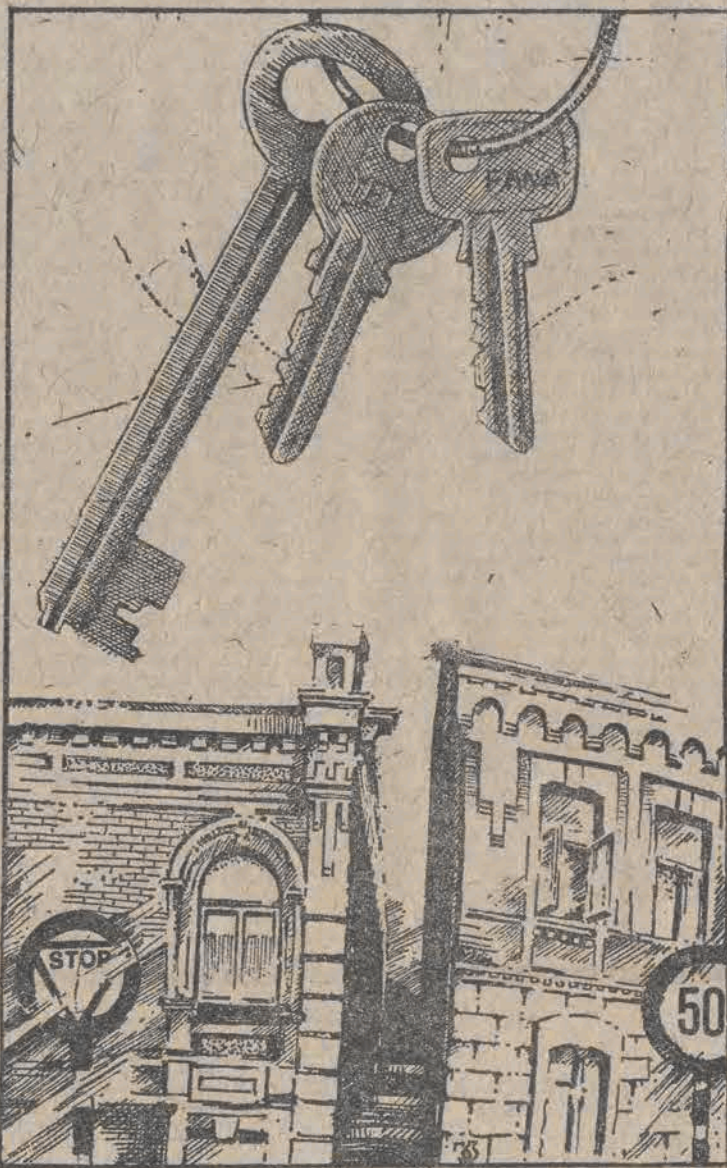
Już słyszę te oburzone głosy różnych działaczy społecznych, kobiet nadętych godnością i strażników prawa. Już słyszę, jak wrzeszczą: skandali, a gdzie honor!, trzeba się bronić, walczyć, a nawet w razie potrzeby oddać życie!

A sam sobie oddaj życie, cwaniaku, czy cwaniaczko! Ciekawe, jak byś się zachował (czy zachowała), gdybyś stanął oko w oko ze zdesperowanym bandyżem. Życie to można oddać za ojczyznę, a nie za błonę dziewiczą. A już na pewno nie za kilkadziesiąt tysięcy złotych.

W sytuacji beznadziejnej, kiedy silny wroga są przeważające, bo to leżysz rozebrany w łóżku albo idziesz o zmroku poina drogą, a ich jest trzech, czterech lub sześciu, uzbrojonych po zęby i zlonanych zbrodnia, jedynym wyjściem jest uległość i pokora. Niech ci się nie zdaje, że skoro tylko zaczniesz krzyzczeć, spadnie ci ku pomocy z nieba Anioł Stróż i powali napaśników sprawiedliwym uderzeniem pięści. Anioł Stróż też się boi. I nie gadać mi tu, że nie mam racji. Najpierw udawaj potulną owieczkę, a dopiero później zacznij dochodzić swego, tropiąc łajdaków i składając zeznania na komendzie.

Daję głowę, że gdyby ofiary zachowywały się tak w krytycznych okolicznościach, większość z nich ocalałaby żywa.

C.d.n.



Rys. Janusz Szymański-Głaz